

TERESA EWA OPOKA

NA ŚCIEŻKACH ZDROWIA



NA ŚCIEŻKACH

ZDROWIA

INSTYTUT PAMIĘCI NARODOWEJ
KOMISJA ŚCIGANIA ZBRODNI PRZECIWO NARODOWI POLSKIEMU

TERESA EWA OPOKA

NA ŚCIEŻKACH ZDROWIA



WARSZAWA 2019

Recenzenci

prof. dr hab. Marek Wierzbicki

dr Arkadiusz Kutkowski

Projekt graficzny i okładka

Sylwia Szafrąńska

Redakcja i korekta

Zespół Wydawnictwa IPN

Indeks

Łukasz Rybak

Skład i łamanie

Sylwia Szafrąńska

Na okładce

Czesława Wiecheć, zdjęcie wykonane 25 czerwca 1996 r. (źródło: AIPN Radom)

Zrealizowano w ramach stypendium ministra kultury i dziedzictwa narodowego.

© Copyright by Instytut Pamięci Narodowej

Komisja Ścigania Zbrodni przeciwko Narodowi Polskiemu, Warszawa 2019

ISBN 978-83-8376-596-9

Zapraszamy:

www.ipn.gov.pl

www.ksiegarniaipn.pl

SPIS TREŚCI

Wstęp	11
Wciąż byłem do odstrzału.....	23
Pokrzywdzony tak, przegrany nie	63
Nie każdy ma tyle szczęścia.....	87
Czterdzieści lat w poczekalni.....	113
Nadal słyszę ten rechot	129
Swój dom stawiałem nocą	152
Nauczyłam się cieszyć małymi rzeczami	164
Chciano nas zamilczeć, zapomnieć.....	172
Bardzo chcieli zrobić ze mnie kapusia.....	185
Myślę, że tata jest ze mnie zadowolony	216
Dzięki nam komuna cofnęła się po raz pierwszy	230
Brat	245
Kalendarium Czerwca '76.....	271
Bibliografia.....	274
Indeks osób	277

Powiedzcie tym swoim radomianom, że ja mam ich wszystkich w d... i te ich wszystkie działania też mam w d... Zrobiliście taką rozróbę i chcecie, by to łagodnie potraktować? To warchoły, ja im tego nie zapomnę.

Edward Gierek, fragment rozmowy telefonicznej z Januszem Prokopiakiem, I sekretarzem KW PZPR w Radomiu

*Strach w ludzkich oczach upokorzenie
W spotniałych palcach świstki wyroków
Pamięć odbita na ścieżkach zdrowia
Listy z więzienia lekarz adwokat*

Jan Krzysztof Kelus, *Ballada o szosie E7*

Podziękowania

Pragnę wyrazić wdzięczność wszystkim Czerwcowym Ludziom, a szczególnie bohaterom tej książki oraz ich rodzinom.

Podziękowania należą się również:

pracownikom Delegatury IPN w Radomiu, którzy udzielili mi wszelkiej pomocy, o jaką poprosiłam,

paniom pracującym w Bibliotece Publicznej w Radomiu, które potrafiły odnaleźć w przepastnych magazynach nawet kilkudzaniowe informacje.

Teresa Ewa Opoka

WSTĘP

Nie wybrałam tego tematu, to on chodził za mną przez dziesiątki lat.

Tamtego dnia nie było mnie na miejscu wydarzeń, ponieważ kilka dni wcześniej wyjechałam z dziećmi na wakacje do Rabki, gdzie wynajęłam kwatere, i tam dotarła do mnie wiadomość, że moje miasto się zbuntowało. Pamiętam atmosferę radości, która ogarnęła tę uzdrowską miejscowość; cieszyli się zarówno autochtoni, jak i wczasowicze. Pamiętam rozmowy na stołówce czy z nieznanymi w parku o buncie robotniczym. Pamiętam, że pewnego ranka wstąpiłam do sklepu mięsnego, stanęłam na progu, ponieważ dalej z powodu tłumu nie można było zrobić ani kroku, i nad głowami ludzi zobaczyłam haki obwieszone wszelkim wędliniarskim dobrem, bo akurat „dowieźli”. Na rękach trzymałam dwuletnią córkę Asię, która wyciągnęła rączki i zawołała „palówki”! Oczywiście ten okrzyk nikogo nie mógł poruszyć; wówczas wszystkie dzieci chciały jeść cieniutkie parówki, nowość, która pojawiła się niedawno na rynku. Już miałam się odwrócić i wyjść. Wiedziałam, że nie mam szans, stając nawet w kolejce dla kobiet w ciąży i matek z dziećmi na rękę, by cokolwiek kupić. Nagle ktoś

krzyknął: „Ta pani jest z Radomia!”. I stało się coś niezwykłego: ludzie bez naradzania się czy zastanawiania rozstąpili się aż do samej lady, na której ujrzałam wagę, a za nią patrzącą na mnie z zachęcającym uśmiechem sprzedawczynię. Przez moment stałam bez ruchu i ktoś mnie musiał delikatnie pociągnąć, żebym się ocknęła i ruszyła wśród ściśniętego tłumu po lekko skrzypiącej drewnianej podłodze.

Kiedy wróciłam do Radomia, rodzina i znajomi opowiadali, co się działo w mieście 25 czerwca i jeszcze przez kilka następnych dni, gdy po ulicach krążyły milicyjne nyski, a milicjanci wyłapywali przechodniów i porównywali ich wygląd z fotografiami, których mieli całe pliki. Nikt jednak nie mówił jeszcze o ścieżkach zdrowia. Do powszechnej świadomości nie przedostawały się informacje o prześladowaniach i szykanach wobec zatrzymanych, a wersja podawana przez środki masowego przekazu uważana była za kłamliwą. Prawdę znali tylko nieliczni.

Do tych nielicznych należała Urszula, moja przyjaciółka z dziecięcych lat; mieszkaliśmy w sąsiednich kamienicach w centrum i bawiliśmy się w gromadzie dzieciaków raz na jednym podwórku, raz na drugim. Wśród bawiących się dzieci był jej brat Andrzej. Wiedziałam, że brał udział w demonstracji 25 czerwca 1976 r., że został zwolniony z Zakładów Metalowych (pracował na wydziale P-6), a później zginął w tragicznych okolicznościach.

Po wielu latach spotkałam Urszulę na ulicy i zaprosiłam do swojego mieszkania. Przez kilka godzin ona mówiła, ja słuchałam z drżącym sercem, wspominała, że bardzo mocno przeżyła śmierć Andrzeja, tęskni za nim mimo upływu

lat (wówczas minęły 34 lata), a ból po stracie brata wcale nie przygasa, Andrzej śni się jej po nocach, często odwiedza jego grób. Wtedy usłyszałam po raz pierwszy całą prawdę o ścieżkach zdrowia. Urszula zaskoczyła mnie prośbą, bym udała się do oddziału IPN w Radomiu i dowiedziała się czegoś więcej o Andrzeju. „Uczysz historii, tobie na pewno pozwolą zajrzeć do dokumentów”. „Ależ Urszula! Każdy może pójść do IPN i zgłosić, z jakimi materiałami chciałby się zapoznać i dlaczego. Najpierw zadzwoń i się umów. Na pewno udzielą ci tam wszelkiej pomocy”. „Każdy?” – zapytała z niedowierzaniem, ponieważ żyła w przekonaniu, że ktoś taki jak ona nie ma tam wstępu. Zapewniłam, że każdy obywatel, bez wyjątku, może przejrzeć dokumenty.

Po kilku dniach zadzwoniła i zrelacjonowała swoją wizytę w IPN. Została przyjęta przez pana A.K., który po telefonicznej zapowiedzi przygotował wszystkie dokumenty, jakie udało mu się wyszukać, oddał jej legitymację służbową Andrzeja, stanowiącą dla rodziny cenną pamiątkę. Ta długa rozmowa, okazana jej uwaga i zainteresowanie, wpłynęły na nią kojąco. Dowiedziała się, że rodzina może wystąpić do sądu o odszkodowanie za represje wobec Andrzeja. Rozmawiała z matką, z żoną brata oraz jego synem i wszyscy byli zgodni – nie mają zamiaru występować o jakieś odszkodowanie. Nie ma takiego odszkodowania, a namiastka ich nie interesuje.

Spotkanie po latach z przyjaciółką z lat dziecięcych okazało się tak mocnym przeżyciem, tak się w nią wsluchiłam, tak bardzo dotknęło mnie jej cierpienie, że musiałam napisać dramat *Uliczna ballada*, wkrótce wystawiony na deskach radomskiego teatru.

Michał Kański w „Teatraliach” („Internetowy Magazyn Teatralny” 2012, nr 18) tak pisał o tym spektaklu:

„*Uliczna ballada* to na pewno bardzo ważny spektakl dla radomian. To tu w życie zwykłych ludzi wkrada się wielka historia. Ta historia wikła i niszczy życiorysy. Ta historia, mimo upływu czasu, wciąż trwa, tkwi niczym zadra, niczym ostry cierń w sercach ludzi wzgardzonych, poniżonych i uwikłanych w wydarzenia Czerwca '76. Kto usunie ten cierń? Czy ktoś się odważy? Ktoś stanie na wysokości zadania?”.

Marek Sieradzki w recenzji zatytułowanej *Pani Lodzia i ścieżki zdrowia*, zamieszczonej w „Dialogu” (2012, nr 9), tak pisał o spektaklu: „*Radomska Ballada* ma wymiar historyczno-teatralnej lekcji, dość, chciałoby się myśleć, istotnej dla młodych odbiorców, których wtedy nie było jeszcze na świecie. Teatr stara się przemawiać językiem dla tej młodzieży atrakcyjnym, ale bez jakiegokolwiek schlebiana. Bardzo ograniczone środki techniczne kameralnej sceny radomskiego teatru nie pozwalają na widowiskowe efekty, wymuszają skromność. [...] Przy wszystkich niedostatkach nie da się nie zauważyć, że młodzież wypełniającą radomską scenę kameralną zamurowało: śledzili *Balladę* z ogromną uwagą i wyraźnym przejęciem”.

Zdanie z ostatniego akapitu bardzo mnie ucieszyło. Wybitny krytyk teatralny zwrócił uwagę, że widownię zamurowało. A więc udało mi się przenieść moje „zamurowanie”, gdy zasłuchałam się w opowieść Urszuli, na „zamurowanie” widowni.

Przygotowując się do napisania sztuki, przeczytałam kilka naukowych opracowań o Czerwcu '76, rozmawiałam

z mieszkańcami Radomia, zgromadziłam sporo materiałów. Urszula pierwsza przyszła do mnie z teczką artykułów na temat Czerwca, które zbierała od połowy 1976 r., oraz z katalogiem wystawy *Twarze radomskiej Bezpieki*. „O, tego znam z widzenia, łąził za mną” – wskazała palcem na jedną z fotografii.

Upłynęło znowu kilka lat, zanim jasno sobie uświadomiłam, że powinnam skończyć z przeżywaniem i zabrać się do konkretnej pracy: przede wszystkim spisać relacje ludzi porwanych przez „ten dzień”. Ostatecznie zdecydowały następujące powody:

1. Czerwiec '76 został niesprawiedliwie zmarginalizowany w powszechnej świadomości. Na ten stan wpłynęło kilka czynników, m.in.:

a) Zmasowana propaganda PZPR prowadzona przez prasę, radio, telewizję w czasach PRL wyrządziła wiele szkód w pamięci zbiorowej. Na szczęście ten stan nie jest nieodwracalny – wraz z upływem lat kłamstwo słabnie i błednie, ponieważ pamięć przeszłości jest procesem dynamicznym – w miarę odkrywania kolejnych faktów – ulega zmianie.

b) Na scenie historii w spektaklu, który można by zatytułować *Pokonać komunę*, niemal w jednym czasie pojawiły się dwie gwiazdy. Przyćmiły one Czerwiec '76 i spowodowały, że odegrał drugoplanową rolę. Były to Komitet Obrony Robotników – pierwsza opozycyjna organizacja w PRL – oraz uwielbiana powszechnie Solidarność. A przecież, jak powiedział jeden z moich rozmówców: „to my narąbaliśmy drew pod ogień Solidarności”. To prawda, ale zbyt rzadko się o tym przypomina.

2. Kiedy rozmawiałam z mieszkańcami mojego miasta i ze znajomymi z całej Polski, zorientowałam się, że do ogólnej świadomości nie przebiła się wiedza, na jaką skalę funkcjonariusze aparatu przymusu stosowali represje wobec uczestników czerwcowego buntu.

3. Dopiero od Czerwcowych Ludzi dowiedziałam się, że represje trwały nie rok, nie dwa lata, lecz wiele, wiele lat. Jeden z moich rozmówców opowiedział mi o przypadku pobicia go i nękania, straszenia jego bliskich w pierwszych latach XXI w.! Nie wyraził zgody, bym opisała te sytuacje. Powiedział, że się ich (byłych esbeków) po prostu boi. Prze-de wszystkim obawia się o swoje dorosłe już dzieci i wnuki.

4. Wzrost zainteresowania nowego pokolenia historią najnowszą.

Zaczęło się od ogłoszenia podwyżek cen żywności przez premiera Piotra Jaroszewicza 24 czerwca 1976 r. w wieczornym *Dzienniku Telewizyjnym*. Na drugi dzień rozpoczęły się strajki w wielu zakładach przemysłowych na terenie całego kraju, ale nie doszło do większych demonstracji (poza Płockiem). W Radomiu strajk rozpoczął się w Zakładach Metalowych im. Waltera na wydziale P-6. Około godziny 8.00 rano pracownicy opuścili zakład, przez mniej więcej 40 minut naradzali się na dziedzińcu, a następnie ruszyli do innych fabryk, nawołując ich załogi do marszu pod Komitet Wojewódzki PZPR.

Tego samego dnia rozwścieczony I sekretarz PZPR Edward Gierek na nadzwyczajnym posiedzeniu Biura Politycznego po godzinie 18.00 grzmiał: „Trzeba załodze tych czterdziestu paru zakładów powiedzieć, jak my ich niena-

widzimy, jacy to są łajdacy, jak oni swoim postępowaniem szkodzą swojemu krajowi. Uważam, że im więcej będzie słów bluźnierstwa pod ich adresem, a nawet jeśli zażądacie wyrzucenia z zakładów elementów nieodpowiedzialnych – tym lepiej dla sprawy. [...] To musi być atmosfera pokazywania na nich, jak na czarne owce, jak na ludzi, którzy powinni się wstydzić, że są w ogóle Polakami, że w ogóle na świecie chodzą”.

Domyślnej głowie nie trzeba było powtarzać dwa razy – aparat represji skwapliwie skorzystał z przyzwolenia na czynne dawanie upustu nienawiści do „elementu”, który śmiał podnieść bunt przeciwko decyzjom władzy ludowej. Ścieżki zdrowia – nie wymyślono ich w 1976 r., ten rodzaj tortury, czyli bicie skazańca przeganianego przez szpaler ludzi – praktykowano już w legionach starożytnego Rzymu (używano biczów). Metoda przez wieki była ta sama, zmieniały się tylko nazwy tego proceduru.

Melchior Wańkowicz opisuje w *Westerplatte* scenę, która rozgrywa się w Gdańsku po wkroczeniu wojsk niemieckich: „Pod Victoria-Schule tłum czarnych mundurów SS. W bramie przepuszczają ich przez dwuszereg esesmanów – po ośmiu z każdej strony, z pałkami gumowymi. Jeden z nich ma pałkę drewnianą, nabijaną gwoździami. Na pułkownika Sobocińskiego i kapitana Tchórzelskiego pada grad uderzeń, oczy ich zalewa krew, niewidzących nic wypychają na podwórze szkoły, gdzie esesmani pastwią się nad innymi już pobitymi i »przepuszczonymi przez magiel«”.

„Przepuszczanie przez magiel” – tak ofiary nazwały ten haniebny proceder zastosowany nie tylko wobec polskich

wojskowych, lecz i cywilów: nauczycieli, pocztowców, kolejarzy.

Paweł Sasanka w książce *Czerwiec 1976 – geneza, przebieg, konsekwencje* tak pisał o ścieżkach zdrowia: „Tą bestialską metodą posługiwali się funkcjonariusze MO i aparatu bezpieczeństwa w czerwcu 1956 r. w Poznaniu oraz w grudniu 1970 r. na Wybrzeżu. [...] Milicjanci, funkcjonariusze SB i MO posłużyli się nią na masową skalę w czerwcu 1976 r. Sami mówili wówczas do bitych, [...] że robią im »ścieżkę zdrowia«, przez co mimochodem upowszechniali to określenie. Notabene padało ono jednocześnie w Radomiu i w Ursusie z ust bijących, co może świadczyć o tym, że podobne techniki były elementem szkolenia. [...] Dramatyczne opisy wielokrotnego brutalnego bicia i znieważania można przeczytać w dziesiątkach relacji i usłyszeć z ust wielu świadków. Zatrzymanych uczestników demonstracji w Radomiu doprowadzono do komendy wojewódzkiej, gdzie przeprowadzano ich przez »ścieżkę zdrowia«. Ustawieni w szpaler przed wejściem lub wewnątrz budynku funkcjonariusze milicji i ZOMO bili ich po całym ciele, długimi 75-centymetrowymi pałkami szturmowymi, uderzali pięściami, kopali. Czasem bito pałkami trzymanymi odwrotnie, tak aby uderzenia uchwytem zadawały jeszcze większy ból, co nazywano biciem »po warszawsku«. [...] Brutalność milicjantów i zomowców w Radomiu i Ursusie kierowała się nie tylko przeciwko zatrzymanym, ale również przeciwko przygodnym przechodniom”.

W grudniu 2016 r. podczas protestu przed sejmem w sprawie ustawy dezubekizacyjnej (zniesienie przywile-

jów emerytalnych dla osób związanych z aparatem represji w czasach komuny) na podium wyszedł jakiś emerytowany pułkownik i tak usiłował pomniejszyć winę esbeków: „Były tam jakieś bijatyki, ścieżki zdrowia, ale dochowano kultury”. Akurat ten pan mówił o stanie wojennym, ale mamy tu do czynienia z doświadczeniem pokoleniowym, szczególnie Czerwowych Ludzi. Te słowa wywołały powszechne oburzenie. Zauważyłam jednak pewną prawidłowość, a mianowicie że wraz z upływem czasu poprawia się stan pamięci u ludzi związanych z poprzednim systemem, bo samo przyznania się, że istniały ścieżki zdrowia, jest już pozytywnym sygnałem – oto następuje proces wychodzenia z amnezji, wcześniej bowiem było znacznie gorzej.

Na wniosek Solidarności zostało wszczęte śledztwo dotyczące osób odpowiedzialnych za stłumienie protestu w 1976 r., a szczególnie za proceder zwany „ścieżkami zdrowia”. Proces ruszył w lutym 2000 r. Na ławie oskarżonych zasiedli: Józef Sowa – naczelnik Aresztu Śledczego w Radomiu, Kazimierz Rojewski – naczelnik wydziału śledczego SB KW MO w Radomiu, Mieczysław Mozgawa – komendant MO w Radomiu, i Tadeusz Szczygieł – szef radomskiego oddziału SB. Dwaj ostatni oświadczyli, że ścieżki zdrowia są wymysłem członków KOR.

W 2001 r. Stanisław Kania, sekretarz KC PZPR odpowiedzialny za sprawy bezpieczeństwa wewnętrznego w latach siedemdziesiątych, zeznał, że spotkał się z terminem „ścieżki zdrowia” i już po wydarzeniach zlecił prokuratorom zbadać tę sprawę, a oni stwierdzili, że nie doszło do łamania prawa. Inny świadek, były wicewojewoda radomski Tadeusz

Chochowski oświadczył, iż ścieżki zdrowia to legenda, którą wymyślili ludzie wówczas ukarani. (Na marginesie – w grudniu 2012 r. sprawa została umorzona).

Przypuszczam, że w przyszłości nikt już nie powie publicznie, iż esbecja i ZOMO „dochowały kultury” podczas rozprawiania się z demonstrantami, ponieważ ludzie odrzucają oczywiste kłamstwo.

David Morgan w książce *Konflikt pamięci. Narracje radomskiego Czerwca 1976* podjął trud zebrania i przedstawienia różnorodnych narracji o Czerwcu '76, które powstały w ciągu 25 lat po tym wydarzeniu, a więc do 2001 r. „Pamięć przeszłości nie jest przeto zwykłą arbitralną konstrukcją, lecz wytworem dynamicznego procesu wyrażania przez jednostkę i wspólnotę sensownej, uzgodnionej narracji na temat zbiorowej przeszłości grupy” – napisał. Morgan wyróżnia trzy rodzaje narracji o Czerwcu '76, które zostały ukształtowane w trzech ośrodkach: 1) PZPR, 2) Czerwcowych Ludzi – a więc tych, którzy bezpośrednio zderzyli się z aparatem represji, 3) KOR, a następnie przywódców Solidarności.

Ta pierwsza, propagandowa, głosi, że protest radomski to zamieszki wywołane przez lumpenproletariat i zwykłych przestępców.

Druga utrzymuje, że komunizm jest skondensowanym złem, a Czerwiec '76 jest pierwszym zwycięskim zrywem przeciwko temu systemowi, ponieważ cel protestujących został osiągnięty: podwyżki odwołano.

Trzecia przedstawia uczestników jako bierne, skrzywdzone ofiary.

Nie będę prezentować, w jaki sposób te narracje przez lata ewoluowały – zachęcam, by sięgnąć po książkę Davida Morgana i porównać je ze stanem obecnym.

Całe szczęście, że uczestnicy Czerwca '76 utworzyli stowarzyszenie, bo łatwiej jest do nich trafić. Dzięki nim udało mi się sięgnąć w głąb wydarzeń.

Dziewięć wybranych przypadkowo osób zechciało mnie zaprosić do swojego świata. Historię nieżyjących już ofiar ścieżek zdrowia – Stanisława Nowakowskiego, Marka Wołowca i Jana Sadowskiego – przedstawili mi ich bliscy. W tych relacjach to, co osobiste, miesza się z tym, co przynależy do przestrzeni publicznej. Przeszłość łączy się z teraźniejszością, a historia bawi się z ludźmi jak marionetkami, nie tylko w momencie „dziania się” znaczących wydarzeń, lecz także po upływie wielu lat. Ciężar pamięci jest nieznośny, pragnienie, by zapomnieć – niemożliwe. Nie wszyscy, ale większość moich bohaterów pragnie podzielić się z kimś tym ciężarem. Byli i tacy, którzy nie chcieli się zwierzać, rozgoryczeni tłumaczyli, że nie widzą w tym sensu, bo i tak nikt tego nie pojmie, a opisanie ich losu nic nie zmieni. Ta postawa również dała mi wiele do myślenia.

Sednem mojej książki są tytułowe ścieżki zdrowia w sensie dosłownym – jako rodzaj represji – oraz w sensie metaforycznym – jako piętno, które odcisnęło się na całym życiu Czerwcowych Ludzi. Nie znaczy to, że w ich biografiach, pełnych tragicznych wydarzeń i konfliktów, nie ma wzruszających przeżyć.

Patrząc z góry na ścieżki zdrowia; jedne tak się poplątały, że utworzyły labirynt i wciąż ktoś po nich krąży, nie

mogąc znaleźć wyjścia (nie z własnej winy), inne już zastają, ponieważ zostały opuszczone przez tych bohaterów, którym udało się wydostać na zwyczajną drogę życia.

W moim zamyśle miała to być powieść reporterska, zbudowana z biografii ludzi – uczestników i świadków Czerwca '76, ale ze względu na temat bliżej jej do reportażu historycznego, nie ma w niej bowiem sytuacji zmyślonych. Aby czytelnikowi lepiej oświetlić opisywane wydarzenia, cytuję danego autora lub dokumenty w tekście, by nie zakłócać toku narracji. Na końcu zamieszczam indeks nazwisk wszystkich osób, które pojawiły się w mojej książce.

Oddaję głos żywym ludziom, uczestnikom rewolty radomskiej, oraz ich bliskim: żonom, synom, siostrom.

WCIAŻ BYŁEM DO ODSTRZAŁU

Jesień 2016

Stara kamienica, dwa schodki, ciężkie drzwi. Wchodzę i wzdrygam się, bo po prawej stronie za biurkiem widzę milicjanta w mundurze. Dopiero po chwili dociera do mnie, że to manekin lalusia, który za czasów PRL ozdabiał wystawy sklepów z męską odzieżą na głównych ulicach większych miast. Więcej manekinów stoi w rogu korytarza – trzy z długimi pałkami, a naprzeciwko kobieta w spódnicy i bluzce z epoki.

– Są za ładne – stwierdzam, witając się z panem Stanisławem.

– Niestety, brzydszych nie mogliśmy zdobyć.

– Pan wpadł na pomysł, by powołać do życia Stowarzyszenie Radomski Czerwiec '76 – pytam.

– Z kolegami – odpowiada. – Znaliśmy się z więzienia, z sądowych rozpraw, czytaliśmy o sobie nawzajem, np. wywiady w prasie, spotykaliśmy się na różnych uroczystościach, na obchodach kolejnych rocznic Czerwca. I w roku 2011 powstało stowarzyszenie. Władze miasta przydzieliły nam lokal i pomału ściągaliśmy do siebie Czerwcowych Ludzi.

– Co panu utkwiło w pamięci z tamtego dnia?

Tamten dzień

Wszystko pamiętam. No, może przesadzam, może nie wszystko, ale bardzo dużo. Na przykład taki obrazek; w pokoju pod oknem duża, brązowa walizka, coś tam już leży na dnie, na ławie stosik poskładanych ubranek dziecięcych, a obok talerzyk z szypułkami po truskawkach zjedzonych poprzedniego dnia wieczorem.

Żona zaczęła nas powoli pakować, za kilka dni mieliśmy wyjechać do Słupska i zacząć nowe życie. Nowe życie zawsze wydaje się zapowiadać lepiej od starego, tym bardziej że nie jechaliśmy w ciemno. Jasiek Kowalczyk wyjechał już pół roku wcześniej i zapewniał, że tam są naprawdę o wiele lepsze warunki aniżeli w Radomiu. Potwierdziło się wszystko, co obiecywali trenerzy z Klubu Sportowego Czarni Słupsk, którzy odwiedzili nas zimą ubiegłego roku, żeby przyjrzeć się zawodnikom podczas walki. Wybrali dwóch najlepszych; właśnie Jaśka i mnie. Jasiek wyjechał od razu, a mnie zatrzymała Maryla, a właściwie jej matura, którą miała zdawać w maju. Już ją zdała i ta jedyna przeszkoda została pokonana.

Moja żona Maryla i synek spali jeszcze, gdy w świetlisty poranek wyruszyłem na spotkanie z przyjacielem. Zapowiadał się piękny dzień. Po uliczkach Glinic, dzielnicy przylegającej do centrum, snuł się zapach przekwitającego jaśminu. To było 25 czerwca. Rok 1976. Radom.

Maszerowałem tak szybko, że ktoś nawet w moim wieku (miałem wtedy 22 lata), ale bez kondycji, musiałby truchtać, żeby dotrzymać mi kroku. Zawsze tak chodziłem; trasę do Zakładów Metalowych odległych od domu teściów około

3 km przemierzałem w ciągu 30 minut. W Zakładach Metalowych „Waltera” zatrudniono mnie na etacie hartownika, nie miałem jednak pojęcia o tej robocie, czasy były fikcyjne; po odbiciu karty po około dwóch godzinach kręcenia się po wydziale, karmieniu rybek, wychodziłem na trening do Klubu Broni na stadionie przy ul. Narutowicza, żeby tam boksować pod okiem trenera.

Ledwo wydobyłem się z małych uliczek na szeroką Słowackiego, zorientowałem się, że jest inaczej. Zwykle o tej porze wszyscy znajdowali się na swoich miejscach; urzędnicy w urzędach, robotnicy w fabrykach, dzieci i młodzież w szkołach, na ulicy mijało się od czasu do czasu jakiegoś starszego człowieka lub kobietę z małymi dziećmi, zdążających ku jakiejś kolejce pod sklepem. Przed wiaduktem zrównałem się z jedną grupą ludzi, minąłem ją, dogoniłem następną, większą, słyszałem głośne rozmowy. Serce pofrunęło mi w ich stronę. Nietrudno było się domyśleć, dlaczego idą. Wczoraj wieczorem wszyscy oniemieli, oglądając i słuchając w *Dzienniku* wystąpienia premiera Jaroszewicza w sejmie. Najpierw nawijał, jak bardzo polepszyło się życie Polaków od grudnia 1970 r., odkąd pierwszym sekretarzem został Edward Gierek, a następnie wspominał o pewnych trudnościach, którym partia musi zaradzić, by po chwili wyjaśnić, na czym ta „zaradność” miałyby polegać. Otóż postanowiono podnieść ceny żywności. I to nie o kilka procent, lecz o kilkadziesiąt. Wszystkim mniej więcej wiodło się biednie, a zapowiedziano, że się pogorszy. Przed telewizorem złorzeczyli teść i teściowa, żona i jej brat, a mój szwagier.

Na Żeromskiego stali przypadkowi przechodnie i gapili się na niezwykle zjawisko. Maszerujący tłum był podobny do tego, który brał udział w pochodzie pierwszomajowym, ale jednak inny – nie pod przymusem, niewystrojony i nieuczesany świątecznie, bez flag czerwonych, bez portretów ojców komunizmu i partyjnych przywódców. W środku radość, gniew i święto, a z wierzchu kombinezony, przetarte porki, sprane koszule i kretonowe sukienki. Ludzie wołali zwyczajnie, że chcą chleba, chcą, żeby władza cofnęła drakońskie podwyżki. Środkiem jechały wózki akumulatorowe – od razu rozpoznałem, że stoją na nich chłopaki z „Waltera”. Wskoczyłem. Ktoś podał mi flagę. Co teraz? Naradziliśmy się – trzeba powiadomić największe zakłady pracy, żeby ludzie się przyłączyli. Pierwsze do protestu wyrwały się kobiety. To one najlepiej wiedziały, ile trzeba wydać, żeby nakarmić rodzinę, jak kombinować, żeby starczyło do pierwszego, a i tak często nie starczało. Z Zakładów Sprzętu Grzewczego ludzie już wyszli na ul. 1905 Roku i maszerowali do centrum. Tych, którzy nie chcieli się przyłączyć, wygwizdano i wyzywano od tchórzów i komunistów. Skandowali: „my nie, my nie, my nie poddamy się”, „precz z podwyżkami”, „chcemy chleba”, „chcemy wolności”. Pojawiła się duża grupa studentów z Wyższej Szkoły Inżynierskiej. Długie włosy, dżinsy, koszule w kratkę. Chłopaki na wózkach też mieli długie włosy. Ja nie lubiłem długich, bokserowi nie pasowały, trzymałem się fryzury na „bitelsa”. No i wąsy. Wielu demonstrantów miało wąsy. Ze wszystkich stron miasta napływały wciąż nowe fale ludzi i ktoś krzyknął, że trzeba iść pod komitet partii.

Panował spokój, milicja nie interweniowała, czuło się, że sprawa podwyżek zostanie wycofana, że władza prawdopodobnie chciała tylko zrobić próbę, żeby sprawdzić, czy ludzie wytrzymają wtłaczanie ich w jeszcze większą nędzę. Wydawało się nie tylko mnie, że kiedy zobaczą, że nie można Polaków traktować jak bezwolną masę, z którą można robić wszystko, nastąpi opamiętanie i wycofają się z podwyżek. Wystarczyło, tak myślałem ja i zapewne wszyscy zgromadzeni pod komitetem, by Warszawa dowiedziała się o wielotysięcznej pokojowej manifestacji, żeby towarzysze puknęli się w głowę. Gierek uważany był za rozgarniętego człowieka, któremu naprawdę zależało na rozwoju kraju. Między nim a gładzącym godzinami jego poprzednikiem Gomułką istniała przepaść. Gierek wiele lat mieszkał we Francji, widział, na jakim poziomie żyją tam ludzie. Wiadomo, że Polska nie była niepodległym krajem, ale na pewno Związek Radziecki nie zarządził u nas podwyżek! Ludzie lubili Gierka i wierzyli, że naprawdę chce polepszyć ich los. Czuli, że i on ich lubi, rozumie zwykłego człowieka. Czyż nie jeździł po kraju i nie rozmawiał z prostymi ludźmi? Czyż nie pytał o ich bolączki? Czyż nie zwierzał się górnikom jak swoim kolegom, że pracował jako górnik wiele lat pod ziemią? Czyż nie pytał jak nikt do tej pory: „Pomożecie?”. A teraz kolej na niego, żeby wysłuchał głosu ludzi pracy. Byłem przekonany, że nie zawiedzie i jeśli dostanie telefon z wiadomością, że te podwyżki są ponad ludzką wytrzymałość, to przyjdzie opamiętanie.

I tak staliśmy w wielkim tłumie, czekając, aż ktoś do nas wyjdzie. Nikt się nie wyrywał, nikt nie miał zamiaru ogłaszać się przywódcą.

Wreszcie jakaś niepoważna figura w granatowym garniturze wyszła z budynku i stanęła na krześle. To był sekretarz organizacyjny Jerzy Adamczyk. Zaczął jak aparatczyk:

– Ludzie, cały kraj pracuje, a każdy przestój...

Od takiego gadania robiło się niedobrze. Przerwały mu okrzyki z tłumu. Jakaś młoda kobieta z dzieckiem na ręku zwróciła się do niego, przedstawiając swoją sytuację:

– Jestem wdową z trojgiem dzieci i pensja z trudem wystarcza teraz na przeżycie, a co mam dać dzieciom jeść po podwyżkach? A towarzysz ile zarabia?

– A dlaczego, jak wam tak zależy na dobru dzieci, to nie zostawiliście ich w domu? Dlaczego je męczycie?

Wówczas młoda matka postawiła dziecko na trawie, zdjęła sandał i zaczęła okładać szczupłe ciało towarzysza. Ktoś chwycił go za krawat i szarpnął kilka razy. Nieudacznik został otoczony kordonem esbeków i odprowadzony do budynku, żeby rozeźlony tłum go nie rozszarpał.

Ludzie, krzycząc, domagali się, żeby wyszedł do nich pierwszy sekretarz Prokopiak i ich wysłuchał. Niestety, czas płynął, a on się nie pokazywał.

Ktoś puścił plotkę, że uciekł, że przebrał się w biały kitel i zwiął w karetce pogotowia. Wkurzeni ludzie wdarli się do budynku. Mieli w sobie gniew, ale i strach. Nikt się nie rwał, żeby zostać przedstawicielem demonstrantów; odwaga musiałaby być tak wielka, żeby nie lękała się śmierci. Minęło zaledwie sześć lat, gdy strzelano do ludzi w Gdańsku. Nikt nie musiał o tym głośno mówić, każdy wiedział, że towarzysz komunista to tyle co bandyta, dla

którego zamordowanie zwykłego człowieka nie jest niczym specjalnym, czasem po prostu koniecznym.

Ja również wszedłem z kilkunastoma facetami do budynku, chciałem zobaczyć na własne oczy, czy to prawda o tych luksusach, o których opowiadali ludzie. Prawda. Dywany, obrazy, porządne meble, telewizory, w kantynie koniaki, szampany, na stołówce lodówki wypełnione szynkami, baleronami. Inny świat. Najbardziej wkurzyło ludzi to żarcie, którego nie było w sklepach. Z okien komitetu zaczęły wylatywać szynki, kiełbasy, dywany, a zebrani wołali: „Patrzcie ludzie, jak te czerwone świny obżerają się naszym kosztem, a my po ośmiu godzinach przy maszynie musimy zasuwać do kolejki na noc, żeby zdobyć jakiś ochłap”. Wreszcie wystraszony I sekretarz wyszedł ze swojego gabinetu, stanął w oknie na pierwszym piętrze i przemówił do zgromadzonych, obiecując, że zadzwoni do Warszawy. O to właśnie robotnikom chodziło. Kilku odważniejszych chłopaków weszło wraz z Prokopiakiem do gabinetu, żeby dopilnować, by naprawdę zadzwonił do najwyższych władz w Warszawie. Po rozmowie podszedł do okna i zapewnił zgromadzonych, że władze (nie wymieniał nazwisk) obiecały, że do 13.30 oddzwonią z Komitetu Centralnego i poinformują, jaką podjęto decyzję. Napięcie opadło, ludzie usiedli na murawie wokół budynku, rozmawiając spokojnie i cierpliwie czekając nawet dłużej o pół godziny, bo społeczeństwo było wyćwiczone w codziennym czekaniu na wszystko. Kiedy jednak do 14.00 nikt nie ukazał się w oknie, poczuli się zdradzeni i wpadli do środka gmachu, żeby szukać I sekretarza. Nie znaleziono go, bo

już został wyprowadzony na zewnątrz. Uciekł jak wstrętny szczur, dolewając benzyny do ludzkiego gniewu, i dlatego doszło do podpalenia komitetu. Gdyby miał jaja, okazał się mężczyzną i rozmawiał z ludźmi szczerze, na pewno nie doszłoby do podpalenia. Ja nigdy bym nie podał ręki takiemu człowiekowi. Widnieje na mojej czarnej liście i koniec. Koniec, koniec, koniec.

Nagle nad komitet nadciągnęły helikoptery. „Spadam stąd” – w mojej głowie zadziałał system alarmowy, więc zacząłem się przedzierać przez gęsty tłum w stronę Słowackiego; za kilka dni zamierzałem wyjechać. Powinni i beze mnie wywalczyć co trzeba, czyli odwołanie podwyżek. Na razie o czymś więcej się nie marzyło. Chociaż większość ludzi gardziła komuną, po cichu życząc sobie i bliskim, żeby ten system zdechł jak najszybciej, myślano wówczas, że nie zdechnie przed zdechnięciem u Ruskich, bo cóż mógł zdziałać niewolnik z gołymi rękami? Coś jednak zaczęło się zmieniać. Co? Trudno powiedzieć. Jakby trochę się bać zaczęli, leciutko miękli. Nawet taki niby drobiazg. Widziałem pełno milicjantów po cywilnemu i nie po cywilnemu, przyglądali się demonstracji i nie interweniowali, ogarnięci jakby paraliżem, co wcześniej było nie do pomyślenia. Nie chciałem narażać osobistego szczęścia, które pomimo młodego wieku udało mi się stworzyć, a właściwie stworzyło się samo, bo ze szkolnej miłości przyszedł na świat Louis-Paul. Takie cudzoziemsko brzmiące i piszące się imiona wybrała Maryla razem z mieszkającą od kilku lat we Francji jej starszą siostrą, która została matką chrzestną naszego synka. A co najdziwniejsze, urzędnicy wyrazili zgodę, by wpisać

te francuskie imiona do metryki obywatela polskiego urodzonego w Radomiu w 1973 r.

I jakby tymi imionami został przypieczętowany los Louisa-Paula; po latach skończył studia we Francji, obecnie jest wziętym adwokatem w Strasburgu.

Kiedy okazało się, że Maryla jest w ciąży, nie stało się to żadnym życiowym dramatem, bo w tym naszym szczecińskim szczęściu mieliśmy dodatkowe szczęście – mądrość dorosłych, którzy nas otaczali. Nikt jej nie potępił, wszyscy pomagali: jej rodzice, moja matka (mój ojciec już nie żył, a również obdarowałby ją ciepłym słowem), wychowawczynie, koleżanki, dyrektorka szkoły. W tamtych czasach w takiej sytuacji zwykle wyrzucano uczennicę ze szkoły, a ją wychowawczynie przekonała, by nie opuszczała zajęć, dopóki jest w ciąży, i ukończyła pierwszą klasę liceum. To było Liceum im. Marii Konopnickiej. I tak się stało. A gdy Louis miał kilka miesięcy, zajęła się nim teściowa, żeby Maryla mogła kontynuować naukę w liceum zaocznym, gdzie i ja zacząłem uczęszczać po ukończeniu szkoły budowlanej z wyuczonym zawodem elektromontera i razem chodziliśmy na zajęcia, razem odrabialiśmy lekcje.

Ja miałem jeszcze dodatkowe zajęcie. Od dziecka ciągnęło mnie do sportu, a moją największą pasją stał się boks. Zacząłem trenować dzięki koledze z sąsiedztwa, Bogusio-
wi Gutkowskiemu, z którym po raz pierwszy wybrałem się do hali Broni na Narutowicza. Miałem wówczas 14, może 15 lat. Trafiłem na świetnego nauczyciela Kazimierza Budlusa – boksera wagi lekkiej. On mnie nauczył, czym jest boks i wpoił zasady, których się trzymam przez całe życie.

Wcześniej straciłem ojca. Mama, jak to mama, była zbyt pobłażliwa, dawała mi za dużo swobody. Ten pierwszy trener zaszczerpił mi samodyscyplinę, punktualność, nauczył techniki. Sport hartuje, kształtuje charakter. To były piękne czasy dla boksu: Kazimierz Paździor, złoty medal na igrzyskach olimpijskich w Rzymie – pracował i trenował w tym samym klubie Broni co ja, ale wcześniej oczywiście. Podziwiałem Zbigniewa Pietrzykowskiego, który w 1960 r. na olimpiadzie o mały włos nie pokonał Cassiusa Claya. I jeszcze Marian Kasprzyk, który zdobył brązowy medal na olimpiadzie w Rzymie, a złoto w Tokio. Takich miałem mistrzów, im chciałem dorównać, marzyłem, żeby wejść do pierwszej ligi, pojechać na olimpiadę, zdobyć złoto.

Moi trenerzy dostrzegli we mnie talent i przepowiadali wielką przyszłość, więc moje marzenia wcale nie były takie „bez danej racji”, jak mawiała mama, która marzenia dzieliła na „bez danej racji” i na „nie bez danej racji”. Boksowałem też pod okiem świetnego technika Henryka Koziola, który powiedział, że praca nóg to podstawa: „nogi, nogi, nogi, chłopcze”. Spośród innych zawodników wyróżniało mnie wyjątkowo mocne uderzenie. Już miałem pewne sukcesy – zdobyłem mistrzostwo okręgu kieleckiego, zostałem przyjęty do kadry polskiej juniorów i brałem udział w turniejach. Za jedną walkę otrzymywałem 12 zł 50 gr – wtedy czekolada wedlowska kosztowała 19 zł. To były czasy, że nie liczyła się kasa, lecz sport, rywalizacja, radość ze zwycięstwa. Pracowałem, uczyłem się, trenowałem wytrwale, narzuciłem sobie ostrą dyscyplinę, miałem bowiem cel, chciało się żyć.

– Żebyś kłopotów sobie nie narobił – powiedziała zafrasowana teściowa, gdy po kilku minutach wpadłem do domu i opowiadałem podekscytowany, co się dzieje na mieście.

– Jakich kłopotów. To oni mają kłopoty. Ze strachu robią w gacie – odparłem z przekonaniem.

Przez okienko na strychu wyszliśmy ze szwagrem na dach. Na dachach wszystkich domów wokół stali ludzie. Dobrze było widać wzbijający się dym nad komitetem. Co wtedy pomyślałem? Konkretnie jakie myśli? Różne, a wszystkie radosne. Coś jeszcze? Duma. Duma z radomskich ludzi.

Wieczorem przyszło kilku znajomych, by wymienić się wrażeniami z tego niezwykłego dnia. Ktoś przyniósł pół litra. Nawet z tak niezwykłego powodu nie wychyliłem ani jednego kieliszka, bo jako sportowiec nie piłem i nie paliłem, i zresztą nikt mnie nie namawiał. Każdy po kolei relacjonował migawki z dnia chwały.

– Idę, patrzę i się zachwycam – zaczął Boguś. – Czegoś takiego nigdy w życiu żeście nie widzieli. Z Merino przy Wałowej chłopaki wynieśli bele tkanin i pach, rozwinęli po ulicach środkiem i mieniło się na żółto, zielono, bordowo, niebiesko. Jeszcze nigdy w Radomiu nie było tyle piękna. Idę, a pod antykwariatem leży książka, no to ja ją za pazuchę. Do żadnego sklepu bym nie wszedł, żeby kraść czy tak wziąć ze zwykłej sprawiedliwości. W domu patrzę – drugi tom *Chłopów*. Matka mówi, wracaj po pierwszy. Żartem tak.

– A mnie mało co nie złapali z Grzesiem – gorączkował się Rysiek. – Pracował w Zakładach „Waltera”, ale jako umyślowego zamknięto go wraz z innymi na klucz. Kierownik

siedział na krześle przy drzwiach i nie było co marzyć, żeby ruszyć razem z fizycznymi na protest. – Nie chcieliśmy używać siły, żeby kierownika poturbować i odsunąć, bo w sumie to porządny chłop. O zwykłej godzinie nas wypuścili do domu. Po południu zabrałem synka, żeby pokazać mu historię. Wyszliśmy na Żeromskiego, idziemy, idziemy, gryzie gaz w oczy, ale idziemy. Szkła pełno, ludzi dużo jeszcze, takich bardziej gapiów ciekawskich. Przystanęliśmy przed sklepem muzycznym naprzeciwko pl. Konstytucji, szyba wystawowa wybita, z wystawy gitary, saksofony poznikały. Codziennie tamtędy przechodzę i od razu spostrzegłem, czego brakuje. W środku jakiś chłopak siedział przy pianinie i grał, koncert z radości grał dla ludzi, co się przed sklepem zgromadzili. My też postaliśmy, żeby posłuchać, ale Grzesiowi oczy już zaczęły łzawić, więc zawróciłem do domu. Patrząc, a z Witolda maszeruje kolumna ZOMO w hełmach, z tarczami, z pałami i walą rytmicznie, tak jakoś strasznie w te tarcze. Zawróciliśmy i biegiem do tego sklepu muzycznego, żeby ostrzec pianistę: „Hej! Ty! Uciekaj, uciekaj!” – drę się, a on nic. „Cała kompania tu maszeruje! Zwiewaj stąd!”. Chłopak nawet podniósł głowę i spojrzał na mnie, i tylko wzruszył ramionami, i grał dalej. „Zwiewaj kretynie, bo cię pobiją, że własna matka cię nie pozna!” – raz jeszcze się rozdarłem i musiałem biec z Grześkiem przed siebie. Obejrzałem się, a już pierwszy szereg zomowców skręcał z Witolda w Żeromskiego, a my chodu do bramy przejściowej i drugą bramą na Kelles-Krauza.

Kolega szwagra widział milicjanta po cywilnemu, jak wywaliał cegłą witrynę sklepu z alkoholem na rogu Słowa-

ckiego i 1 Maja, a potem stał z boku i obserwował. Jedni przechodzili, patrzyli, szli dalej, inni korzystali z okazji i wynosili całe skrzynki wódki.

Taka myśl przeleciała mi nie wiadomo skąd przez głowę, żeby zgarnąć do walizki co najpotrzebniejsze, zadzwonić po taryfę, zabrać żonę i synka, pojechać na dworzec, wsiąść w pierwszy pociąg do Warszawy, a w Warszawie poczekać na jakieś połączenie do Słupska, niechby nawet z dziesięcioma przesiadkami. Niestety, takie myśli pojawiające się nie wiadomo skąd lekceważymy, śmiejemy się z nich jako z niedorzecznych, a trzeba je szanować, bo bywa, że są dużo więcej wiedzące od nas samych. I ta myśl należała właśnie do takich.

Wpadł sąsiad i od progu woła:

– Wiecie chłopaki, że Płock i Ursus strajkują?

Z tej przyczyny też poszedł do spiżarni po butelkę orzechówki, którą osobiście zrobił ze swoich orzechów i trzymał na imieniny. Mimo że miałem z samego rana trening, wypilem kieliszek za braci z Ursusa i Płocka.

Dzień drugi

Rano, zanim wyskoczyłem z pościeli, przeżyłem raz jeszcze dzień wczorajszy od poranka do nocy, a później w swoim rytmie udałem się do hali Broni – wciąż trenowałem, mimo że mnie zawieszono w prawach zawodnika, po tym jak się dowiedziano, że przechodzę do klubu w Słupsku. Umożliwił mi to w tajemnicy mój świetny trener i porządny człowiek – Henryk Koziół. Wiedział, że bez treningu sportowiec szybko

traci formę, staje się kapciem. Walczyłem właśnie pod jego okiem, kiedy przyleciał zziębnięty Marian Głowacki – chłopak z sąsiedztwa.

– Szukają cię.

– Kto?

– A ja wiem? Myślisz, że się przedstawili? Przyjechali w dwie czarne wołgi i najpierw wpadli do ciebie, a potem po sąsiadach; gdzie ten bandyta, znaczy ty, rozpytuja.

Przekonany, że to jakaś pomyłka, spokojnie wziąłem prysznic, a wychodząc, zapowiedziałem trenerowi, że jutro stawię się o tej samej porze.

Gdy wracałem do domu, po raz drugi przez głowę przeleciała mi myśl, żeby szybko się spakować i wyjechać z rodziną. Niech sobie szukają. I znowu nie posłuchałem.

W domu wszyscy zdenerwowani.

– Szukali cię. Kazali, żebyś zgłosił się do prokuratury, żebyś wyjaśnienia złożył. Że do ciebie nic nie mają, tylko wyjaśnienia jakieś chcą – usłyszałem.

– Trzeba iść, nie mam nic do ukrycia – odparłem.

Zachowałem się poważnie i udałem się z Marylą i jej bratem na rozmowę do prokuratury. Róg Żeromskiego i Focha.

W gabinecie siedziało dwóch panów w garniturach, bardzo uprzejmi, grzeczni, ale dziwne pytania zadawali. Mocno głupkowate.

– Czy sklepy są potrzebne?

– Pewnie, że potrzebne. A jeszcze lepiej byłoby, żeby coś było w tych sklepach – odpowiedziałem, wzruszając ramionami.

– A gdzie pan kupił te spodnie? – wskazał na dżinsy z Odry.

– W Domu Towarowym „Junior”.

– A buty?

– W obuwniczym na Traugutta.

Jeden z tych mężczyzn zapisywał te dziwne pytania i dziwne odpowiedzi, a drugi mnie uspokajał, że wszystko jest w porządku, nic do mnie nie mają, ale muszę się przejść na komendę, tam podpiszę zeznania i wrócę do domu. Trochę się zdziwiłem, bo przecież tu mógłbym to zrobić, ale widocznie takie były bezsensowne procedury. Ja z żoną i szwagrem szliśmy pierwsi, a ci dwaj za nami. Komenda mieściła się na Kilińskiego, około 500–700 metrów dalej. Rozmawialiśmy, pamiętam, w żartobliwym tonie, to był piękny słoneczny dzień. Kiedy doszliśmy do drzwi komendy, jeden z prokuratorów puścił mnie przed siebie, a do Maryli i szwagra powiedział „stop” i gestem pokazał, by się wynosili. Kiedy zamknęły się za nami drzwi, zobaczyłem piekło. Na posadzce w plamach krwi leżeli pobici, jęczący ludzie i przez moment stałem osłupiały, aż jakiś milicjant popchnął mnie w kierunku biurka i kazał podpisać podsunętą kartkę. Czytam – nakaz zatrzymania.

– Ja tego nie podpiszę! – odłożyłem długopis. Sam sobie miałbym nakazywać, by zostać zatrzymanym? Wariaci.

Wtedy się zaczęło. Bito mnie długimi pałkami wypełnionymi przy końcówkach ołowiem, a gdy upadłem, kopano w rytm: ty bandyto, ty psie, ty warchole, a następnie przesuwano kopniakami w stronę schodów, które prowadziły na tzw. dołek, gdzie mieściła się cela dla zatrzymanych.

Po obydwu stronach stali oprawcy z pałami i każdy chciał sobie uderzyć. W celi przeznaczonej dla dwóch, może trzech osób, przebywało 15 – nawet do 20 młodych mężczyzn. Oni byli katowani już drugi dzień. Na pokrwawionych plecach i głowach uwięzieni kładli sobie nawzajem zimne okłady z kawałków mokrych ręczników. Wielu miało rany na głowie, bo milicjanci wyrzynali włosy scyzorykami i zdarzało się, że wraz z kawałkami skóry. Mieliśmy spać na materacach przyciśnięci jeden do drugiego, ale co jakiś czas robiono nam pobudkę i wzywano na górę, na przesłuchanie. Nie potrafiłbym zliczyć ile razy.

– Idziemy, idziemy! – wrzeszczeli i znowu bili, wyprowadzając nas z celi.

Naprawdę byli wściekli. Od niektórych czuć było alkohol. Żeby tak działała wódka? Na wszystkich? Przecież niektórzy po wódce stają się rozluźnieni, weseli, łagodniejsi. Takich nie było. Same rozwścieczone bestie. Kazano nam po kolei stawać przy skrzynkach z wódką na tle ściany i robiono zdjęcia. Najgorsze, że nie miałem pojęcia, czego ode mnie chcą, o co jestem oskarżony. Idąc na kolejne przesłuchanie, widziałem na korytarzu kobiety w różnym wieku obnażone do pasa, z sinymi pręgami, płaczące.

Domagałem się widzenia z prokuratorem. Pragnąłem mu opowiedzieć minuta po minucie, co robiłem 25 czerwca na Żeromskiego i pod komitetem na 1 Maja. Wydawało mi się, że jako człowiek wykształcony, na pewnym poziomie, zrozumie, że zaszło nieporozumienie, bo ci na komendzie zachowywali się jak oszalałe zbiry pragnące jednego: bić, kopać, wybijać zęby.

W areszcie

Nareszcie się doczekałem. Na drugi dzień miałem wyznaczone spotkanie z prokuratorem i odetchnąłem z ulgą, że zostanie wyjaśnione całe to nieporozumienie i ten człowiek uratuje mnie, ale gdy esbek otworzył drzwi i usłyszałem z głębi pokoju „Dawać tego bandytę”, zacząłem podejrzewać, że ten elegancki urzędnik państwowy również jest zbirzem. Usiłowałem mu wytłumaczyć, że znalazłem się tu przez jakąś koszmarną pomyłkę, jednak prokurator wcale nie był ciekaw, jak spędziłem 25 czerwca.

– Ty bandziorze – usłyszałem. – Dostajesz wyrok jednego miesiąca aresztu za udział w demonstracji.

Wyprowadzono mnie, a tam już na mnie czekano. Zacząłem się bronić. W sportowcu siedzą sport i siła, działa odruchowo. Zawodowy bokser nie jest w stanie biernie znosić uderzenia, ponieważ ma wpojone: ktoś uderza – oddaj, nie daj się, zasłoń, atakuj. Nie wiedziałem, czy bardziej sobie szkodzę, czy ratuję, bo ich było kilku; z pałami i w podkutych buciorach, dobrych do kopania, a ja sam z gołymi pięściami i w sandałach. Nagle zauważyłem znajomego milicjanta Mariana Cebulę, który bywał u mojego szwagra w domu. Nawet kilka dni wcześniej widziałem, jak pili wódkę w stołowym. Szwagier prowadził prywatny zakład, a za komuny tzw. prywatna inicjatywa, żeby w ogóle funkcjonować, musiała wszystkim dawać łapówki, mieć wszędzie znajomości, układy, stawiać wódkę tym z urzędu skarbowego, milicjantom i esbekom. Zdesperowany zwróciłem się do niego, żeby mi pomógł, żeby powstrzymał tych oprychów,

a on otworzył jakieś drzwi na korytarzu i chciał po prostu uciec. To zachowanie tak mnie oburzyło, że przytrzymałem drzwi i tłukłem nimi tego szczura o ścianę za każdym razem, gdy dostawałem razy od milicjantów: pałą w plecy i kopa podkutym butem poniżej pasa.

Popchnęli mnie w stronę schodów, żebym zszedł do celi na tzw. dołek. Spojrzałem w dół, a na schodach przez dwa piętra, na co drugim, trzecim stopniu, tak samo jak na korytarzu, czekali milicjanci i zomowcy z pałami. Ogarnęło mnie przemożne przeświadczenie, że nie przeżyję już tego bicia i w jednej sekundzie podjąłem decyzję. Zanim ktoś się zorientował, co mam zamiar zrobić, przeskoczyłem balustradę i poleciałem w dół. Nie chciałem się zabić, po prostu zapamiętałem, że pomiędzy parterem a schodami do piwnicy rozciągnięto metalową siatkę. Spadłem na nią, a siła uderzenia spowodowała, że się odbiłem i przeturlałem na cementową posadzkę. Natychmiast mnie dopadli ci, którzy czekali na dole, i zaczęli okładać pałami po nerkach, kręgosłupie, po głowie, a gdy upadłem, mocno kopali. Poderwałem się i nastąpił moment pozytywny, bo uratował mnie znajomy milicjant Węgliński – mieszkał przy poczcie na Słowackiego i pracował jako klawisz w areszcie na komendzie – po prostu złapał mnie za fraki i wciągnął do celi. Już nie żyje, a szkoda, bo chciałbym mu powiedzieć, że wciąż czuję do niego wielką wdzięczność. Możliwe, że uratował mi życie i chciałbym mu podziękować, niestety jest już za późno.

Modliliśmy się, żeby jak najszybciej zabrano nas do więzienia. Tu nie dało się spać, wciąż zabierano nas na przesłuchania, a po drodze czekała ścieżka zdrowia.

Wreszcie po trzech dniach i nocach nadszedł ten dzień. Skuto nam ręce wykręcone do tyłu i wyprowadzano do samochodu, który więźniowie nazywali lodówką – to była wielka metalowa paka bez okien. Zajechali pod więzienie, ale nie od Malczewskiego, tam gdzie główne wejście, lecz od strony dziedzińca. Gdy otworzono lodówkę, nikt się nie rwał, by wyskoczyć na plac, ujrzelśmy bowiem przed sobą znowu nasz koszmar – ścieżkę zdrowia obsadzoną zomowcami. Czekali na nas z długimi pałami, z uśmiechem na ustach. Stali w lekkim rozkroku, prawe kolana mieli w lekkim ugięciu. Wszyscy musieliśmy przejść przez tę ścieżkę. Nie można było zasłonić głowy przed uderzeniem, bo ręce skuto nam na plecach, nie można było zbyt szybko biec, by uniknąć chociaż jednego uderzenia, ponieważ pokrzywdzony zomowiec wołał „Jeszcze ja!”. I wówczas więźnia zawracano, i musiał raz jeszcze przebiec tę samą drogę i z powrotem, i każdy mógł sobie uderzyć jeszcze dwa razy.

W więzieniu warunki „mieszkaniowe” okazały się o wiele lepsze aniżeli na komendzie. Umieszczono mnie w celi z wielkim, niemal dwumetrowym Zygmuntem Zabrowskim. Nie był nowicjuszem i znał wszystkich klawiszy. Na początku obawiałem się go, uważałem, że taki współwięzień może być dodatkową opresją. Tymczasem okazało się, że Zygmunt wcale nie jest żadnym poważnym przestępcą. Pracował w Zakładzie Włókien Wtórnych i Skórzanych. Zatrzymywano go za jakieś drobne przewinienia, często wyimaginowane, po prostu miał uczulenie na socjalizm i milicję, a że nie potrafił zachować dyskrecji, wręcz przeciwnie, mieli go

na oku. Wcale mnie nie gnębił, raczej chronił, bo miał duszę przyzwoitego człowieka.

Nastąpiło uspokojenie, a ono przyniosło ocenę sytuacji. Po raz pierwszy poczułem, że świat mi się zawalił. Akurat w momencie, gdy miałem wyjechać, urządzić się w nowym mieście, trenować boks w nowym klubie. Przecież byłem w kadrze narodowej polskich juniorów. W Słupsku obiecano mi trzykrotnie większą pensję aniżeli w Radomiu, po upływie roku mieszkanie, 40 tys. na zagospodarowanie i samochód. Nie mogłem sobie darować, ale nie tego, że brałem udział w demonstracji, że jeździłem po zakładach, zachęcając ludzi do wyjścia na ulicę.

Żałowałem, że nie posłuchałem swojej intuicji, która mi podpowiadała, żeby spakować się błyskawicznie, zabrać rodzinę i wyjechać w stronę Słupska. Szukaliby mnie i nie znaleźli i wtedy machnęliby ręką na jakiegoś Stacha Kowalskiego. Na jego miejsce dorwaliby innego, który nie miałby tyle do stracenia co ja. Zorientowałem się, że im chodzi o ilość. O sztuki, a nie winnych. Fatalnie znosiłem bicie. Gdyby to byli wrogowie, wojna, Niemcy czy Ruscy może bym tak nie przeżywał tego poniżenia. Rozpamiętywałem opowieści ojca o kolejnych pobytach w obozach koncentracyjnych. Wiedziałem, że moja sytuacja jest z tamtą nieporównywalna, ale gorsza w jednym, że oprawcami byli swoi. Za każdym razem, gdy o tym pomyślę, łzy napływają mi do oczu, a minęło już 40 lat.

– Ty głupi jesteś, Kajtek. – Zygmunt nadał mi takie imię, zapewne ze względu na dużą różnicę wzrostu między nami.
– Młody i głupi. Jacy Polacy? Oni nie tylko ciebie by sprzedali

dla paru złotych, ale własną matkę. Zawsze takie ścierwa były w narodzie, są i będą – tłumaczył.

Może w zbyt krótkim czasie zderzyłem się z takim ogromem zła. Byłem załamany. Może zbyt szybko musiałem sobie poprzestawiać w głowie; do tej pory myślałem, że ludzie są z gruntu dobrzy. Owszem wiedziałem, że zdarzają się różne kreatury, zwyrodnialcy, ale sądziłem, że są to rzadkie przypadki i dobro ma dużą przewagę. I nagle dotarło do mnie, jak okropnie się myliłem; okazało się, że dobro leży znokautowane na deskach, a nad nim stoi uśmiechnięte zło. I pewnej bezsennej nocy wstałem cicho jak kot, podarłem ścierkę, powiązałem w sznur i powiesiłem się na kracie. Gdybym przebywał w celi sam, zapewne próba samobójcza by się powiodła, ale akurat Zygmunt obudził się i mnie odratował.

Po kilku dniach zabierano ludzi na strzyżenie, prawdopodobnie dlatego, że wielu miało powycinane nożem włosy i to źle wyglądało, tym bardziej, że znęcali się nad połową głowy. A wkrótce miały się zacząć procesy i mogli przyplątać się jacyś wywrotowi dziennikarze.

– My się nie damy – oznajmił buńczucznie Zygmunt. – Nie pozwolę, żeby nas ostrzygli na zero.

Zapytałem, w jaki sposób.

– Zobaczysz. Przyjdą po nas, to ci pokażę.

– Wychodzimy do fryzjerni! – klawisz stał w drzwiach, drugi wszedł, żeby założyć nam kajdanki.

W tym momencie Zygmunt skoczył do okna, łokciem wybił tak umiejętnie szybę, że trzymał w ręku dwa szklane sierpy. Jeden podał mnie, a drugi przyłożył sobie do brzucha, a ja za nim.

– Jak nas ruszycie, poślizgnięcie się łajzy na naszych bebechach – zagroził.

Dali spokój.

Zapisywałem w głowie dwie listy: oprawców i przyzwoitych ludzi. W więzieniu też istniał podział. Obiecałem sobie, że nigdy, przenigdy tej listy nie zapomnę i nie zaznam spokoju, dopóki ci oprawcy nie zostaną ukarani. Obiecałem sobie, że będę głosił do ostatnich dni swojego życia, co czerwona zaraza robiła z Czerwcowymi Ludźmi w 1976 r.

Wreszcie prokuratura sporządziła akty oskarżenia i zaczęły się rozprawy sądowe. Zapakowali nas w sześciu do „łodówki” i w obstawie kilku milicyjnych suk, ubeckich limuzyn (najwięcej wołg) podjechaliśmy pod sąd na Piłsudskiego – wówczas Nowotki Marcelego. Wprowadzono nas do dużej sali zwanej „sieczkarnią” przylegającej do sali rozpraw. Czekali tam na wezwanie oskarżeni oraz świadkowie, a wśród nich rozpoznałem kilku milicjantów po cywilnemu. Z mojej strony wezwano na świadków sąsiadów. Później mi opowiadali, że przywieźli ich sukami, a milicjanci instruowali, jak mają prawidłowo zeznawać, bo inaczej pożałują, ale nie dali się zastraszyć. Zgromadzono tam około 50 ludzi. Swoich sąsiadów znałem, było ich chyba sześciu. A kim byli pozostali? Co mieli do powiedzenia sądowi? Z ciekawością czekałem, jakie zarzuty zostaną mi postawione i wkrótce się dowiedziałem.

Przewodniczącą składu sędziowskiego była sędzia Urszula Rynko. Z mojego domu wygarnięto z szafy wszystkie ubrania i zawinięte w koc dostarczono jako dowody kradzieży. Jednak wystarczyło jedno spojrzenie, by się prze-

konać, że takiej odzieży, w takim gatunku nie uświadczono się w polskich sklepach. Te ubrania przysyłała z Francji starsza siostra mojej żony Maryli i łatwo to było udowodnić. Oskarżyciel miał inny pomysł – te rzeczy zostały ukradzione w Peweksie. Na szczęście w Peweksie nie zostały wybite witryny i nic stamtąd nie wyniesiono. I to mnie uratowało. Jeden zarzut – złodziejstwa – odpadł. Pozostał drugi mocno polityczny – udział w demonstracji i zamach na władzę ludową. Zeznawało dwóch milicjantów po cywilnemu. Jeden przyzwoity, Kapciak, zeznał, że widział mnie pod komitetem, obserwował mnie, gdy wyszedłem z tłumu i skierowałem swoje kroki na ul. Słowackiego. Szedł za mną do wiaduktu, a było to zanim podpalono budynek komitetu.

Sędzia miała kłopot, ale przyszedł jej z pomocą drugi świadek, Kędzierski – milicjant, a może esbek. Zeznał, że widział mnie pod komitetem w brązowym garniturze, piłem pepsi, a następnie rzuciłem pustą butelką w sposób chuligański w budynek siedziby Komitetu Wojewódzkiego PZPR. Dla sądu nie miało żadnego znaczenia moje zeznanie, że nigdy nie posiadałem brązowego garnituru, bo po pierwsze nie lubię koloru brązowego, a po drugie, nawet gdybym posiadał, to nie założyłbym go w upalny i w dodatku zwykły dzień. „Jako sportowiec raczej ubieram się na sportowo. O, tak jak teraz na przykład, wysoki sędzie” – przekonywałem, ale sędzina nie dawała wiary moim wyjaśnieniom. Uwierzyła milicjantowi i jego opowieści o brązowym garniturze i zamachowi pustą butelką na socjalistyczny ustrój.

Podczas rozprawy zorientowałem się, że sąd pragnie udowodnić tezę, że w demonstracji nie brała udziału

zdrowa klasa robotnicza popierająca ustrój socjalistyczny, lecz element przestępczy, chuligański i trochę im do tego obrazka nie pasowałem, ale nie aż tak, żeby mnie wypuścili ze swoich łap. Prokurator postawił mi zarzut z artykułu 275 o udział w nielegalnym zgromadzeniu publicznym i za ten czyn domagał się 6 lat więzienia.

Najważniejszym świadkiem koronnym, niezwykle pożytecznym dla sądu, był Waldemar Chochowski. Znałem go, ponieważ był bokserem. Wielu ludzi z powodu jego zeznań zostało skazanych. A gdy przyszła moja kolej i prokurator go zapytał, czy rozpoznaje mnie jako prowodyrę wydarzeń wymierzonych przeciwko partii i narodowi, zwiesił głowę, nie śmiał mnie fałszywie oskarżyć. I tak okazał się szują, bo wielu ludzi niewinnych przez niego trafiło do więzienia. Między innymi zeznawał przeciwko niejakiemu Kobylko, twierdząc, że widział go podczas wypadków czerwcowych z rękami pociętymi szkłem, co miało świadczać, że wybijał witryny w sklepach i pewnie kradł. Fałszywie oskarżony Kobylko zaczął krzyczeć: „Ty łachudro, gdzie ręce pocięte! No gdzie?!”. Wyciągnął przed siebie ramiona i obracał nimi, żeby sędzina i prokurator mogli zobaczyć, że ma gładkie ciało, bez żadnych śladów, bez blizn. Przecież w ciągu miesiąca nie mogły się zupełnie zbliznić ślady po cięciu szkłem. Niestety, do sędziny nie docierały żadne argumenty.

Kiedy już znalazłem się na ścieżce zdrowia, w krótkim czasie poznałem mnóstwo ludzi szlachetnych, ale i zwykłe kanalie. I ci, i ci mnie zaskakiwali. Przez kilka miesięcy posiadałem dużą wiedzę o ludzkiej duszy, na pewno większą niż ci, którzy studiowali przez kilka lat psychologię.

Sąsiedzi pomimo zastraszania ze strony esbeków zeznali, że już około 14.00 wróciłem do domu i z dachu, wraz z nimi, obserwowałem przebieg wydarzeń. Sędzia nie dała im wiary i skazała mnie na 3 lata, tłumacząc się prokuratorowi, dlaczego okazała taką łagodność; do tej pory nie byłem karany, uczyłem się, pracowałem, miałem dobrą opinię. Zapamiętałem jej słowa:

– Sąd Polskiej Rzeczypospolitej Ludowej daje panu szansę na poprawę i powrót do społeczeństwa socjalistycznego.

Wiedziałem już, na czym stoję. Skończyła się niepewność – bałem się, że mnie zatłuką na śmierć lub gdzieś wywiozą w nieznane – po głowie chodziła mi Syberia.

Wstąpił we mnie nowy duch. Czułem dumę, że brałem udział w tych wypadkach, że my, ludzie z Radomia, postawiliśmy się tym komunistycznym siepaczom. Mimo że czekały mnie 3 lata odsiadki, nie żałowałem.

Więzienie

Pod koniec lipca wraz z kilkoma więźniami wieziono mnie przez trzy dni do więzienia w Strzelcach Opolskich. Szybko się okazało, że towarzysze podróży są zwykłymi przestępcami, w tym jeden morderca. W „łodówce” dusiliśmy się z gorąca i ciasnoty. Półprzytomni zajechaliśmy na miejsce. Na dziedziniec wyszedł naczelnik więzienia, żeby nas powitać. Było nas kilku, a on zapytał, który to Stanisław Kowski, a kiedy wystąpiłem, powitał mnie takimi słowami:

- Po co żeś tu, radomski bandyto, przyjechał?
- Odsiedzieć wyrok.

- Nie odsiedzisz.
- Dlaczego?
- Bo cię tu wykończymy. Tu wam nikt i nic nie pomoże.

To było ciężkie więzienie dla poważnych przestępców z wieloletnimi wyrokami, dożywociem, a nawet skazanymi na karę śmierci. Siedzieli wówczas sławni mordercy z Rzepina – Zakrzewscy. Ojciec Józef czekał na wykonanie kary śmierci, a syn odsiadywał 25 lat. Synowi nadano ksywę „Dyrektor”, ponieważ ukończył zaledwie szkołę podstawową, a zatrudniono go w bibliotece więziennej. Później się powiesił.

Takie ciężkie więzienie ma i dobre strony, ponieważ skazani unikają niebezpiecznych tematów, żeby nie załamać się psychicznie; nie analizują wyroków, nie przypominają codziennie, ile lat trzeba jeszcze spędzić za kratami, nikt nie uważa się nad sobą, nie jęczy, że siedzi za niewinność, jest zbrodnia, jest kara. Rozmawia się o zdrowiu i ogólnych życiowych tematach.

Z moim zdrowiem nie było dobrze. Kilka miesięcy czułem ból w mięśniach i kościach po biciu, a do płuc dostała się krew. Za radą doświadczonych więźniów leczyłem się syropem z cebuli.

Miło wspominam pewnego Czecha, którego przewieziono do Strzelca z Czechosłowacji, ponieważ zastrzelił jakiegoś polskiego ubekę. Za udział w podziemnym ruchu oporu został skazany na karę śmierci, zamienioną na dożywocie, a następnie na 25 lat. W Czechosłowacji odsiedział już 5 lat, ale nie chciano ich odliczyć od całego wyroku, miał więc siedzieć 30 lat, a już był starszym człowiekiem i wciąż pisał jakieś bezskuteczne podania, odwołania. Podziwiałem go

jako człowieka o kryształowym morale. Wszyscy go szanowali, więźniowie zwracali się do niego „wujek”. Przez wiele lat budował z zapalek skrzypce, a kiedy skończył, jakiś klawisz rzucił je na podłogę i rozdeptał.

Niektórzy klawisze okazali się porządnymi ludźmi, dawali mi do zrozumienia, że są po mojej stronie, że w ogóle wielu ludzi jest po stronie Radomia. Jeden ze strażników przyniósł mi dobrą wiadomość, że mówiono o mnie w Wolnej Europie. Postanowiłem, że będę prowadził pamiętnik. Poprosiłem, żeby mi kupiono zeszyt i starałem się codziennie zapisywać swoje przemyślenia. Opisywałem, jak wyglądał więzienny dzień. Weszło we mnie inne życie. Wiele rozumiałem po tym, co się wydarzyło. Dotarło do mnie, czym jest polityka, że trzeba się nią interesować, żeby nie dać zrobić z siebie potulnego idioty.

Miałem czas. Myślałem o ojcu, który wiele lat spędził w obozach koncentracyjnych. W czasie okupacji należał do tajnej organizacji w straży pożarnej w Radomiu, gdzie pracował.

– Wie pani, gdzie na starym cmentarzu, na Limanowskiego jest grób zbiorowy strażaków, taki z czerwonej cegły?

– Wiem, przechodzę tą alejką, gdy idę na grób swoich rodziców.

– Tam pochowano 30 strażaków, kolegów ojca, którzy zginęli za akcję na Niemcach z 6 lipca 1944 r. – dwóch zabito, a jednego raniono. Następnego dnia rozstrzelali schwytanych strażaków pod murem cmentarza. Dopóki ojciec nie wrócił z obozu, mama była przekonana, że on również został rozstrzelany, że jest wdową.

– Panie Stanisławie, wracajmy do rozmowy o więzieniu w Strzelcach Opolskich.

– Ja właśnie opowiadam, o czym myślałem w więzieniu. W odwiedzinach przyjechała mama ze starszym bratem Zygmuntem, ucieszyłem się i trochę zmartwiłem, że nie z Marylą. W następnej chwili pojąłem, że stało się coś złego, bo mama zaczęła płakać, ale nie na mój widok; ten płacz przywiozła z Radomia. Brat przekazał mi okropną wiadomość – Maryla wystąpiła o rozwód, chciała wyjechać do siostry, do Francji i zacząć nowe życie, nie miała zamiaru czekać 3 lata.

Wtedy też po raz pierwszy usłyszałem o Komitecie Obrony Robotników, ponieważ ludzie z KOR-u przychodzili do mamy, oferowali pomoc. Proponowali do obrony adwokata, ale podziękowałem. Postanowiłem trzymać się jednego – mecenasa Suwały, który od początku prowadził moją sprawę i miałem do niego zaufanie.

Czuło się w powietrzu, że idzie zmiana. I pewnego poranka otworzyła się cela:

– Kowalski Stanisław, syn Stanisława, szykuj się, wychodzisz – obwieścił klawisz w otwartych drzwiach celi.

Sąd Najwyższy raczył zamienić mi trzy lata na pięć w zawieszeniu.

Powrót

W styczniu 1977 r. wsiadłem do pociągu w letnim ubraniu, ogolony na łyso. Wtedy nikt dobrowolnie tak się nie oszpecał, wszyscy od razu wiedzieli, że ktoś taki musiał opuścić wię-

zienie. W pociągu panował okropny tłok, ale wystarczyło jedno słowo w odpowiedzi na czyjeś pytanie „za co?”. „Radom”. Natychmiast zostałem otoczony opieką, w całym pociągu zrobiła się wielka solidarność, wszyscy chcieli mi pomagać, zaraz znalazło się miejsce, mogłem się nawet przespać, częstowali kanapkami, w Katowicach ktoś pobiegł i kupił mi ciepłą kurtkę, prawie do kolan, widocznie tylko takie były. Polacy czuli radomski czerwiec, okazywali wdzięczność.

Powrót w inny czas, inne miejsce nie był radosny; nie miałem już żony, dziecka ani pracy. A ponieważ odebrano mi zdrowie, straciłem również swoją pasję – boks. Do tego doszedł wstyd, że znalazłem się na utrzymaniu matki, więc zacząłem jej pomagać. Zawsze zajmowała się handlem, nauczyła się go mimo woli podczas okupacji, gdy jej męża wywieziono do obozu koncentracyjnego. Została sama z małym Zygmuśkiem. Przez dwa lata była poszukiwana przez Gestapo, nie mogła mieszkać w swoim domu, ukrywała się z dzieckiem po wsiach wokół Radomia. Dobrzy ludzie pomogli jej przeżyć. Wtedy nauczyła się handlu, a nawiązane znajomości przydały się zaraz po wyzwoleniu: jeździła do swoich znajomych po jajka, śmietanę, sery, masło, mięso. Gdy tata wrócił – ważył 36 kilo (i to po dziewięciomiesięcznym pobycie w amerykańskim szpitalu, bo chorował na tyfus), więc ile ważył, gdy został wyzwolony obóz w Dachau? Do Dachau przewieźli go z Gross-Rosen. Mama musiała go najpierw odżywić, a i tak długo jako „bandyta” nie mógł znaleźć pracy. Gdy przyjęto go do Zakładów Metalowych, po tygodniu został wyrzucony, dowiedziano się bowiem o jego przeszłości. Dopiero po dwóch latach

zatrudniono go w Zakładach Drzewnych, gdzie przepracował całe życie. Zmarł w wieku 64 lat.

Od schyłku lat sześćdziesiątych matka zajęła się handlem kwiatami i została kwiaciarką. Miała swoje stoisko pod parasolem na pl. Konstytucji przy basenie. Moja pomoc polegała na wyjazdach na giełdę do Warszawy i przywożeniu świeżych kwiatów. I tak przy mamie nauczyłem się życiowej zaradności, która zapewniała zadawalający status materialny. Ojciec zaś wpoił mi patriotyzm, który zapewnił mi bicie i prześladowania.

Czas od 26 czerwca 1976 do lata 1981 r. uważam za najbardziej ponury w swoim życiu. Co prawda w 1979 r. znalazłem stałą pracę na etacie montera anten telewizyjnych, czułem się jednak rozbity, smutny, złamany. Odwiedzali mnie ludzie z KOR-u, oferując pomoc, ale finansowego wsparcia odmówiłem, radziłem sobie, wiedziałem, że są bardziej potrzebujący. Przychodzili też esbecy, podszywając się pod korowców. Na to też się znalazł sposób – jeden krowiec przedarł na pół kartkę i podał mi jedną część.

– Nigdy z nikim nie rozmawiaj, jeśli nie pokaże ci tej połówki, która musi idealnie pasować do twojej.

Ten prosty sposób pozwolił uniknąć niebezpiecznych rozmów.

Polowanie

Szybko uświadomiono mi, że moja sprawa zakończyła się tylko formalnie, tak dla picu. Wciąż byłem do odstrzału. To nie jest tak, że prześladowania ustały po tym, jak opuściłem

więzienie, ani nawet po sprawie uniewinniającej. Wciąż na mnie polowano. Wzywali na rozmowy na komendę, namawiali na współpracę, podsuwali do podpisu papier. A gdy nie chciałem się zgodzić, wzywali i straszili. Czułem się, jakby wydali na mnie wyrok i dawali do zrozumienia, że tak właśnie jest. Jak wygląda polowanie w mieście na zaszczute zwierzę? Nie przychodzili po mnie do domu. Odbywało się to w ten sposób, że siedłem ze znajomymi ulicą lub sam i nagle przy krawężniku zatrzymywała się „suka”, wyskakiwał z niej milicjant, skuwał ręce i mówił: „Wypierdaj na komendę”. Często też zgarniali mnie z przystanku autobusowego. No więc musiałem iść i traciłem mnóstwo czasu, bo nieraz bardzo długo czekałem na korytarzu, a gdy wreszcie pojawił się jakiś milicjant, żeby mnie rozkuć, najczęściej był pijany. Takich bałem się najbardziej, bo zdarzało się, że chcieli się zabawić. Zapamiętałem jednego, który lubił straszyć z pistoletu – wyjmował magazynek, przystawiał mi lufę do głowy i naciskał spust.

– No co? Boisz się, boisz, ty bandyto? – pytał ubawiony. Teraz wiem, jak niebezpieczna to była zabawa, ponieważ w komorze mógł zostać jeden nabój i zostałbym zastrzelony. Nawet nie postrzelony, bo ten imbecyl przykładał mi pistolet do skroni. Czuł, że ma przyzwolenie na wszystko, nawet gdyby mnie zabił, nie zostałby pociągnięty do odpowiedzialności.

Pewnego razu w listopadzie, około godziny 22.00, stałem z kilkoma kolegami w pobliżu kina „Odeon” na Glinicach, gdy podjechała nyska. Wskoczyło dwóch milicjantów i od razu w moją stronę, więc zacząłem uciekać, świstały kule. Po raz pierwszy do mnie strzelali naprawdę. Dopadłem

do magazynów meblowych przy ul. Żeromskiego, chciałem po piorunochronie wspiąć się na dach, już byłem blisko i nagle urwał mi się film.

Obudziłem się przemarznięty i obolały o wpół do piątej rano, coś mnie uwierało w kręgosłup. Usiadłem i zorientowałem się, że leżę na torach. Poderwałem się i zacząłem uciekać. Miałem na sobie inną kurtkę, w kieszeni wyczułem jakieś klucze. Przebrali mnie, żeby po znalezieniu ciała uznano mnie za NN. Miał mnie przejechać pociąg, ale nie sprawdzili porządnego rozkładu jazdy. Partacze. Później doszedłem sam, że pociągi pędziły, ale na torach obok. Jakaś wyższa siła nade mną czuwała.

W ten sposób zamordowali Zygmunta Zabrowskiego – tego samego, z którym siedziałem w jednej celi w Radomiu i który uratował mi życie. Upozorowali, że po pijanemu wypadł z pociągu.

Wreszcie latem 1981 r. zaświeciło dla mnie słońce. Poznałem Bożenkę. Pamiętam ten dzień. Przechodząc ul. Nowotki (obecnie Piłsudskiego), wstąpiłem do kuzynki, która pracowała w małym zakładzie kuśnierskim. I tam za biurkiem zobaczyłem Bożenkę po raz pierwszy. Paliła papierosa.

– Dziecko, rzuć tego papierosa! – takie były moje pierwsze słowa.

Bardzo mi się spodobała, zaczęliśmy się spotykać i przekonałem się, że jest nie tylko dziewczyną urodziwą, ale również rozsądną i mądrą. Pochodziła z dobrego domu, gdzie wpojono jej najważniejsze zasady, miała dobrze poukładane w głowie i mogłem na niej polegać w każdej sytuacji. Żało-

wałem, że to nie ona była na miejscu tej pierwszej, na pewno by mnie nie zawiodła. Najważniejsze, że w ogóle spotkałem ją na swojej drodze. W 1982 r. wzięliśmy ślub – cichy, ale w jednej sprawie głośny. Jej ojciec – bardzo porządny człowiek, który po stracie żony w wypadku samochodowym sam wychowywał dwie córki – spoglądał na mnie niezbyt przychylnym okiem. Nie dziwiłem się i nie miałem mu tego za złe – doniesiono mu, że jestem czerwcowym człowiekiem, wciąż na celowniku esbecji. Który ojciec chciałby, aby jego córka dzieliła los człowieka ściganego. Bożenka zdecydowała o mojej i swojej przyszłości. Wszystko robiłem, żeby nie żałowała tej decyzji, a właściwie nie robiłem nic szczególnego, po prostu ją kochałem, a ona okazała się prawdziwym przyjacielem, moim dobrym duchem. Możliwe, że uratowała mi życie, ponieważ polowanie wciąż trwało – łapanka na ulicy, zakuwanie, „wypierdalaj na komendę”, rozkuwanie i tak w kółko.

Ile razy ? Proszę policzyć. Od 1977 do 1989 r. to jest 11 lat. I przez te dwa lata chwyтали mnie przynajmniej raz w miesiącu, czasem były dłuższe przerwy, czasem krótsze. Rachunek nie jest zbyt trudny. To nikczemne polowanie służb miało zadziałać na psychikę w ten sposób, by człowiek żyjący w komunie nigdy, przenigdy nie ośmielił się zbuntować przeciwko temu systemowi.

Na początku stanu wojennego ukrywałem się jakiś czas, a gdy sytuacja się uspokoiła i wróciłem do domu, okazało się, że wciąż o mnie pamiętają.

Oto przykład jednej takiej akcji. Jest wiosna roku 1984. Wraz z kolegą – taksówkarzem Robertem – jego dziewczyną

i Bożenką podjechaliśmy pod kawiarnię „Jubilatka” na osiedlu Piętnastolecia (teraz mieści się tam biblioteka), żeby kupić butelkę szampana. Wskoczyłem na moment z taksówki, kupiłem szampana, wracam i w tym momencie podjeżdża nyska, wyskakuje z niej dwóch milicjantów, dopadają mnie, okładają pałami, wykręcają ręce do tyłu i skuwają. Z taksówki wyskakuje Robert, chce mnie bronić, tłumaczy, że przecież nic złego nie zrobiłem, ale również obrywa, a mnie wciągają do samochodu i zawożą na izbę wytrzeźwień. Dyżurny lekarz odmawia przyjęcia, ponieważ jestem trzeźwy i rozzłoszczeni milicjanci wyprowadzają mnie na podwórko kamienicy. Nagle jeden z nich rozrywa mi spodnie i ściąga do kolan, a następnie zaczyna się wściekły atak pałkami. Bili we dwóch, dopóki starczyło im siły. W żaden sposób nie mogłem uniknąć ciosów, ponieważ miałem skute ręce i spętane nogi. W końcu padłem i milicjant wszedł ponownie do środka, zapewne po to, by zadzwonić do komendy i złożyć skargę na lekarza, bo po kilku minutach zostają przyjęty. Zapada okropna noc w cuchnącej izbie z kilkoma pijakami i otwartym oknem. Nie dali mi nawet koca do przykrycia i dygocząc z zimna, nie zmrużyłem oka. Rano pijacy zostają zwolnieni do domu, a mnie dopiero wieczorem przewieziono skutego na komendę, na tzw. dołek, gdzie przesiedziałem dwa dni. Bożenka w tym czasie mnie szukała, nikt jej nie chciał udzielić informacji, co się ze mną dzieje. Zostałem oskarżony o czyn chuligański – rozwalenie butelki szampana o bar w kawiarni. Dostałem pół roku pozbawienia wolności, po zeznaniach kelnerki z „Jubilatki” – jedyne go świadka oskarżenia.

Spotkania

W roku 1994 jakaś kobieta podeszła do mnie na ulicy i się przedstawiła:

– To ja jestem tą kelnerką z „Jubilatki”, która oskarżyła pana o rzucenie butelką szampana. Poznaje mnie pan?

Poznałem.

– Chciałam pana przeprosić z całego serca. Straszyl mnie, że zostanę wyrzucona z pracy, miałam na utrzymaniu dzieci i żadnego innego dochodu, bałam się. Powiedzieli, że dopilnują, żebym nigdzie nie znalazła pracy.

Powiedziałem, żeby zapomniała o tym incydencie, że jej wybaczam.

W roku 1991 lub 1992 miałem coś do załatwienia w wydziale meldunkowym Urzędu Miejskiego, który mieści się obok pałacu ślubów przy ul. Mickiewicza. Kilku petentów czekało na korytarzu, zapytałem, kto jest ostatni i wtedy rozpoznałem wśród siedzących na ławce milicjanta, który zabawiał się po pijaku strzelaniem mi w głowę. Oczywiście zdenerwowałem się i głośno objaśniłem oczekującym, kim jest ten oto łachudra, który siedzi jakby nigdy nic pośród przyzwoitych ludzi i czym zajmował się przed laty. Kilku petentów słuchało moich wspomnień z coraz większym wzburzeniem i gdyby ten milicjant nie poderwał się i nie uciekł, mógłby zostać zlinczowany. Wtedy ludzie jeszcze dobrze pamiętali Czerwiec.

W roku 1992 lub 1993 z okazji święta 3 Maja, odbywała się jak co roku (nawet za komuny) msza święta za ojczyznę. Kościół garnizonowy był wypełniony po brzegi; przed-

stawiciele władz, posłowie ziemi radomskiej, kombatancki z opaskami AK na rękawach, ludzie radomskiej Solidarności, harcerze, wojskowi, poczty sztandarowe, flagi państwowe. Wielkie święto. I nagle wśród wielu twarzy rozpoznałem twarz milicjanta, który wraz z kolegą zwinął mnie sprzed „Jubilatki”, a następnie zawiózł na izbę wytrzeźwień, zerwał mi spodnie i z zapalem katował. Na rękawie miał opaskę AK. Przedarłem się przez tłum i wywlokłem kanalię z kościoła. W pierwszej chwili był tak bardzo zaskoczony, że nawet się nie opierał, ale na zewnątrz rozpoznał mnie, zaczął się wyrwać i uciekł. Oczywiście wiele osób uczestniczących we mszy zauważyło ten incydent i byli tacy, którzy wiedzieli, kim jest mężczyzna wyprowadzony pod rękę z kościoła – pełnił funkcję przewodniczącego Solidarności w szpitalu na Tochtermana. Nie mieli pojęcia o jego przeszłości.

Na drugi dzień udałem się do siedziby Zarządu Solidarności Ziemi Radomskiej, by im uświadomić, jakie kreatury mają u siebie. Obiecali, że po cichu go usuną. Zagroziłem, że jeśli tego nie zrobią, to ja, Stanisław Kowalski, osobiście wyrzucę go przez okno.

Był taki pułkownik Kazimierz D. Na szczęście nie miałem z nim do czynienia, ale ci, którzy mieli, wyrobili sobie o nim jak najgorsze zdanie, odwrotnie niż władze, które go nagrodziły jakąś złotą odznaką za tłumienie rozruchów i wysoką nagrodą pieniężną. Czerwcowi Ludzie dali mu przydomek „radomski rzeźnik” jako wyjątkowej kanalii z wyjątkową przyjemnością katującej ludzi. Dlatego kilku chłopaków, którzy w Czerwcu wpadli w jego łapy, skrzyknęło się i dali mu porządny wycisk na osiedlu Borki, gdzie

wtedy mieszkał. Musiał się nieźle wystraszyć, bo wkrótce sprzedał mieszkanie i przeniósł się do domu pod Warszawą, otoczonego wysokim murem, z kamerami, z biegającymi wokół psami. Boi się. Niech się boi za tym wysokim murem, z tą wysoką emeryturą.

Zastrzegam, że jako człowiek religijny nie jestem mściwy, pozostawiam Panu Bogu wymierzanie sprawiedliwości i wiem, że tych wszystkich oprawców spotka po śmierci należyta kara. Jednak w sprawie jednego milicjanta – Kędzierskiego – tego, który zeznawał przeciwko mnie w sądzie, wymyślając brązowy garnitur i butelkę pepsi, i przez którego w moim życiu zaszło wszystko co najgorsze – załamanie świata osobistego i sportowego – modliłem się, by odpowiednia kara została mu wymierzona jeszcze tu na ziemi, i zostałem wysłuchany. Do pewnego momentu wiodło mu się znakomicie. Dostał za fałszywe zeznania 3 tys. nagrody i odznakę zasłużonego w walce z wrogami socjalizmu. Jednak przyszyła kryska na Matyska.

Zaczęło się od tego, że aresztowano dyrektora jakiegoś ważnego wydziału w Urzędzie Miejskim za łapówkarstwo. Obiecano mu, że jeśli złoży doniesienie na wszystkich, o których wie, że brali łapówki, czyli tzw. korzyści majątkowe, kara zostanie złagodzona. I ten dyrektor bardzo się przyłożył, sporządził listę, na której znalazło się aż 700 osób, między innymi Kędzierski. Niektórzy mieli na sumieniu przyjęcie takich drobiazgów, jak bombonierka czy kwiaty. Dowiedziałem się o tej akcji i raptem trafiła się okazja, by się odegrać. Pewna znajoma chciała załatwić przez łapówkę jakąś sprawę u Kędzierskiego i podjąłem się, że sam

osobiście mu ją doręczę. I tak zrobiłem. Później zeznawałem przeciwko niemu w sądzie i dostał 3 lata więzienia.

Nie pamiętam w którym roku, nieważne, to było lato, pijany Kędzierski wraz z jakąś kobietą wyjechał z Lasu Kaputurskiego na E7 prosto pod ciężarówkę i zginął na miejscu.

W 1977 r., wkrótce po wyjściu z więzienia, spotkałem na Obozisku Zygmunta Zabrowskiego. Ucieszyłem się na jego widok. Bardzo go lubiłem, szczególnie za to, że uratował mi życie. Dziękowałem, ściskając mu wielką dłoń. Porozmawialiśmy chwilę – co u mnie, co u niego. Zygmunt wyjął z wewnętrznej kieszeni marynarki paszport: „Zobacz, co mi dali i kazali wyjechać, a ja takiego wała wyjadę!” – i pokazał: zgiał prawe ramię w łokciu i przełożył lewym. Okropnie przeklinał, że szubrawcy chcieliby się go pozbyć i żyć w spokoju, ale nie z nim takie numery. Ja opowiedziałem o swoim pobycie w więzieniu i że kręcę się za jakąś robotą. Uścisnęliśmy sobie dłonie i każdy poszedł w swoją stronę. Nie wiedziałem, jakie były jego dalsze losy.

Dopiero w 2000 r., gdy działało Stowarzyszenie Radomski Czerwiec '76, pojawiła się pewnego dnia żona Zygmunta Zabrowskiego i wtedy dowiedziałem się o jego śmierci i jej makabrycznych okolicznościach. Otóż na początku lat osiemdziesiątych pojechał do Warszawy, żeby spotkać się z kimś z KOR-u – z Kuroniem lub Macierewiczem. Przez kilka dni nie dawał znaku życia. Nie wiedziała, co się z nim dzieje, więc zadzwoniła do siedziby KOR-u i poinformowano ją, że pojawił się tam, a wychodząc, powiedział, że wraca do domu pociągiem ze stacji Ochota. Pani Zabrowska zgłosiła jego zaginięcie na milicji, przejęli ją lekceważąco. Po kilku

dniach została zawiadomiona, że ciało męża zostało odnalezione w Warszawie i żeby się po nie zgłosiła. Na pytanie co się stało, dostała odpowiedź, że zginął pod kołami pociągu tydzień wcześniej – tego dnia, gdy pojechał na spotkanie do KOR-u. Ciało męża złożone z czterech części leżało w kostnicy na korytarzu – ucięta głowa i nogi w okolicy kolan.

Życie osobiste

Moja żona okazała się wspaniałym człowiekiem, najlepszym przyjacielem, a to zwykle wiadomo później, nie od razu. Mamy troje dzieci: Łukasza, Małgosię i Martynę. Ciężko pracowałem, by zarobić na rodzinę, wybudować dom. Prowadziłem firmę handlową i jak wielu zaradnych i pracowitych Polaków w tamtym czasie, to znaczy u schyłku lat osiemdziesiątych i przez lata dziewięćdziesiąte, jeździłem, a właściwie latałem do Syrii, Tajlandii, Bangkoku, Seulu, a stoisko miałem na Stadionie Dziesięciolecia w Warszawie. Bożenka nie chciała, żebym wciąż podróżował, bała się o mnie, a ja nie zwalniałem, dopóki zdrowie pozwalało. Niestety bunt nastąpił w 2000 r. i organizm powiedział „dość” ; płuca, kręgosłup. Musiałem przejść na rentę.

Czerwiec '76 towarzyszy mi do tej pory. Niosę go na swoich plecach przez te wszystkie lata. Wyrok sądowy z 1976 r. został unieważniony, więc miałem podstawę, by ubiegać się o odszkodowanie. Przyznano mi 50 mln, co w tamtym czasie przed denominacją równało się obecnym 5 tys. zł. Odmówiłem przyjęcia takiej jałmużny. Po odwołaniu (nie jednym przecież) w roku 2013 przyznano mi 24 tys.

Nie satysfakcjonowała mnie taka kwota, ale musiałem ją przyjąć, bo zapewniono mnie o możliwości ubiegania się o jej uzupełnienie. Niestety, do tej pory nie udało mi się przekonać sądów Rzeczypospolitej, że za utracone zdrowie, udaremnione plany na karierę sportową, lata upokorzeń i szykan ze strony aparatu bezpieczeństwa ta kwota powinna być wyższa. Najgorsze jest to, że bywam poniżany przez wymiar sprawiedliwości. Wie pani, co mi powiedziała pani prokurator w Lublinie podczas rozprawy odwoławczej. Wyzwała mnie od bandytów i oznajmiła, że gdyby mogła, dałaby mi 15 lat więzienia. Coś takiego spotkało mnie w 2013 r. Jak ja się wtedy wkurzyłem! Na korytarzu wisiała tablica z ogłoszeniami, złapałem flamaster i zacząłem pisać: „Wy, komunistyczne świny”, ale adwokat złapał mnie za rękę. Usiłował mnie uspokoić, strofując:

– Panie Stanisławie, musi pan wziąć się w garść. Chce pan mieć kłopoty?

W uzasadnieniu wyroku sąd napisał, że rozumie wyrządzone mi krzywdy, których doznałem w czasach komuny, ale żebym zrozumiał sytuację płatniczą Skarbu Państwa. I ja rozumiem, ale chciałbym, żeby ktoś stanął przede mną i mi wytłumaczył takie zjawisko, że oprawcy dostają kilkakrotnie wyższe emerytury od swoich ofiar.

POKRZYWDZONY TAK, PRZEGRANY NIE

Jesień 2016

Pan Zbigniew Adamus otwiera drzwi mieszkania w jednym z bloków z wielkiej płyty na osiedlu Ustronie. Starsza pani o buzi dobrotliwej wróżki stoi wsparta o kule na końcu przedpokoju i pyta na dzień dobry, czy napiję się kawy, czy herbaty. Okazuje się, że jest starszą siostrą pana Zbigniewa. Gdy zdejmuję płaszcz, zerkam do środka otwartego pokoju po prawej stronie – regał po sufit wypełniony książkami, mnóstwem teczek i segregatorów, które zajmują również stolik, fotel, a na podłodze lekko przechylona papierowa kolumna wspiera się o wersalkę, by nie runąć. Pan Zbigniew objaśnia:

– Jestem przygotowany na rozmowę, mam tu taki swój mały IPN. Nigdzie się nie spieszę, więc posegregowałem swoje życie; tu są księgi handlowe sklepu, który rodzice prowadzili przed wojną na Starym Mieście i potem do 1948 r., fotografie rodzinne, dokumentacja medyczna, wycinki ze starych gazet, dokumenty o Czerwcu, korespondencja urzędowa. Co pani sobie życzy.

Zaprasza do słonecznego pokoju z balkonem. Siadamy na fotelach przy niskim stoliku.

Ten dzień

Teraz już wiem, że to był raczej schyłek początku mojego życia. Miałem wtedy 29 lat, a środek zaczyna się około czterdziestki. Oczywiście nie dla wszystkich. Tego dnia wracałem z kolegą ze zgłoszenia, bo pracowałem jako kontroler łączności telefonicznej w Wojewódzkim Urzędzie Telekomunikacji. Zmierzaliśmy w kierunku pl. Konstytucji, gdzie miała siedzibę nasza firma, i niespodziewanie na Żeromskiego wpadliśmy na chmarę ludzi. Skandowali: „chodźcie z nami!”, „chodźcie z nami!”. Jak tu się nie przyłączyć? Mnie nie trzeba było dwa razy namawiać do tępienia komuny. Każdy z innego domu, z innej rodziny pochodzi, a ja akurat z takiej, która wieczorami zbierała się wokół ojca i słuchała wiadomości z Wolnej Europy, a najbardziej wsłuchiwalismy się, kiedy Anders wróci i nas wyzwoli. Narieczony mojej ciotki, porucznik Aleksander Młyński pseudonim „Drażał”, walczył z komunistami na Kielecczyźnie i ziemi radomskiej jeszcze przez pięć lat po zakończeniu wojny. Niedawno postawiono mu pomnik na skwerku naprzeciwko dworca. Nie, nie tylko jemu. Wszystkim niezłomnym z naszej ziemi. Widziała pani? Artysta utrafił w sedno: orzeł trzyma w szponach miecz, a ten miecz rozłupuje na połowę księgę, gdzie są zapisane nazwiska ludzi walczących o niepodległą Polskę w czasie, gdy wszyscy już stracili nadzieję. Jako dziecko nasłuchiwałem się opowieści o walkach jego oddziału, o zdradzie, śmierci i jak aresztowano ciotkę Mariannę i jak ją katowano w UB, który miał siedzibę w tym samym budynku na Kościuszki, gdzie było

w czasie okupacji Gestapo. Ciocia wyszła z więzienia po sześciu latach w 1956 r. Miała wyrwane paznokcie z palców u rąk. Tych dłoni nie zapomnę nigdy. Miała o czym opowiadać, a ja słuchałem. Chciała iść do zakonu, ale została gospodynią u księdza. Zaproszono ją na uroczystość odsłonięcia pomnika żołnierzy niezłomnych, gdzie i nazwisko, i pseudonim jej narzeczonego zostały wykute w metalu – Aleksander Młyński „Draгал”. Nie lubię określenia żołnierzy „wyklęty”, uważam, że „niezłomny” mówi więcej i mocniej.

Musiałem o tym powiedzieć, bo jest to we mnie wrosnięte, a teraz możemy wracać do pochodu, który ruszył na Reichstag, tak mówiono wówczas na budynek komitetu partii. Z okien już się dymiło, ale płomienie jeszcze się nie pojawiły. Wśród tłumu demonstrujących uwijali się milicjanci i esbecy po cywilnemu, zachęcając do wybijania szyb w sklepach. Naprędce zorganizowaliśmy – ja i kilku rozsądniejszych chłopaków – obronę sklepów na ul. 1 Maja. Po prostu stanęliśmy przed witrynami, ujmując się za ręce, a poprzebierani esbecy podpuszczali chłopaków: „No co? Boicie się? Tam wino stoi! Sami mamy iść? A wy co? Nie macie chęci wypić?”. Zresztą przy takich okazjach znajdują się szybko i prawdziwi złodzieje. Zostaliśmy odepchnięci, poleciały kamienie, posypało się szkło. Ludzie wpadli do środka.

Widziałem, jak z ciężarówek wyskakują zomowcy, ustawiają się w szyku, zasłaniają tarczami, wałą pałami w te tarcze i ruszają na nas. Patrzyłem przez chwilę na nich bez ruchu, zaczarowany. Przyznam się, że dreszcz po krzyżu mi przeszedł. Skojarzyli mi się z Krzyżakami. Tej tyraliery zomowców nie zapomnę nigdy.

W naszą stronę poleciały petardy. Widzieliśmy na filmach, że jak się szybko taką odrzuci, można zdążyć, zanim wybuchnie. Kilka razy udało się, a jeden raz niestety nie. Moja prawa dłoń została poharatana i poparzona. Pobiegłem na Wilczą. Wiedziałem, że tam jest przychodnia lekarska, a to było blisko. Z obandażowaną ręką wpadłem do starszego brata, który mieszkał niedaleko, ale nie posłuchałem jego dobrej rady, nie zostałem na noc i gdy wracałem do domu, zostałem schwytany, bo już po mieście krążyły „suki” i zaczęło się polowanie na ludzi. Normalna łapanka jak za okupacji. Zgarnęli mnie wraz z kilkoma innymi przechodniami, a było już po bitwie, ludzie rozchodzili się do domów, więc dlatego mówię: zwykłymi przechodniami. I zawieźli nas na komendę, a tam już czekała ścieżka zdrowia. Wtedy jeszcze tego zjawiska nikt tak nie nazywał: szpaler milicjantów na schodach i bicie pałami każdego wchodzącego. Nie mam pojęcia, kto pierwszy użył tej nazwy. Biegliśmy, żeby jak najmniej razy spadło na nasze plecy i głowy, ale wielu z nas miało na nogach drewniaki, bo taka panowała wówczas moda, a to nie były odpowiednie buty do biegania. Jeden chłopak zgubił drewniaka, schylił się i został tak skatowany, że nieprzytomnego wciągnięto na górę. Na pierwszym piętrze zgromadzono nas w świetlicy, a przy biurku siedział milicjant i spisywał nasze dane. Wśród schwytanych zwracał uwagę czternasto-, może piętnastoletni chłopak w gipsie, bo miał złamany obojczyk, a część niezagipsowanego torsu mieniła się różnymi kolorami: od bordo, poprzez fiolet, po granat. Zawieziono nas do Szydłowca i kazano nam napisać, co robiliśmy przez cały dzień. Pokazałem zabandażowaną rękę i oddałem czystą kartkę.

Więzienie

Rano znowu jazda do Radomia przed kolegium. Wymierzono mi karę 5 tys. zł grzywny za zakłócanie spokoju. Nie miałem takich pieniędzy, więc zabrali mnie do więzienia na Malczewskiego. Tam znowu bicie, dopóki człowiek stał na nogach. Grzywnę zamieniono mi na trzy miesiące aresztu, a o świecie zapakowano nas do „lodówki” – takiej blaszanej budy, a niech pani pamięta, że to był upalny czerwiec. Po drodze zatrzymaliśmy się na Rakowieckiej w Warszawie, gdzie nagrzaną blachę polano wodą, a nam do picia podano gorącą kawę. Błagaliśmy o zimną wodę, ale oni się śmiali i tylko ta słodka kawa, w dodatku gorąca. Po drodze ani razu nas nie wypuszczono za własną potrzebą. Jakoś wytrzymaliśmy. W Białymstoku na powitanie wyszedł komendant więzienia i zaciągając na wschodnią nutę, tak nas szyderczo powitał:

– Witamy radomskich bohaterów! Kłaniamy się nisko, przepraszamy, że transparentów na powitanie nie zdążyliśmy uszykować.

Podobno po 25 czerwca około 500 radomian tam przywieziono. Spaliśmy na podłodze, a jak ktoś miał prycę, to był wielki pan. Po kilku dniach głódówki dostaliśmy talerz zupy. Nigdy nie zapomnę tej zupy, bo taka była dobra – botwinkowa z pływającymi po niej mszycami, które odsuwaliśmy na brzeg, żeby nie przeszkadzały i wsuwaliśmy aż miło. Tych mszyc nigdy nie zapomnę.

Nie docierały do nas żadne wieści z zewnętrznego świata, nie mieliśmy pojęcia, co z nami zrobią. Z nudów palili-

śmy skręty z sęków. Łyzeczką zeszkrobywało się sęk z pryczy, pozbijanej z nieoheblowanych desek. Taki proszek zawijało się w papier i papieros gotowy. Jak ktoś niezwyčajny się zaciągnął, mógł zemdleć. Kuroń nauczył mnie stopniowo.

– Kuroń? Skąd Kuroń?

– Siedziałem z nim w 1968 r. we Wronkach. Złapali mnie, gdy rozdawałem ulotki o wydarzeniach w Czechosłowacji, bo jak tylko gdzieś opór przeciwko komunie się tlił, to ja taki mus w sobie miałem, że stawałem po stronie buntowników. Zawsze. Te ulotki na kartkach wyrwanych z zeszytu sam wypisywałem na podstawie wiadomości z Wolnej Europy, że nasi bracia zza południowej granicy zbuntowali się i ruszyły na nich czołgi Układu Warszawskiego. I 600 tys. żołnierzy. No i w efekcie w 1968 r. zwiedziłem wszystkie katownie w Polsce: więzienie na Rakowieckiej w Warszawie, Montelupich, Wiśnicz, Wronki. I właśnie tam, we Wronkach, z Kuroniem siedziałem. Wspominam go bardzo dobrze. Serdeczny, pomocny, on mnie nauczył palić te skręty. To był równy gość, szkoda, że ta szajba z komunizmem mu odbijała. Z jakim on żarem mnie przekonywał, że nic lepszego ludzkość od komunizmu nie wymyśliła, jedynie szyny należy wymienić na kapitalistyczne, po których ruszy komunistyczny pociąg. Albo jakoś może odwrotnie. Ja tłumaczyłem, że dla mnie komunizm czy socjalizm, jak zwał tak zwał, to bez różnicy coś wstrętnego dla ludzi, a on się za głowę łapał, co ja wygaduję, że pojęcia o niczym nie mam. Pisał pracę magisterską z psychologii, pomagał żonie. W więzieniu jest dużo czasu i proszę sobie wyobrazić, że oni, znaczy się klawisze, zabrali mu rękopis, zniszczyli mnóstwo pracy. No rozpacz. Zatrudniono go w wię-

ziennej pralni, a potem przeniesiono do innej celi. Nie wiem, kiedy wyszedł, mnie wypuszczono w 1971 r.

Więzienie w Białymstoku nie wspominam źle, nie katowano nas jak w Radomiu. Tam mi wyleczono tę poharataną rękę, a konkretnie pewna urocza Rosjanka, pielęgniarka więzienna. Przez 40 lat, do tej pory jestem jej wdzięczny. Zaprzyjaźniłem się z Andrzejem Ś., świetnym gościem, czytany był, inteligentny, z bardzo dobrej rodziny pochodził, inteligenckiej, miał dużą wiedzę, godzinami rozmawialiśmy na różne tematy. Najwięcej oczywiście o polityce. On pracował na P-6 w Zakładach Metalowych, gdzie leciała produkcja kałasznikowów. Na tym oddziale zatrudniano wysoko wykwalifikowanych specjalistów – to była arystokracja wśród robotników. Kochał tę pracę. Dużo ze sobą rozmawialiśmy, całe dni i niejedną noc: o rodzinie, o znajomych, o polityce. Miał już dziecko, ukochaną kobietę, a ja wolny człowiek, jakoś nie mogłem zakochać się na dłużej.

Młode lata

Pracowałem w różnych zakładach, zjeździłem całą Polskę, bo byłem stanu wolnego, więc mogłem pozwolić sobie na taką swobodę. Mieszkalem w hotelach robotniczych, poznawałem wciąż nowych ludzi. Świetne życie. Trochę koczownicze, ale jakie romantyczne!

Dlatego moje osobiste życie uważam za udane, nawet piękne. Jak się odwrócę i popatrzę za siebie, to widzę wirujące w tańcu pary na dechach w Starym Ogrodzie albo w parku Kościuszki i jeziora na Mazurach, i góry w różnych porach

roku. Tego piękna i komuna nie przemogła. Zawsze lubiłem tańczyć, lubiłem dziewczyny. Ciągnęło mnie tam, gdzie muzyka i zabawa. Gdy byłem starszy, modne stały się dancingi. Podrywałem najładniejsze babki, bo tak mówiło się na dziewczyny w latach sześćdziesiątych, siedemdziesiątych.

Wiele lat spędziłem w delegacjach: Olsztyn, Giżycko, Wrocław, Łódź, Zakopane, Warszawa. Zawsze na mnie czekał jakiś pokój w hotelu robotniczym, bo wtedy Polska była nimi usiana.

Prawdą jest, że wciąż zmieniałem zakłady pracy, ponieważ często się zdarzało, że kłóciłem się z przełożonymi i sam odchodziłem, żeby uniknąć karnego zwolnienia. Można mnie tak określić – konfliktowy człowiek, a to z tej przyczyny, że nie znosiłem głupoty. A za komuny kierownikami były często zwykłe głąby bez żadnego fachowego przygotowania poza wieczorowymi studiami marksizmu-leninizmu. Pani by się nie wkurzyła, jakby najpierw mieszkania zostały otynkowane, pomalowane, a później przypomniano sobie o kablach? Nowe tynki musieliśmy kuć, gruz leciał na świeże parkiety, szlag człowieka trafiał z taką robotą. A mówiłem wcześniej, że tak nie można, trzeba najpierw kable położyć, a później tynkować, ale grochem o ścianę. Siedem firm zmieniałem w ciągu ośmiu lat.

Ojej, ile ja ludzi poznałem, mile ich wspominam, z wieloma się zaprzyjaźniałem do tego stopnia, że przez wiele lat korespondencję z nimi prowadziłem. Lubiłem ludzi i ze wzajemnością. A starszych, co przeżyli coś ciekawego, już nie odstępowałem, żałuję, że tylko słuchałem, a zapisywać powinienem ich historie; jeden walczył pod Monte Cassino,

inny, przedwojenny oficer walczył we Lwowie. No i książki to była moja wielka miłość, zawsze dużo czytałem. Dlatego pomimo komuny dzięki książkom mogę powiedzieć, że miałem dobre życie. Gdyby w komunie nie było dziewczyn i książek, to tylko się pochłastać.

Jakoś nie mogłem zakochać się na dłużej, wciąż zmieniałem dziewczyny, żyłem z nimi na kocią łapę po kilka miesięcy, nawet po kilkanaście, a gdy napomykały coś na temat pierścionka, sukni ślubnej, to ja w tył zwrot. Może nie spotkałem tej jedynej, dla mnie przeznaczonej? Nie wiem. Bywa przecież, że i kobieta zostaje panną, bo nie spotkała swojej drugiej połówki. Może właśnie mnie? I na zakończenie zostałem sam, stary kawaler.

Powrót

Po upływie miesiąca przewieziono nas z Białegostoku do Pińczowa. Oczywiście nie wszystkich. Tym razem zapakowano nas do starów – takich samych, jakimi wożono robotników do pracy, więc podróż na pakach pod brezentem, na drewnianych ławkach nie była tak dokuczliwa.

Nieoczekiwanie zostaliśmy zwolnieni we wrześniu, ale do Radomia wieźli nas pod eskortą, jak nie wiadomo jakich przestępców. W domu usłyszałem bolesną wiadomość. Otóż kiedy nie wróciłem w piątek 25 czerwca na noc, mama na drugi dzień z rana udała się na komendę, żeby czegoś się o mnie dowiedzieć, i tam została okropnie pobita, straciła przytomność i zabrano ją pogotowie do szpitala w Krychnowicach. Odebrano jej dowód osobisty i dopiero po roku jej zwrócono.

No, a cóż ja. Na drugi dzień z rana udałem się do mojego zakładu pracy, a tam niespodzianka, wręczając mi karne zwolnienie z art. 52. Panie urzędniczki zapewniały mnie, że im przykro, ale taki nakaz otrzymały, żeby warcholów zwalniać. Trudna rada. Poszedłem do „bidy”, ale tam pracy dla nas nie mieli. Za komuny nie istniały żadne zasiłki dla bezrobotnych.

Cóż było robić? Zebraliśmy się całą paką, tak około dieściciu chłopów, i po naradzie ruszyliśmy do Tychów, sami fachowcy, a podobno w fabryce małego fiata wciąż przyjmowano do pracy. Niestety. Dyrektor zaprosił nas do gabinetu. Widzieliśmy, że to porządny chłop, z sercem po naszej stronie, ale rozłożył ręce: „Nie wolno mi, przyszło oficjalne pismo, żeby tych z Radomia nie zatrudniać. Rozumiecie panowie, ja zostałem wyrzucony”. No i jazda z powrotem. Każdy musiał sobie radzić na własną rękę. Bywają sytuacje niby bez wyjścia, a jak dobrze się przyjrzeć, można odkryć zapasowe. Ja na przykład zrywałem jabłka pod Warką, łapałem się różnych dorywczych robót, potem handlowałem czym się dało na targowisku „Korea”. To była komuna, brakowało wszystkiego, to i na głupich śrubkach się zarabiało. Pięć groszy od sztuki. Zresztą miałem w ręku dobry fach i zawsze się trafiła jakaś fucha – najczęściej zakładałem elektryczność w nowym domku jednorodzinnym. Pracowałem też na czarno przy wyrobie takich metalowych koszyczków na szklanki. Pamięta pani te koszyczki? To był szyk, każdy w domu musiał mieć za szkłem w regale. I oczywiście kryształ.

Później dzięki protekcji zostałem zatrudniony legalnie w hucie Ostrowiec. Tę pracę załatwił mi pewien inżynier

z Wyższej Szkoły Inżynierskiej, bardzo szlachetny człowiek. Nie pamiętam jego nazwiska. On miał uszanowanie dla ludzi niepokodzonych z komuną. Ta huta okazała się jedną super-nowoczesną automatyką japońską – dosłownie – kupiliśmy od Japończyków nie tylko technologię, ale i maszyny. Zostałem zatrudniony na etacie automatyk precyzyjny. A jaki tam ze mnie automatyk! Zero przygotowania, po prostu po znajomości i szybko się zorientowałem, że nie nadaję się do tej pracy i nieustannie się bałem, żeby czegoś nie uszkodzić, i przez ten stres po dwóch miesiącach podjąłem decyzję, że odchodzę.

Przyjaciel

Z Andrzejem Ś. nie straciłem kontaktu, często się spotykaliśmy. On mocno zaangażował się we współpracę z KOR-em. Roznosił ulotki, zbierał listy pokrzywdzonych, ustalał adresy, został jakby ich człowiekiem w Radomiu, a przecież obserwowano go i często łapano. I na komendę. I łomot. Psychicznie podłamał się, bo człowiek jak dostanie wyrok, to wie, ile musi odsiedzieć, a tu nie wiesz nic – kiedy cię znowu dopadną i kiedy to upodlające bicie się skończy. On bardzo przylgnął do KOR-u. Podziwiał tych ludzi, był nimi zafascynowany, wierzył im bezgranicznie, ja byłem ostrożniejszy. W listopadzie 1976 r. zbierał podpisy pod skargą na bezprawne postępowanie milicji, ZOMO, esbecji, prokuratury wobec protestujących w Czerwcu. Ten list miał być wysłany na Zachód, do Radia Wolna Europa, i jednocześnie do prokuratora generalnego Lucjana Czubinińskiego. Udało się zebrać podpisy 67 robotników. Ja po namyśle odmówiłem,

mimo że Andrzej mnie żarliwie przekonywał i na pewno było mu przykro, bo uważał mnie za przyjaciela, a ja kochałem go naprawdę jak brata. Nawet się wahałem i poradziłem starszej siostry, a ona nas trzeźwo przestrzegła:

– Nie róbcie tego. To wy będziecie bici, prześladowani, a nie ci panowie z Warszawy. Chyba nie wierzycie, że coś dobrego z takiego listu może wyniknąć. Dla działaczy KOR-u tak, na pewno, oni mają kontakty z Zachodem, takimi akcjami budują sobie pozycję, będzie o nich głośno, ale o waszych sinych plecach, odbitych nerkach i dziurach po wybitych zębach nikt nie usłyszy. Myślicie, że ktoś się przejmie waszym losem?

Ja siostry posłuchałem, Andrzej był rozgorączkowany. Oburzyło go takie trzeźwe podejście, przez pewien czas wahałem się, bo głupio mi było wobec przyjaciela, ale ostatecznie odmówiłem. Okazało się, że siostra miała rację. 67 Czerwcowych Ludzi złożyło podpis w listopadzie, a w grudniu już otrzymali wezwania do prokuratury i SB. Tam ich zastraszano i kazano odwoływać, a właściwie wypierać się złożonych podpisów. W prasie informowano, że za plecami robotników ukrywają się zdrajcy, Żydzi i wywiad państw imperialistycznych. Podobno tylko trzech z tych 67 odmówiło wyrażenia żalu, że się ośmielili oskarżać milicjantów i esbeków.

Pewnego dnia wpadł do mnie roztrzęsiony Andrzej i powiada, że dowiedział się o mojej współpracy z SB.

– Boże jedyny! – krzyknąłem. – Ja całą duszą nienawidzę komuny, komuchów, kto śmiał mnie tak oczernić!

– Zostałem ostrzeżony przed tobą przez KOR-owców – powiedział nie mniej załamany aniżeli ja.

Plakać mi się chciało, długo rozmawialiśmy i tak na logikę, żeby ci z KOR-u mieli taką wiedzę, musieliby sami mieć wtyczkę w radomskiej SB albo odwrotnie, ktoś z nich był tajnym współpracownikiem. Kupy się to nie trzymało. Po prostu byli wkurzeni, że odmówiłem tego podpisu. Andrzej po długiej rozmowie uspokoił się, udało mi się go przekonać. Ja się bardzo interesowałem KOR-em i miałem wielki szacunek dla tych pierwszych, którzy ruszyli z pomocą. To była pierwsza liga: ks. Zieja, kapelan AK w Powstaniu Warszawskim, prof. Lipski, który również brał udział w powstaniu, Zofia i Zbigniew Romaszewscy, mecenas Siła-Nowicki, Szczuka, Grabiński, Olszewski, Halina Mikołajska – aktorka. Najwyższej szlachetności ludzie, mocno się narażający. Sam widziałem, ponieważ chodziłem na rozprawy sądowe, tym żyłem i powiem, jakiej sytuacji byłem świadkiem.

Co ludzie wiedzą o Czerwcu

To była zima 1976 r.; toczyły się wtedy sprawy sądowe przeciwko oskarżonym o podpalenie gmachu komitetu, za co groziły wysokie wyroki. Dużo ludzi przychodziło na rozprawy. Oczywiście nikogo nie wpuszczano na salę i stało się na korytarzach albo pod sądem, żeby chłopaki widzieli, że nie są opuszczeni w swoim nieszczęściu. To był dzień, gdy sądzono dwóch braci: Mitaka Tadeusza i Wojciecha, znałem ich, mieszkali na Żeromskiego, postawiono im zarzut podpalenia komitetu partii, miano ich za prowodyrów. Widziałem, jak blacharze pobili mecenasa Władysława Siłę-Nowickiego i jeszcze dwóch mecenasów z Warszawy, którzy przybyli z nim na rozprawę.

Blacharz to esbek przebrany za robotnika. Żaden prawdziwy robotnik nigdy nie podniósłby ręki na adwokatów, którzy za darmo, poświęcając swój czas i narażając się na szykany, przyjeżdżali z Warszawy, by bronić ludzi Czerwca. Kilkakrotnie widziałem blacharzy napadających na obrońców. Widziałem, ponieważ starałem się być na każdej sprawie, a prasa wypisywała kłamstwa.

Pan Zbigniew przekłada teczki z jednego stosu na drugi i na moment zerka do środka. Wyciąga pożółkłe szpalty „Życia Radomskiego” z 29 czerwca 1976 r. Oto niektóre tytuły artykułów: *Niezlomna wola dalszego urzeczywistniania programu wszechstronnego rozwoju ojczyzny; Pełne poparcie dla słusznej polityki partii i rządu; Długo będziemy musieli pracować, aby zmazać hańbę tamtych dni; Wichrzycielom i demagogom mówimy: Nie! Uczciwą, solidną pracę odbudujemy stracone zaufanie; Ludzie pracy miast i wsi manifestują poparcie dla polityki partii i rządu; Wielki wiec w Radomiu.*

„Trybuna Ludu” z 1 lipca 1976 r.: *Pracą i postawą przywrócimy dobre imię miasta.* Autor artykułu opisuje przebieg wydarzeń z 25 czerwca 1976 r. oraz donosi, że budynek KW PZPR został opanowany, splądrowany i podpalony przez pijanych chuliganów i rozhisteryzowane kobiety.

„Życie Radomskie” z 1 lipca 1976 r.: *To była garstka naszych przeciwników i margines społeczny. Relacja z wiecu w Radomiu.*

„Słowo Ludu” z 28 czerwca 1976 r.: *Nie pozwolimy naruszać naszej pracy. Pragniemy spokojnie żyć, chcemy tworzyć i pracować.*

„Polityka” 1976, nr 29: *Plakały, a broniły.*

W tym reportażu Alfred Łoś przytacza relacje ekspedientek, które jakoby „desperacko” broniły towarów w sklepach przed watahami podpitych wyrostków. Jedna z nich nazywa protestujących „szumowiną, która wykipiała”, a inna opisuje, jak kobiety wtargnęły do sklepu „Merino”, ciągnęły się za włosy, biły się, walcząc o bele materiału, a „jakaś ciężarna wytaszczyła cały karton wódki, a za nią dreptały dwa kilkuletnie szkraby z siatkami pełnymi butelek”.

Tak wyglądała oficjalna propaganda. Kłamstwo na kłamstwie, kłamstwem poganiało. Głoszono, że chuligani podpalili komitet i rabowali towary w sklepach, pobili setki milicjantów, a straty z powodu przestojów w zakładach pracy liczono w milionach.

Na szczęście istniała i druga narracja. KOR miał swoje wydawnictwa, w których przedstawiał prawdziwy przebieg wydarzeń. Ta organizacja wykonała dużo dobrej roboty, opisując prawdę o radomskich wydarzeniach w swoich gazetkach. Ale jaka była proporcja między zasięgiem kłamliwej propagandy w prasie o milionowych nakładach, w radio, w telewizji a biuletynami informacyjnymi KOR o nakładach kilkusetnych, a niechby nawet kilkutysięcznych? Drukowanymi na marnym papierze, na powielaczu. W dodatku i tam zdarzały się zatrute kwiaty.

– Ooo! – pan Zbigniew wyciąga z teczki „Biuletyn Informacyjny KOR” z 8 lutego 1977 r. i wskazuje artykuł Jana Lityńskiego *Radom przed sądem*. – Jakie to przykre!

Rzeczywiście, z opisu Lityńskiego wyłania się przynębiający obraz rozpadającego się miasta z odpychającymi mieszkańcami. „Zanik tradycyjnych wartości powoduje tu

często powolną degradację. Granica pomiędzy »prawdziwymi« robotnikami, a marginesem społecznym, zwanym dawniej lumpenproletariatem, zaciera się».

Opisywali, ile pieniędzy przekazano na pomoc, jak broniono nas przed represjami i w jaki sposób z tego powodu byli szykanowani, nękani i że ogłoszenie amnestii dla uczestników protestu było ich zasługą. To wszystko prawda. Moim zdaniem największą zasługą ludzi KOR-u była anonimowa pomoc dla rodzin pozostawionych bez środków do życia, gdy jedyny żywiciel trafiał do więzienia. I oczywiście odważna obecność „jedynych sprawiedliwych” (adwokaci z Warszawy) na salach sądowych, gdzie toczyły się rozprawy przeciwko Czerwcowym Ludziom. A kto wie o skali znęcania się, a w wielu przypadkach torturowania uczestników rewolty czerwcowej? Kto wie, że ten proceder trwał przez wiele lat? Propagandyści państwa komunistycznego zdali egzamin – ta wiedza nie przedostała się do ogólnej świadomości. Temat zamilczano. Poza kręgiem specjalistów, czyli historyków, wiedza społeczeństwa o Czerwcu jest znikoma. Wystarczy porozmawiać na ulicy z ludźmi o tych wydarzeniach. Przekona się pani, jak się przedstawia ogólna świadomość o tamtych czasach. Coś tam słyszeli o 25 czerwca, bo i ulicy nadano imię tamtego dnia, i w wielu radomskich rodzinach są ludzie, którzy uczestniczyli w strajku czy w demonstracji, więc w takich przypadkach działa pamięć rodzinna, niewielu jednak ma pojęcie, co się działo później. Mnie najbardziej podobała się ocena kard. Karola Wojtyły. Była pani w sanktuarium w Błotnicy na koronacji Obrazu Matki Boskiej regionu radomskiego?

– Nie.

– Szkoda. To było w sierpniu 1977 r. Ogromne tłumy przybyły i kardynał podczas kazania przypomniał o czerwcowym buncie, ale nie uważał się nad nami, jacy to jesteśmy biedni, pobici, pokonani, nie, nie. Nikt nas tak nie zrozumiał, nie docenił jak ten święty człowiek. Powiedział, że zrobiliśmy wielką rzecz, że powinniśmy być z tego dumni i powinniśmy podnieść do góry głowy, a nie garbić się i nie patrzeć w ziemię, bo trzeba narodowi nadziei i radości życia. Wielu z nas łąza poleciała ze wzruszenia. W ogóle Kościół stanął po naszej stronie. Kardynał Wyszyński głośno wzywał do zachowania spokoju, a po cichu wspierał nas i naciskał władzę, żeby wypuściła nas z więzień. To były smutne czasy, coś wisiało w powietrzu i najgorsze, że nie wiedzieliśmy, czy jak się zerwie, to nas uratuje, czy zabije. W takiej niepewności się żyło. A takim jak Andrzej zrobiono piekło. Wciąż go łapano i bito, nawet się już nie fatygowali, żeby go zgarniać z ulicy, tylko tłukli go tam, gdzie go dopadli. Nie ma pani pojęcia, jakie to poniżające stać się ściganą, zaszczutą zwierzyną.

Kiedyś podczas rozmowy powiedziałem, że wyniosłem odrobinę cyjanku z firmy galwanizacyjnej, gdzie go używano do kąpieli metalowych koszyczków, o których już wspominałem. Andrzej po pewnym czasie zaczął opowiadać o chorym, cierpiącym kocie i że chciałby mu skrócić męki. I ja się dałem nabrać, a on mówił o sobie. I tak mnie prosił, urabiał... Pamiętam nasze ostatnie spotkanie w „Stylowej”. Jaki ja głupi byłem! Nie mogę sobie wybaczyć...

Pan Zbigniew milknie na długą chwilę. Cierpliwie czekam. Wreszcie zaczyna mówić, gdzie był myślami, kogo widział.

– Poznałem w jego domu mnóstwo ludzi z KOR-u, między innymi panią Zofię Romaszewską. W KOR-ze byli wielcy, szlachetni ludzie.

Jak już powstała opozycja złożona z inteligencji, takiej solidnej, jeszcze przedwojennej, to przyłączyli się do niej młodzi, niby tacy straszni antykomuniści, że jejku, jejku, ale niczego innego bardziej nie pragnęli jak komunizmu. Owszem, buntowali się przeciwko swoim rodzicom komunistom, którzy zajmowali wysoką pozycję w aparacie partyjnym i państwowym, nie wyobrażali sobie jednak dobrze, nowocześnie urządzonego świata bez niszczenia religii i wartości prawdziwych. Poznałem na przykład Piotra Rapackiego, syna ministra spraw zagranicznych. Takie to było środowisko. Ale mnóstwo też studentów z Warszawy przyjeżdżało. Świetni młodzi ludzie. Naprawdę ideowi, szlachetni, pragnęli coś dla nas zrobić. Ja odmawiałem wsparcia finansowego, byli naprawdę potrzebujący – na przykład wielodzietna rodzina i ojciec wyrzucony z pracy. No rozpacz. I nikogo nie obchodził los tych dzieci.

Solidarność

Pracowałem wtedy w Warszawie w wodociągach miejskich. Strajkowałem ze wszystkimi. I znowu się cieszyłem, że może tym razem pogonimy bolszewię.

Działiałem w Solidarności i oczywiście brałem udział w strajku. Wałęsa przyjechał, radość, euforia, bo wszyscy byliśmy zjednoczeni przeciwko komunie. Ludzie wreszcie się cieszyli jak w karnawale. A tu nagle trach – stan wojen-

ny, koniec radości. Spakowałem manatki i najpierw wróciłem do Radomia, a później zaszyłem się za Zwoleniem i pracowałem w cegielni, dopóki Jaruzelski nie odwołał wojny.

Za Wałęsę rękę bym sobie wtedy dał uciąć. Poznałem go, nie tak żeby osobiście, ale dłoń mu uściśnąłem. No i cieszyłem się, gdy został prezydentem, bo we wszystko wierzyłem, co mówi; że puści złodziei w skarpetkach, że ludzi zwykłych uwłaszczy na majątku narodowym, no ale stało się inaczej. Ja do niego napisałem, bo mi zależało, żeby w dobrą stronę pokierował Polskę, żeby nie pozwolił zrobić z siebie marionetki, a co najważniejsze, by nie zapominał o zwykłych ludziach, którzy wywalczyli wolność, którzy go wynieśli tak wysoko i pomyślał o odszkodowaniach za więzienie, za upodlające bicie. Napisałem do Wałęsy, gdy już został prezydentem. Osobiście nie odpisał, no skąd. Z kancelarii przysłała odpowiedź. Pokażę pani.

Pan Zbigniew wychodzi, domyślam się że do małego IPN-u, i po chwili wraca z kilkoma teczkami: nie są opisane, więc zagląda do każdej i odkłada na bok, aż znajduje właściwą.

– O, są te pisma – pan Zbigniew wyjmuje trzy pożółkłe kartki.

W lewym górnym rogu widnieje napis:

„Kancelaria Prezydenta Rzeczypospolitej Polskiej Biuro Skarg i Listów”, a w prawym, górnym marginesie: „Warszawa, dn. 15.12.1992 r.”, poniżej nazwisko i adres pana Zbigniewa. Oto treść jednego z listów z Kancelarii Prezydenta Rzeczypospolitej:

„Po zapoznaniu się z treścią kolejnego listu z dnia 30.11.92 r. [data wpływu] proponujemy zwrócić się bez-

pośrednio w opisanej sprawie do Zarządu Regionu NSZZ »Solidarność«. Jednocześnie zauważamy, że rozgoryczenie Pana nie zwalnia od obowiązku przestrzegania ogólnie przyjętych norm grzecznościowych wobec Prezydenta Rzeczypospolitej Polskiej”.

– Na dole widnieje podpis starszego radcy Pawła Zalewskiego.

W drugim piśmie ze stycznia 1993 r. czytamy: „podtrzymujemy nasze stanowisko w piśmie z 15.12.1992 r. [...] Jednocześnie zaznaczamy, że w wykazie poszkodowanych w 1976 r. w Radomiu nie widnieje Pana nazwisko”.

Niestety, nie zrobiłem kopii tych pism, które wysyłałem do kancelarii prezydenta Wałęsy.

– Dlaczego pan radca wspomina o naruszeniach norm grzecznościowych?

– Już wyjaśniam. Napisałem z troską o najwyższy urząd w państwie, o jego powagę i o nową szansę, i w ogóle o nasze państwo, bo widziałem, co się dzieje. Myślałem, że to nasz człowiek, chciałem jak najlepiej. Wiedzę trzeba zdobywać całe życie, a już na takim stanowisku, to obowiązek wobec narodu. Pisałem do niego ze trzy, cztery razy, a on się obraził. Uważam, że nie powinien, bo nie o jego osobę chodziło, lecz o Polskę. Czytać zawsze i każdemu wypada. Chciałem, żeby się nauczył naszej historii i czym jest demokracja, wolność słowa, zależało mi, przecież nie miał pojęcia o rządzeniu krajem. Ja mu nawet dla ułatwienia listę lektur wypisałem. Przecież wtedy miał wielu przeciwników, wie pani, jak go atakowali, że nieuk. Zresztą ci sami go atakowali, co teraz go bronią, kiedy wypłynęły te dokumenty od Kiszczaka. Ja nie

tytuły książek, lecz autorów wypisałem. Żeby od nich edukację zaczął i naszej historii się poduczył; Bunsch, Sienkiewicz, Jasienica, Kossak-Szczucka, Kraszewski. No bo jak tu dobrze rządzić państwem, jeśli nie zna się jego przeszłości? Jakoś nie wypada. Niestety nie posłuchał mnie. Później się okazało, kogo słuchał i kogo miał na myśli, mówiąc, że puści ich w skarpetkach. A żadnemu złodziejowi nie spadł włos z głowy, ani but z nogi. To nas puszczono w skarpetkach. I to dziurawych. W Radomiu najenergiczniej zabrano się do tzw. przekształceń własnościowych i tu najszybciej robotnicy lądowali na bruku. Czy ktoś policzył, ilu nas było? Myślę, że wiele, wiele tysięcy. Zamykano na siłę dobrze prosperujące zakłady.

Starania o status represjonowanego

Trwało to wiele lat. Pisałem wszędzie, nawet do Europejskiej Komisji Praw Człowieka w Strasburgu, po tym jak Polska ratyfikowała Europejską Konwencję Praw Człowieka i Podstawowych Wolności w 1993 r., a państwo polskie wciąż mi odmawiało statusu osoby represjonowanej. Tłumaczono mi, znaczy dawali do zrozumienia, że za mały jestem.

Dopiero po 22 latach, 2 grudnia 2015 r., otrzymałem pismo z Urzędu do spraw Kombatantów i Osób Represjonowanych o decyzji potwierdzającej, że jestem, a raczej byłem osobą represjonowaną z powodów politycznych. Czekałem więc w sumie na tę chwilę 25 lat. To była za duża krzywda, żeby odpuścić.

Pan Zbigniew wyjmuje z jednej z teczek urzędowe pismo, a z portfela legitymację represjonowanego.

- Czy coś daje taka legitymacja?
- Owszem. Na przykład honor. Przede wszystkim. Poza tym nie trzeba czekać w kolejce do lekarza, jest zniżka na komunikację, na leki.

Zwykłe życie

– Od 1989 r. zacząłem pracować na swój rachunek; najpierw prowadziłem skup surowców wtórnych, a później założyłem sklep i nawet dobrze prosperowałem, ale narzeczona, wstyd się przyznać, okradła mnie, musiałem zaczynać od nowa, od zera. I znowu handlowałem na „Korei”. Nigdy nie siedziałem bezczynnie, pracowałem na swoje utrzymanie, dopóki zdrowie mi nie padło. Sporo tych chorób się nabywało. Tu jest mojateczka zdrowia, a właściwie chorób.

Przeglądałem plik dokumentów i z ostatniego wypisu ze szpitala przepisuję listę chorób, które nękają pana Zbigniewa: przewlekła obturacyjna choroba płuc, niewydolność oddechowa, kardiopatia niedokrwienna, uszkodzone serce, bajpasy, rozstrzenie oskrzeli. Wśród różnych wyników badań moją uwagę zwraca kartka wyrwana z zeszytu, na której zapisano cztery wersy wiersza. Czytam po cichu, a drugi raz na głos:

„Kary nie będzie dla przeciętnych drani
a lud ofiarę złoży nadaremnie
morderców będą grzebać z honorami
na bruku ulic nędza się wylęgnie”.

- Pisuje pan wiersze? – pytam zaskoczona.
- Eeee. Nie poznała pani? To Kaczmarek. Nie zna pani tekstów Jacka Kaczmareckiego? – zawstydzona mnie.

– Pokażę pani, ile leków muszę zażywać, żeby żyć.

Gospodarz wyjmuje z szafki dwie pełne reklamówki. Rozumiem, że nie chce rozmawiać o treści songu, woli o lekach.

– Miesięczny koszt 60 zł, niby niedużo, ale ja mam 600 zł zasiłku. I teraz walczę z ZUS-em o rentę, której nie chce mi przyznać. Odwołuję się do Ministerstwa Pracy, rządy się zmieniają, a ja wciąż walczę, żeby mi przyznali jakąś stałą rentę czy emeryturę, żebym mógł przeżyć bez pomocy starszej siostry. Niestety, odpowiadają mi do znudzenia przez wiele lat, że owszem istnieją takie świadczenia, ale dla wybitnych, widocznie ja nie jestem wybitny. Uznano mi tylko 14 lat pracy i przydzielono trzecią grupę inwalidzką, a to oznacza, że nadaję się do lekkiej pracy. Teoretycznie, bo sama pani widzi, że oddychanie jest już dla mnie dużym wysiłkiem. Dostałem co prawda 20 tys. odszkodowania za represje komunistyczne, ale wtedy MOPS odebrał mi na rok zasiłek. Na jedno wyszło. Teraz mam adwokata, który pisze odwołania do naszego ZUS-u, do Warszawy, do Ministerstwa Pracy...

Pan Zbigniew wyszukuje i podaje mi następną teczkę z urzędowymi pismami.

– Oto dokumentacja moich zmagañ z urzędnikami. Oni mają wrogie nastawienie do takich jak ja, bo to wypasione towarzystwo, które świetnie się urządziło w III Rzeczypospolitej, nie chce dopuścić, żeby polepszyło się takim jak ja.

Czy ja czuję się przegrany, pokrzywdzony?

Pokrzywdzony tak, przegrany nie, bo gra się jeszcze nie skończyła. Wciąż mam wrażenie, że biegnę przez ścieżkę zdrowia. Tym razem urzędnicy stoją po obydwu stro-

nach i tłuką człowieka po głowie przepisami, paragrafami. Może teraz będzie lepiej, wciąż nie tracę nadziei, ale z drugiej strony wiem, jak ciężko będzie odwrócić ten świat urządzony na opak. Nie będzie łatwo, ale jestem dobrej myśli.

NIE KAŻDY MA TYLE SZCZĘŚCIA

Wiosna 2016

Domofon odzywa się punktualnie. Po chwili witam mojego gościa, mężczyznę w średnim wieku, o miłych rysach twarzy. Z wielkim trudem udało się namówić pana Czesława Wiechecia na rozmowę. Nie tłumaczył, dlaczego nie chce wracać do wydarzeń sprzed 40 lat, ale w zdecydowany sposób usiłował mnie zniechęcić.

– Po prostu odmawiam wszelkich wywiadów. Znajdzie pani innych chętnych do zwierzeń. Ja nie lubię, nie widzę sensu – mówił.

Wreszcie po kilku rozmowach telefonicznych wyraził zgodę, wyczułam jednak w tonie jego głosu, że czyni to niechętnie.

Na stole ląduje teczka z odbitymi na ksero dokumentami z IPN-u. Przeglądam je szybko, bo mam do nich o wiele łatwiejszy dostęp aniżeli do światów zamkniętych w głowach Czerwcowych Ludzi. Dokumenty zostaną, a starsi, schorowani ludzie mogą w każdej chwili odejść. Choć raczej nie mój gość – jest dopiero w średnim wieku, wygląda krzepko i zdrowo. Dłużej przyglądam się fotografii uro-

dziwego chłopca o długich kręconych włosach; stoi na odwróconej skrzynce na tle brudnej ściany. W dzisiejszych czasach mógłby z powodzeniem zrobić karierę w modelingu. Usiłuję wprowadzić swobodny nastrój i wypytuję, czy bez problemu trafił pod mój adres, o dzielnicę, w której mieszka. Opowiada o swojej rodzinie, o domu, o kapliczce, a właściwie grocie z polnych kamieni, którą wznosił dla Matki Boskiej.

– Gdyby pani wybrała się na wycieczkę rowerową, to po tej kapliczce pani się zorientuje, że moja posiadłość jest tuż, tuż. Zapraszam. Z miasta można dojechać ścieżką rowerową. Lubi pani jeździć rowerem?

Gawędzimy kilka minut przy herbacie, gdy pan Czesław nagle oznajmia z lekkim współczuciem i zakłopotaniem:

– Widzę, że pani nie bardzo wie, z której strony mnie ugryźć.

– Ależ wiem – zapewniam zaskoczona. – Najpierw zaczynam od pytania o ten dzień. Proszę opowiedzieć, co pan porabiał od rana do wieczora.

Ten dzień

Muszę najpierw wspomnieć, co działo się w moim życiu, zanim nastał ten dzień. Miałem zaledwie 14 lat, gdy podjąłem męską decyzję. Po szkole podstawowej rozpocząłem naukę zawodu w Ochotniczym Hufcu Pracy. Nie dlatego, że nie miałem zdolności czy chęci do nauki. Pragnąłem pomóc rodzicom. Tata leżał sparaliżowany od kilku lat, mama ciężko pracowała za marne wynagrodzenie. Pomy-

ślałem, że teraz jestem najbardziej potrzebny, a szkoła, może nawet studia inżynierskie, bo interesowała mnie technika, muszą poczekać. Zajmowaliśmy pokój z kuchnią w dużym drewnianym domu przy ul. Kochanowskiego, gdzie mieszkało kilka rodzin. Gdy starszy brat się ożenił i wyjechał, siostra wyszła za mąż i na świat przyszły dzieci. A później ja się ożeniłem i przyprowadziłem Marysię. I ten pokój z kuchnią musiał nas wszystkich pomieścić. To był luty 1976 r.

Marysia była w ciąży, a w tamtych czasach ludzie w takiej sytuacji się pobierali, a miłość była prawdziwa, nie na próbę. I trwa. Ta sama dziewczyna, ta sama miłość. Miałem 17 lat. Pracowałem wówczas w Radomskim Przedsiębiorstwie Budowlanym jako malarz. Ale chciałbym wrócić do pewnego wydarzenia w roku 1975. To osobiste przeżycie, a skoro o swoim życiu mam opowiadać...

Jesienią 1975 r. przyjechała do rodziny w Radomiu ciotka z Ameryki, moja matka chrzestna. Odwiedziła nas kilka razy i namawiała mnie, żebym jechał do Ameryki, że tam jest przyszłość dla ludzi pracowitych, solidnych. Pragnęła mi pomóc, w ogóle naszej rodzinie, i nie musiała mnie przekonywać. Każdy wtedy marzył o takim wyjeździe. Niestety zaproszenie nie doszło, wyjęto je z koperty, a w liście, który cynicznie zostawiono, ciotka wspomniała o zaproszeniu i że jak dostanę wizę, to opłaci samolot i żebym w ambasadzie zapewnił o moim zamiłowaniu do zwiedzania, a słowem nie wspomniał, że chciałbym pracować. Niestety, przypilnowano, by dla mnie nastąpił koniec Ameryki, bo ten list przyszedł po czerwcu 1976 r.

25 czerwca 1976 r. od 7.00 rano malowałem z kolegą SAM – bardzo nowoczesny na owe czasy wielkopowierzchniowy sklep przy ul. Słowackiego. Około 10.00 przyszedł kierownik, że mamy dziś wolne, możemy iść do domu, bo na mieście wznosi się fala niepokoju, co może skończyć się zamieszkami. Owszem, pobiegłem do domu, ale tylko po to, żeby coś zjeść, niemożliwe jednak, bym nie wyruszył do miasta, które nagle ożyło. Cieszył mnie bunt ludzi, bo te podwyżki były absurdalne. W moim domu i tak ledwo starczało na jedzenie, a pracowały dwie osoby. Takich rodzin była większość.

Ruszyliśmy z kolegą przez Słowackiego w stronę centrum. Minęliśmy przewrócony w poprzek ulicy jelicz z przyczepą. W okolicy parku Kościuszki grupa chłopaków ganiała się z milicjantami, a może z zomowcami. Przyłączyliśmy się do nich. To znaczy do chłopaków. Zadanie postawiliśmy sobie takie, żeby uzbrojonych mundurowych odciągnąć od komitetu, gdzie zgromadzili się demonstranci. Normalnie walczyliśmy z komuną. Nie ma pani pojęcia, jaka to radość walczyć z komuną. Oni w nas gazem, racami, armatkami wodnymi, a my kamieniami. I tak się ganialiśmy między parkiem, gmachem prezydium, Waryńskiego, Sienkiewicza a Traugutta. Niestety stało się coś niedobrego; w naszą grupę wniknęli przebierańcy. Zorientowaliśmy się, gdy zaczęli wybijać szyby w sklepach, wpadali do środka, robili demolkę i wywalali towar na ulicę. W żaden sposób nie mogliśmy ich powstrzymać. Dopiero po dłuższym czasie nastąpiła refleksja, bo przecież nie mieliśmy żadnego doświadczenia, no skąd. Wtedy olśniło nas, że trzeba wiać do domu, ale było już za późno, nyska zajechała mi drogę, wyskoczyło trzech

czy czterech milicjantów i zostałem tak pobity, że przytomność odzyskałem po jakimś czasie na podłodze policyjnej „suki”. Otwieram oczy, a tu z jednej i z drugiej strony podkute buty. Zabrali mnie na komendę na Traugutta, popchnęli w kierunku schodów, gdzie czekała ścieżka zdrowia. Na korytarzu siedziała skatowana półnaga dziewczyna z granatowymi piersiami. Zwieszona głowa, długie włosy i rozpaczliwy szloch.

Nocą zapakowano nas do „lodówki” i przewieziono do prezydium. Tam czekało na nas kolegium do spraw wykroczeń, które taśmowo wydawało wyroki. Takie działanie nazywano „z bomby”. Ja dostałem trzy miesiące aresztu za pobicie milicjanta. Musieli się zorientować, jak to śmiesznie brzmi, że chłopak mógł pobić milicjanta w otoczeniu kilkudziesięciu innych milicjantów uzbrojonych w pałki, więc zamieniono mi na sensowniejszy zarzut: „chuligaństwo”.

Ze ścieżki na ścieżkę

Zawieźli nas do Przysuchy, gdzie czekała na nas znowu ścieżka zdrowia, a bili z zapalem, z zajadłą zaciekłością, jakby chcieli się wykazać. Następnego dnia zapakowano nas – około 30 osób – w tym dwie pobite dziewczyny do „lodówki”. Mdleliśmy z braku powietrza, ciasnoty i wysokiej temperatury. Zawieźli nas na Malczewskiego od strony Reja i tam na placu czekała na nas, a jakże, ścieżka zdrowia. W hallu chwyciło nas dwóch milicjantów, a trzeci obcinał, a właściwie obrzywał włosy nożem. Ja miałem długie, kręcone, niech pani zobaczy.

Pan Czesław wyjmuję z papierowej teczki, spośród innych skserowanych dokumentów z IPN-u, fotografię, którą już wcześniej widziałam.

A później biegiem znowu przez ścieżkę zdrowia. W celi przeznaczonej dla trzech, czterech więźniów wpakowano około 30, 40 osób. Nie było czym oddychać. Panował straszny ścisk i fetor. Kazano nam się rozebrać i położyć na podłodze, a kiedy już niektórym udało się zasnąć, nagle wpadło kilku zbirów z pałami i zaczęli nas okładać. Jakby oszaleli. Dzień był tak samo koszmarny jak noc. Upał, brak powietrza, ścisk. Co chwila ktoś mdlał. Wołaliśmy: „Wody! Wody!”, łomocząc w metalowe drzwi. Wreszcie klawisz je otworzył i lunął wiaderkiem na posadzkę: „Mata, pijta” – roześmiał się i zatrzasnął drzwi.

Rano przewieziono nas na Kilińskiego. Po wyjściu z „łodówki” – ścieżka zdrowia, na schodach do góry – ścieżka zdrowia, schodami w dół – ścieżka zdrowia. Wie pani, jak wygląda mięso zbite tłuczkiem na desce? Moje ciało było zbitym mięsem. I tak przez trzy czy cztery doby. Na którymś z kolei przesłuchaniu milicjanci posadzili mnie na parapecie. Okno otwarte, drugie piętro. Czułem od nich alkohol.

– Jak się nie przyznasz, to cię wyrzucimy. Nikt nie będzie się zagłębiał, w jaki sposób doszło do wypadku; gnojek nie wytrzymał, wyskoczył, trup na miejscu, zdarza się, no nie. Śmiali się, przekrzywiając głowę w bok i do tyłu, i jeden drugiego podpuszczał, żeby mnie wypchnął.

Do środka weszła jakaś młoda dziewczyna z papierami, chyba sekretarka, i zaczęła strasznie płakać i błagać mili-

cjantów, żeby mnie zdjęli z okna. Ja sam nawet nie miałem siły, żeby wyskoczyć czy zeskoczyć – obojętnie – na podłogę czy na dziedziniec. Wszystko we mnie znieruchomiało, skuliło się, zamarło. Ściągnęli mnie do środka. Możliwe, że ta dziewczyna uratowała mi życie.

Przewieziono mnie wraz z kilkunastu chłopakami „łodówką” do więzienia w Kozienicach. Tam po raz pierwszy wezwano do mnie pomoc medyczną. Pielęgniarka zaczęła płakać na mój widok, a lekarz oznajmił, że nie ma sensu badać trupa, odwrócił się i wyszedł. I tak najlepsze wspomnienia związane z Czerwcem '76 kojarzą mi się z Kozienicami, ponieważ tam spotkałem wielu przyzwoitych milicjantów, szczególnie starszego pokolenia. Może mieli synów w naszym wieku? Ukrywali, że współczują, ale ja wiem, że nam współczuli, a najbardziej swoją życzliwość starali się zatuszować jeden przed drugim. Widziałem, że bali się siebie nawzajem.

Ta życzliwość objawiała się tym, że bili nas tylko tyle, ile musieli i nie jakoś zajadle. Jedzenie było podłe, wiadomo, jak w więzieniu, ale nie żałowali nam wody, po kryjomu częstowali papierosami, chlebem z masłem, zapewne przyniesionym z domu. A najbardziej pokazali swoje ludzkie oblicze, gdy odwieziono nas z powrotem do więzienia w Radomiu. Mimo że mieli nakaz, by zajechać z więźniami od strony Tybła, gdzie na dziedzińcu w pogotowiu czekała na każdy transport ścieżka zdrowia – podjechali pod główne wejście od strony ul. Malczewskiego. Nie wiem, jak się z tego wytłumaczyli, ale uniknęliśmy jednej ścieżki zdrowia. Do tej pory czuję w sercu wdzięczność dla ludzkiej twarzy Kozienic.

Muszę powiedzieć wyraźnie, pobyt w więzieniu przez dwa tygodnie na Malczewskiego w Radomiu to było piekło. Zazdrościliśmy tym, którzy po ogłoszeniu wyroków zostali wywiezieni do różnych więzień w Polsce, bo ich gehenna się kończyła. Tam już ich nie bito. Natomiast my zostaliśmy w piekle. Pewnego razu ktoś powiedział, że mają nas wywieźć na Sybir. Może to był jakiś klawisz, może więzień? Nie pamiętam. Ale dla Polaka Sybir jest symbolem wiadomo czego. A tak strasznie nas traktowano, że nic dziwnego, że spodziewaliśmy się po władzy komunistycznej postępów najnikczemniejszych.

Do celi przeznaczonej dla 14 więźniów wpakowano 30 chłopą. Ścisk, zaduch nie do opisania. Jakiś starszy człowiek miał ze sobą książeczkę do nabożeństwa i wszyscy klękaliśmy i modliliśmy się – przede wszystkim do Matki Boskiej, żeby nas ratowała. Jeden czytał, a my za nim powtarzaliśmy słowa modlitwy *Pod Twoją obronę*. Wielu płakało.

Oto jak wyglądał jeden dzień w więzieniu.

Na śniadanie dostawaliśmy pęczak na mleku rozcieńczonym wodą. Na obiad czerwony barszcz z brukwią. Najpierw myśleliśmy, że to ziemniaki takie bielutkie, pokrojone w kostkę, ale smak jakiś dziwny, inny i ktoś nas oświecił, że to brukiew, przysmak zwierząt hodowlanych. Ja jako małoletni dostawałem dodatkową porcję, widocznie takie obowiązowały przepisy. Moje drugie danie to pęczak czymś polany, jakimś roztopionym tłuszczem. Chyba margaryną. To było wstrętne, ale jadłem, bo wciąż czułem głód. Na kolację częstowano nas czarną zbożówką bez cukru i kawałkiem chleba zwanego smutniakiem, ponieważ pieczono go

z otrębów, a smakował jak glina. Po nim mieliśmy wszyscy zatwardzenie. Dzienna racja żywności wyceniona była na 3 zł 50 gr, tyle samo ile paczka papierosów, a były wtedy bardzo tanie. Bochenek chleba kosztował wówczas 4 zł.

Raz dziennie wyprowadzano nas do ubikacji. W celi owszem stało wiadro, ale wyłącznie na siku. Czternastu spało na pryczach, reszta, ja również, na podłodze. Na noc wrzucano nam sienniki wypchane sianem, rano je wynoszono. Nałogowi palacze, niestety w tym i ja, robiliśmy sobie skręty. Po prostu zawijało się odrobinę siana w kawałek papieru. Na spacer wypuszczano nas na 5 minut dziennie. No i bicie, codzienne bicie, przechodzące w tortury. Bo właściwie to tak trzeba nazwać – tortury. Nie wiem, w jaki sposób oddziaływano na funkcjonariuszy, że stawali się sadystami, którym katowanie drugiego człowieka sprawiało przyjemność. A może specjalnie wyszukiwali tego typu zwyrodniałych ludzi? Nie mam pojęcia. Oczywiście żaden z nich nie został pociągnięty do odpowiedzialności. Oczywiście mam na myśli współczesne czasy.

6 sierpnia 1976 r. odbyła się sprawa w sądzie na Piłsudskiego. Dostałem wyrok za to samo przewinienie po raz drugi: 2 lata w zawieszeniu na 4 lata, ponieważ miałem dobrą opinię i byłem małoletni. Dodatkowo przyłożono mi 5 tys. grzywny i 20 godzin czynu społecznego. I zostałem zwolniony. Nie tak od razu. Najpierw odwieziono mnie do więzienia, żebym zdał administracji swoje rzeczy z celi: koc, kubek, coś tam jeszcze. Miałem szczęście, że zdążyłem przed piętnastą, bo musiałbym przenocować do następnego dnia.

Gra z diabłem

Najpierw muszę uporządkować moje życie osobiste, bo nie sposób oddzielić je od podłoża politycznego. W roku 1977 następują po sobie ważne wydarzenia, na przemian smutne i radosne: w styczniu umiera mój ojciec, w lutym biorę ślub z Marysią, w marcu wzywają mnie na komendę i składają poważną ofertę współpracy.

– Wiemy, że zmarł ci ojciec, mało zarabiasz, mieszkasz w pokoju z kuchnią z siedmioosobową rodziną, a niebawem przyjdzie na świat twoje dziecko. Bardzo ci współczujemy. Nasza oferta jest taka: umorzmy ci wyrok, pomożemy w szybkim przydziale mieszkania, dostaniesz podwyżkę w pracy. I dodatkowe wynagrodzenie, jeżeli zechcesz nam czasami pomóc.

– Panowie, ja zostałem tak wychowany, że się nie nadaję. Nie mógłbym na nikogo donosić. Wybaczcie, nie potrafię.

Nie wyglądali na zadowolonych, ale cóż, musieli puścić mnie wolno. Na drugi dzień ktoś z komendy przyniósł wezwanie, że w ciągu trzech dni mam wpłacić 5 tys. grzywny zasądzonej przez kolegium w czerwcu ubiegłego roku, bo jak nie... I dalej lista konsekwencji – co jedna to gorsza. Nie miałem zamiaru płacić. Jednak moja żona przestraszyła się i pod moją nieobecność zaniósła im wszystkie pieniądze, jakie dostaliśmy od weselnych gości – dokładnie 5 tys. Ja zarabiałem wówczas 1100 zł, mama miała małą emeryturę – po prostu wpadliśmy w nędzę. Musiałem jeszcze odpracować te zasądzone 20 godzin prac społecznych.

Codziennie drałowałem na Kilińskiego na komendę i za wysokim parkanem zrzucałem koks do piwnicy, a ludzie patrzyli na mnie z okien.

Nastąpił okres bezustannego nękania. Przychodził dzielnicowy do domu i przeprowadzał jakieś szczegółowe śledztwa na okoliczność nie wiadomo czego i po co. Na przykład, że ktoś gdzieś komuś ukradł rower i żebym udowodnił, że ja tego nie zrobiłem. Lub wzywano mnie na posterunek przy ul. Żurawiej, a często na komendę przy Kilińskiego. „Co robiłeś dzisiaj, z kim się spotykałeś, o czym rozmawialiście” – okrutna, bezsensowna strata czasu. Zapewne takimi metodami usiłowano mnie doprowadzić do depresji lub do wyrażenia zgody na współpracę, bo wciąż i wciąż mi ją proponowano. Wtedy nie zdawałem sobie sprawy, że ich obrażam, tłumacząc, że jestem uczciwy, porządny i nie nadaję się na kapusia. Patrzyli na mnie z nienawiścią, a ja nie mogłem pojąć dlaczego, co ja im takiego zrobiłem. Wiem, że inni się załamywali i szli na współpracę. Gdy dowiedziałem się, że mój przyjaciel, najlepszy kumpel na mnie donosi, nie wiedziałem, czy śmiać się, czy płakać. Nie załamałem się, ponieważ bardzo kochałem żonę i córeczkę, a miłość to jest naprawdę potęgą, i wciąż myślałem, w jaki sposób zarobić dodatkowo parę groszy.

Pewnego dnia późną jesienią 1977 r. ktoś zapukał, otworzyłem i do kuchni wszedł anioł pod postacią młodej i ślicznej dziewczyny.

– Mam na imię Joanna, jestem studentką i współpracuję z Komitetem Obrony Robotników – przedstawiła się i sięgnęła do kieszeni palta.

Zaprosiłem ją dalej, zrobiła dwa kroki i zerknęła do pokoju, po którym biegały dzieci siostry i gdzie stało łóżeczko z maleństwem.

– Muszę już iść, bo mogli mnie śledzić. To dla pana. – Wyciągnęła zwitek banknotów. – Przydadzą się – powiedziała i wyszła.

Byłem tak zaskoczony i uradowany, że chyba nie wydukałem nawet „dziękuję”. W ręku trzymałem 2 tys. Przypuszczam, że nikomu w naszym mieście, a może i w całej Polsce te pieniądze nie były tak potrzebne w tamtej chwili, jak naszej rodzinie. Bardzo bym chciał raz jeszcze spotkać tę dziewczynę, teraz już panią Joannę, i podziękować.

To był ten jeden jedyny raz, gdy miałem kontakt z kimś z KOR-u, ale w najodpowiedniejszym momencie mojego życia. Nie minęły więcej niż dwie godziny od wizyty dziewczyny, gdy ktoś pofatygował się, by mi dostarczyć wezwanie na rozmowę do siedziby Służby Bezpieczeństwa. Musiałem iść. Oczywiście wyparłem się, że był u mnie ktoś z KOR-u. Długo mnie tam trzymano i dwaj panowie na zmianę namawiali mnie na współpracę. Dosyć łagodnie. Nie straszono, lecz przekonywano, jakie z tego będę miał korzyści, w jaki sposób mogę pomóc swojej rodzinie, że powinienem być rozsądny i odpowiedzialny. A ja, że nie. Że nigdy nikogo nie sprzedam, że jestem człowiekiem honoru, że za skarby świata nie i już. A oni po dobroci wykazywali moją nieprawidłową ścieżkę myślenia. A ja głupi upierałem się, że to oni wstąpili na złą ścieżkę i żarliwie ich o tym przekonywałem. Nie zdawałem sobie sprawy, że ich mimo woli upokarzam, pokazuję ukrytą pogardę, uważam się za kogoś lepszego.

Byłem bardzo młody, naiwny, dałem się nabrać na ich życzliwość i dlatego wdawałem się w niepotrzebne dyskusje. A powinienem udawać głupka: „panowie, ja do takich poważnych rzeczy się nie nadaję, jestem prosty chłopak, nie obchodzi mnie polityka, po robocie lecę zaraz do domu, do żony, do chorej matki, z nikim nie chodzę na piwo, nie rozmawiam”. Dźgałem ich i dźgałem tym „człowiekiem honoru”, bo tak o sobie mówiłem, a co gorsze – wiedzieli, że szczerze.

Później pojąłem, że za to mnie osobiście znienawidzili i osobiście mścili się przez lata za doznane zniewagi. Wiedzieli wszystko o moich bliskich, o ciężkiej sytuacji materialnej. Obiecywali w trybie przyspieszonym mieszkanie w bloku, dobrą pracę. Za jeden podpis pod cyrografem moje pragnienia by się spełniły. Nie skusiłem się, mimo że namawianie wciąż powracało. Oni swoje, ja swoje, aż wreszcie do nich dotarło, że nie będą mieli ze mnie pożytku.

Z pracy zostałem zwolniony i natychmiast przyjęty jako uczeń na nowych warunkach, to znaczy otrzymałem najniższą stawkę. Esbecja o mnie nie zapomniała – nachodził mnie w domu dzielnicowy lub byłem wzywany na komendę.

Ponieważ nie mogli mnie zmusić do współpracy, zaczęli działać w sposób bardziej wyrafinowany, poprzez zakład pracy. Pewnego razu wezwano mnie do biura i postawiono ultimatum: albo zostanę oddelegowany do pracy do Katowic lub do Gdańska, albo podejmę współpracę z SB. A wtedy moja żona miała wkrótce rodzić. Jakże mógłbym ją opuścić w takiej chwili? Z tej matni było jeszcze jedno wyjście: po prostu odszedłem z Przedsiębiorstwa Budowlanego.

Znalazłem o wiele lepiej płatną pracę na etacie malarza w fabryce telefonów – nowoczesnym zakładzie wybudowanym przez Szwedów. Cieszyłem się, niestety za wcześnie. Na dzień dobry otrzymałem obiegówkę i musiałem z nią przejść po całym zakładzie. Trafiłem do sekretarza partii wydziału, na którym miałem podjąć pracę. Zapytał, czy chcę wstąpić do partii, a ja, że nie. Wtedy wstrzymano decyzję o przyjęciu, już się bałem, że mnie nie przyjmą, ale w końcu zatrudniono mnie w najcięższym wydziale za najniższą stawkę na etacie galwanizatora. Pamiętam – otrzymałem 1600 zł.

Solidarność

Nadszedł rok 1980. Niesamowita radość. Po prostu euforia. Wszyscy wiedzieli, że jestem Czerwcowy Człowiek i jakoś tak naturalnie wstąpiłem do związku zawodowego Solidarność wraz z tysiącami moich koleżanek i kolegów z wytwórni telefonów. Gdy w 1981 r. do Radomia przyjechał Wałęsa, oddelegowano mnie do ochrony jego osoby. To wtedy chciano otruć Annę Walentynowicz. Wałęsę podziwiałem, wierzyłem w każde jego słowo: „trzeba brać sprawy we własne ręce, Polska będzie dla wszystkich” – pamiętam te słowa. Ochra-
niałem go pod kamieniem upamiętniającym Czerwiec '76 na rogu 1 Maja i Żeromskiego, a potem na stadionie Broni. Przemawiać to on potrafił, ale nic dobrego dla nas nie zrobił. Zdradził, okłamał i sprzedał. A później stan wojenny. Nie internowano mnie, mimo że się spodziewałem.

Postanowiłem odejść z wytwórni telefonów, jako że nie miałem tam szans na awans. Przekonałem się o tym,

gdy pewnego razu zdobyłem się na odwagę i zwróciłem się o podwyżkę do kierownika oddziału galwanizerni, a jednocześnie sekretarza partii na tym oddziale:

– Pracuję tu bez zarzutu od sześciu lat, nigdy się nie spóźniłem, nigdy nie byłem na zwolnieniu lekarskim. Mam ciężką sytuację materialną, troje dzieci, mieszkamy razem z moją matką w pokoju z kuchnią, czy nie czas, panie sekretarzu, na podwyżkę.

– Ja ci kazałem dzieci robić? – zapytał kpiąco pan kierownik.

Nawet zwolnić się nie było łatwo, bo okres wypowiedzenia trwał dziewięć miesięcy. I tak z wielkiej łaski go skrócono.

W 1982 r. zatrudniono mnie w Radoskórze, gdzie pracowałem prawie rok w normalnej grupie remontowej, a później przeszedłem do spółdzielni mieszkaniowej. Wtedy postanowiłem, że zdobędę zawód kierowcy – bardziej popłatny i ciekawszy. Akurat Miejskie Przedsiębiorstwo Komunikacyjne ogłosiło nabór. Wręczono mi do wypełnienia kwestionariusz z wieloma rubrykami, również o karalności. Wpisałem, że nie byłem karany, ponieważ w czerwcu 1976 r., gdy wepchnięto mnie na ścieżkę zdrowia, miałem 17 lat. Byłem przekonany, że te wyroki nie mają znaczenia dla mojego dorosłego życia. Z powodzeniem ukończyłem kurs, niestety po kilku dniach zostałem wezwany do gabinetu dyrektora, który naubliżał mi, wyzwał od bandytów za to, że zataiłem swoją kryminalną przeszłość, a że pochodzenia politycznego, jeszcze bardziej mnie obciążało. Dał – powiem grzecznie – twarz, nawytrząsał się nade mną

i nie wiedział, co dalej ze mną zrobić. Taki kurs sporo firmę kosztował. Wreszcie zdecydowano, że mnie przyjmą, ale za najniższą stawkę, i wybrano mi najstarszy, najmocniej rozklekotany autobus. Oczywiście cały czas współpracowałem z Solidarnością i tu, w MPK, pomogłem założyć struktury Solidarności. Z tego powodu tym bardziej nie byłem lubiany przez kierownictwo, bo kolegów miałem w porządku. No i zostawiono mnie w tym MPK.

Wolność

I nagle – łup! Zawał w 1991 r. Musiałem przejść na rentę. Represje częściowo się skończyły, a dlaczego częściowo – podam przykłady tej gorszej strony nowej rzeczywistości.

Postanowiliśmy z kolegą założyć sprawę rehabilitacyjną. Przecież odzyskaliśmy wolność, więc pomyślałem, że te komunistyczne wyroki polityczne wydane na osoby represjonowane zostaną anulowane, wystarczy złożyć taki wniosek.

Szybko sprowadzono nas na ziemię. Weszliśmy do gmachu sądu i najpierw udaliśmy się do sekretariatu, gdzie akurat zebrano się kilka osób. Zapewne sędziowie, adwokaci, a może i prokuratorzy. Gdy wyjaśniłem, z jaką sprawą przyszliśmy, zostaliśmy napadnięci. Nie fizycznie, jak za komuny, ale słownie. Szydzono i śmiano się z nas.

Po opuszczeniu sądu, siedziska zła, udałem się do adwokacki po drugiej stronie ulicy, a ona, że owszem, może doprowadzić do takiej rozprawy, ale ostrzega, że czekają mnie spore koszty. Już początek okazał się nieprzyjemny finansowo, ponieważ zażądała 100 zł za napisanie podania, a hono-

rarium, o jakim wspomniała za prowadzenie mojej sprawy, było dla mnie niebotyczne, więc grzecznie podziękowałem i opuściłem kancelarię. Podanie sam umiałem napisać, bo 100 zł to dla mnie była spora kwota (dzisiejsze 100 zł – wtedy milion) i sam spróbowałem dochodzić sprawiedliwości. Zacząłem od odwiedzenia archiwum sądowego, które mieściło się wówczas na ul. Struga obok stadionu Radomiaka. Wchodzę, a tam siedzi człowiek, zapewne jakiś urzędnik sądowy, pochylony nad moimi aktami. Widocznie dostali już telefon, że niejaki Czesław Wiecheć jest zainteresowany swoją przeszłością i może tu trafić. Ten urzędnik – może sędzia, a może prokurator – oświecił mnie, że nie ma możliwości, bym miał wgląd do swoich akt. A nawet, gdybym sądownie uzyskał takie prawo, musiałbym zapłacić sporą kwotę za możliwość przejrzenia swoich dokumentów ze sfalszowanych procesów. A były to lata dziewięćdziesiąte – 1992 albo 1993 r. – i już dawno aktorka Joanna Szczepkowska ogłosiła, że w Polsce skończył się komunizm.

Dopiero po dwóch latach udostępniono mi sam wyrok z uzasadnieniem, bez żadnej dokumentacji. Zrozumiałem, że jeszcze daleka droga do wolności. Że władzę mają wciąż ci, z którymi walczyliśmy w 1976 i 1980 r.

Proszę sobie wyobrazić taką sytuację, że nie wiadomo czy śmiać się, czy płakać. Jest już rok 2000 i spotykam sekretarza partii z fabryki telefonów, gdzie pracowałem w latach osiemdziesiątych. Nawet go w pierwszej chwili nie poznałem, zmienił się, postarzał mocno, a on mnie poznał od razu. Podszedł do mnie, bo staliśmy na przystanku autobusowym pod dworcem.

I proszę zgadnąć, co mi zaproponował. Żebyśmy przyszedł do fabryki telefonów i od razu zostanę przyjęty na oddział galwanizerni na dobrych warunkach, bo on pamięta, że byłem najlepszym pracownikiem. Obecnie ten wydział należy do niego po prywatyzacji, kupił go za złotówkę oczywiście nie na swoje nazwisko, lecz na zięcia, należało zachować jakieś pozory. Otwarcie mi tłumaczył, na czym polega transformacja. Wiem, że w całej Polsce przeprowadzono taką operację, ale Radom został potraktowany szczególnie bezwzględnie – za Czerwiec '76 miał nie zostać kamień na kamieniu.

Na siłę i bez uzasadnienia ekonomicznego likwidowano świetnie prosperujące zakłady. Do tej pory w naszym mieście jest najwyższe bezrobocie w Polsce. Młodzi ludzie wyjeżdżają za pracę do Warszawy lub za granicę. Tak ludzi pracy ukarano za Czerwiec, a milicji w nagrodę za ścieżki zdrowia wybudowano nowy, okazały gmach przy ul. 11 Listopada.

Inne przykłady. Proszę bardzo. Ja mam rentę w wysokości 700 zł, a milicjanci, którzy mnie przesłuchiwali i katowali w czasach komuny, otrzymują potężne emerytury. Jeden w wysokości 9 tys., a drugi 7 tys. Jak to można nazwać? Lepiej nie nazywać, przemilczeć. A to się nazywa opresja ekonomiczna. Dotkliwa i upokarzająca. Stosowano też wobec mnie przemoc fizyczną i psychiczną. Do kiedy? Ostatnie ostre wydarzenie miało miejsce w 2010 r. Nie mogę powiedzieć jakie. Ci ludzie mają wpływy i pieniądze, świetnie sobie żyją, a my, zresztą nie będę mówił za wszystkich, tylko we własnym imieniu – ja do tej pory, a jest maj 2016 r. – nie czuję się bezpieczny. Nie będę zgrywał boha-

tera, bo mam rodzinę, którą bardzo kocham, i nie chcę jej narażać. Zastraszano mnie i grożono wiele razy. I pragnę ich zapewnić, tych esbeków, że na nich nie doniosę. A zresztą. Jeden, skromny przykład mogę podać.

Jest rok 2011. Policzmy dla jasności – mija 22 rok od Okrągłego Stołu, od początku przemian demokratycznych, od odzyskania wolności tak zwanej. Wyjechałem do szpitala sanatoryjnego w Konstancinie-Jeziornie ze względu na moje chore serce. Na sali było nas czterech – w tym jeden alkoholik, najczęściej bywający pod wpływem. Po śniadaniu musiał wypić piwo, dwa, po obiedzie również i tak dalej. Drugi miał usposobienie mocno romansowe, codziennie chadzał na balety, wdawał się w romanse z kobitkami, wracał późno, również nie zawsze trzeźwy. Trzeci nieprzesadzający specjalnie w korzystaniu z uciech sanatoryjnych, no i ja skoncentrowany mocno, by jak najwięcej skorzystać ze specjalistycznej opieki i podreperować zniszczone serduscho. Nigdy nie ciągnęło mnie do alkoholu, czasem wypilem z okazji rodzinnych uroczystości, a odkąd poznałem i pokochałem moją dziewczynę Marysię, inne kobiety mnie nie interesowały. Już taki mam charakter, że brzydzę się zdradą. Po kilku dniach, może dwóch, trzech, ordynator dowiedział się, że jestem z Radomia i zaczęło się nękanie. Codziennie mnie sprawdzano alkomatem i mierzono mi poziom alkoholu we krwi. Na pijaka nie zwracano uwagi, na pozostałych dwóch również nie.

Oczywiście, że ordynator nie był człowiekiem chorym z nienawiści do wszystkich mieszkańców mojego miasta. On był opętany nienawiścią do szczególnych radomian, tych,

którzy brali udział w proteście robotniczym w Czerwcu '76. Jestem przekonany, że mnie sprawdził pod tym właśnie kątem. Wystarczy przecież jeden telefon. Dowiedziałem się od personelu, że ów ordynator pracował kiedyś w areszcie jako lekarz więzienny. Prawdopodobnie był współpracownikiem służb. Czym się kieruje taki człowiek? W jaki sposób wytłumaczyłby swoją nienawiść? To byłoby ciekawe. Niech pani go odnajdzie i zapyta. Komu by się chciało po tylu latach urządzać polowanie na schorowanego człowieka po dwóch zawałach. To mnie zadziwia.

Dlaczego urządził na mnie polowanie?

Odpowiedź jest prosta. Gdyby mi udowodniono, że wypilem jedno piwo, utraciłbym prawo do renty. I jemu osobiście na tym zależało. Wyobraża to sobie pani? Jedyne źródło utrzymania dla mnie i dla mojej żony.

Żona

Życie mojej Marysi nie jest odrębną historią, splotło się z moim na zawsze, gdy byliśmy nastolatkami; przystojny chłopak i śliczna dziewczyna. Chce pani posłuchać? Będzie pasowało do całości? Miała małe dziecko, a z dobrymi wynikami ukończyła szkołę zaocznie – technikum odzieżowe. Przez wiele lat pracowała w spółdzielni krawieckiej, a gdy zakład splajtował, przeszła na zasiłek. Przez długi czas nie mogła znaleźć pracy i tak się fatalnie złożyło, że zachorowała na kręgosłup. Okazało się, że ma przepuklinę. Każdy, kto ma tę przypadłość, skazany jest na cierpienie. Żona nie chce wyrazić zgody na drugą operację. Drugą, bo pierwszą

już przeszła i przez fatalną pomyłkę lekarza zoperowano jej zdrowy kręgosłup. Niestety w Radomiu.

Wiem, że wybitni chirurdzy ortopedzi są gdzie indziej. A nas nawet na darmową operację poza Radomiem nie było stać. Nie mieliśmy na podróż. W tej chwili wraz z żoną utrzymujemy się z mojej nędznej renty, która wynosi 830 zł. Gdyby nie dzieci, przymieralibyśmy głodem. Pomiędzy pierwszym, a drugim zawałem pracowałem, żeby dorobić do renty u Romanowskich – dilerów Toyoty na Kieleckiej. Bardzo porządni ludzie. Po drugim zawale w 2000 r. już nic nie mogłem robić. To znaczy w domu tak. Dzielimy się z Marysią obowiązkami. Ona wykonuje wszystkie prace „powyżej pasa” – gotuje, sprząta, zmywa naczynia, a ja poniżej, czyli staram się utrzymać w czystości podłogi, układam naczynia w dolnych szafkach. Marysia z powodu chorego kręgosłupa nie może się schylać. I tak to codzienne życie wygląda.

Dni świąteczne

Od święta bywam nagradzany, doceniany. Złoty Krzyż Zasługi przypiął mi prezydent Bronisław Komorowski 16 czerwca 2011 r. A drugi wręczył mi 20 maja 2015 r. w siedzibie Lasów Państwowych pan Mariusz Kamiński. Legitymację dołączoną do tego odznaczenia podpisał Prezydent Rzeczypospolitej Polskiej Bronisław Komorowski. To był Krzyż Wolności i Solidarności.

Częściowo czuję się doceniony, usatysfakcjonowany. Dlatego niezupełnie, ponieważ oni wzięli majątek wypracowany przez takich jak ja, a nam zostawili satysfakcję.

I zaszczyty. Bo to zaszczyt być kawalerem takich ważnych odznaczeń państwowych. Prawda? A żeby jakoś wytłumaczyć tę sytuację, nazwali nas „życiowo niezaradnymi”, a siebie „zaradnymi”. Wszystko da się nazwać, żeby ukryć prawdę.

Zdarza się jednak, że przypominają sobie o nas. Na przykład sejm przegłosował taką ustawę, że represjonowani za komuny dostali 400 zł dodatku do rent i emerytur. Projekt opiewał na 800 zł, ale posłowie zmniejszyli go o połowę, żeby nam się w głowie od nagłego dobrobytu nie poprzewracało. Nie wszyscy represjonowani otrzymali ten dodatek – tylko ci, których dochód miesięczny nie przekracza 800 zł. Nie jest to duża kwota, ale dobre i to.

Ja jestem zadowolony, przecież mogli w ogóle nam nic nie dać. Trudno jest przeżyć we dwie osoby za 830 zł. Tu nie chodzi o honor, o wstyd – to oni powinni się wstydzić, czyli ci, którzy dzielą nasze wspólne pieniądze. A na razie dzielą, jak pani widzi. Ponieważ oprawców muszą sownie opłacać, to dla nas nie wystarcza. Dlaczego muszą? Widocznie boją się ich. Wmówiono nam, że nie wypada o tym mówić, a dopóki taki stan trwa, to znaczy, że drzwi do wolności są zaledwie uchylone. Ciekaw jestem, czy dożyję, kiedy zostaną otwarte na oścież. W ogóle – czy dożyję takiej chwili, gdy podczas kolejnej rocznicy ktoś ośmieli się stanąć przed mikrofonem i powie o tym głośno. Ja na pewno nie. Już pani mówiłem. Mam rodzinę, którą bardzo kocham, i nie mogę jej narażać. I o tym milczy wielki kamień. Nasz kamień. Wie pani który. Bo nawet na pomnik upamiętniający Czerwiec '76 władz Radomia nie stać do tej pory, więc kamień ustawi-

li, bo ziemia za darmo go oddała. On w sobie zgromadził wszystkie nasze historie.

Uczestniczę w każdej uroczystości w rocznicę 25 czerwca, bo to jest moje święto. Niestety bywały takie lata, że czułem się tam jak intruz. Nie tylko ja, moje czerwcowe koleżanki i moi czerwcowi koledzy również. Z przodu oni, z tyłu daleko my. Takie niezbędne, ale kłopotliwe tło. Witają i przedstawiają różne znakomitości, wyliczając, jakie funkcje pełnią w urzędach i w polityce, ukłony, przemowy, oklaski. Niby mówią o nas, ale nie do nas. Bo co oni biedni mogą nam powiedzieć. Widzę, że im głupio, aż im czasem współczuję.

Czy czuję się rozgoryczony, przegrany?

Nie. Ja tylko mówię prawdę, a że ona tak wygląda? My jesteśmy wygrani. Mamy swój kamień i wieki upłyną, a kamień się nie rozpadnie. A co pozostawią po sobie ci oprawcy? Powinni ufundować na pamiątkę swój pomnik. Wielką, gumową pałę. A może taka stoi na jakiejś działce gdzieś w lesie jakiegoś porucznika i tam się zbierają, tańczą wokół niej, świętują, chlają, polują i grillują. Nie wiadomo, czy płakać, czy się śmiać. Nie, nie powiem, jaką oni datę świętują. Kto ma trochę pojęcia o naszej najnowszej historii, na pewno się domyśli. Bardzo konkretna data. Na pewno nie 25 czerwca, bo to ich dzień klęski, a nie chwały.

Dopiero od niedawna zaczyna się coś zmieniać. Jeszcze nigdy nie czuliśmy się tak docenieni, tak uhonorowani jak ostatnio. Na dwa dni przed 40. rocznicą Czerwca zaproszono nas do Warszawy na posiedzenie sejmu, który jednogłośnie, na stojąco przyjął uchwałę upamiętniającą

40. rocznicę Czerwca '76. Uhonorowano nas oklaskami na stojąco. To było wzruszające przeżycie. A na uroczystościach w Radomiu z okazji 40. rocznicy Czerwca dużo radośmian przyszło. Jeszcze nigdy Radom nie został tak doceniony. Wielu kolegów zostało odznaczonych przez prezydenta Andrzeja Dudę Krzyżem Kawalerskim Orderu Odrodzenia Polski. Między innymi i ja.

Na drugi dzień zostałem zaproszony do Warszawy na uroczystości związane z obchodami 40. rocznicy powstania Komitetu Obrony Robotników. Część oficjalna miała miejsce w hotelu Sobieski. Piotr Duda, przewodniczący NSZZ „Solidarność”, wręczył mi medal Pro Dignitate Humana. Uroczystość zaszczyciła premier Beata Szydło i minister Antoni Macierewicz. A wie pani, że Antoni Macierewicz był jednym z założycieli KOR-u? I tak się dobrze ułożyło, że został ministrem obrony narodowej. Dla Czerwcowych Ludzi jako minister już zrobił coś dobrego. Otóż pracownikom Zakładów Metalowych, którzy zostali wyrzuceni z pracy po 25 czerwca 1976 r., przyznał jednorazowe zadośćuczynienie w wysokości 2500 zł. Ja nie dostałem, bo nie pracowałem wówczas w zakładach, ale bardzo się cieszę, bo niektórzy są w okropnej sytuacji i materialnej, i zdrowotnej. Nie jest to duża suma, ale widocznie jako minister obrony takim funduszem dysponował. Dobrze, że pomyślał o pracownikach przemysłu zbrojeniowego represjonowanych za komuny.

Jeszcze nie powiedziałem o wszystkich zaszczytach, których ostatnio doświadczyłem. Niech pani słucha. 23 września 2016 r. prezydent Andrzej Duda zaprosił ojców założycieli KOR-u oraz ludzi związanych z tą organizacją

na uroczystość nazwaną „Lekcją historii”. Pan Macierewicz wręczył nam medale okolicznościowe i pięknie przemawiał, dziękował polskim kobietom za ich patriotyzm, opowiadał też jak powstał KOR. Mówił, że struktura KOR-u narodziła się dosłownie na korytarzu sądu w Radomiu podczas jednej z pierwszych rozpraw. Ludzi z Radomia było sześciu, między innymi ks. Piotr Jaśkiewicz z kościoła św. Rodziny na Kelles-Krauza, który również otrzymał medal. Później przewieziono nas do Teatru Polskiego, gdzie odbył się koncert w wykonaniu Reprezentacyjnej Orkiestry Wojska Polskiego zatytułowany *Ojczyzno ma*. A później podjęto nas skromnym, ale eleganckim poczęstunkiem na piętrze w teatrze.

Bardzo dobrze czułem się, gdy mnie, a właściwie nas, podejmowano na warszawskich salonach. Może dlatego, że ludzie na tak wysokich stanowiskach nie traktowali nas z góry, a co najważniejsze słuchali nas.

I to nie koniec. W październiku 2016 r., a więc niedawno, miała miejsce uroczystość z okazji 36. rocznicy powstania Komitetu Założycielskiego NSZZ „Solidarność” Ziemi Radomskiej. Szef Urzędu do spraw Kombatantów i Osób Represjonowanych Jan Józef Kasprzyk przyjechał specjalnie do Radomia, żeby kilkunastu osobom wręczyć medal od Solidarności Pro Patria. Wśród nich byłem i ja.

Z jednej strony cieszę się, że ostatnio posypały się medale, odznaczenia, ale jak zwykle jest i druga strona. Niestety. Te wszystkie zaszczyty i docenienie mojej osoby nie mają żadnego wpływu na unieważnienie wyroku skazującego z 1976 r.

Moja sytuacja jest pechowa pod względem prawnym, ponieważ zostałem dwa razy skazany za to samo i wyrok nakładający karę grzywny został anulowany, więc sądy powołują się na jakiś paragraf, że nie mogę drugi raz być uniewinniony w tej samej sprawie. Błąd popełnił sąd, a ja ponoszę konsekwencje, ponieważ nie mogę wystąpić o odszkodowanie. Taki kruczek prawny, wobec którego jestem bezradny.

Może dożyję takiej chwili, że wreszcie sejm mocą jednej ustawy unieważni wszystkie wyroki wydane metodą „taśmową” na Czerwcowych Ludzi. To ostatecznie rozwiązałoby tę wstydliwą sprawę, bo w sprawiedliwość sądów już nie wierzę. Wystąpiłem do Kancelarii Premiera o przyznanie mi specjalnej renty, to dla mnie ostatnia deska ratunku, bo jestem w takiej sytuacji materialnej, w jakiej jestem. Nie z mojej winy.

Życie bardzo osobiste

Tu mi się powiodło. Kocham i jestem kochany przez tę samą dziewczynę od 41 lat. Niewielu to się zdarza. Zbudowałem dom. Sam. Dostałem od teściów działkę na obrzeżach Radomia, w pięknej okolicy i pomału przez 20 lat mieszałem cement, kładłem cegłę na cegle. Dobrze mieć syna, pomagał mi, gdy podrósł, a teraz prowadzi dobrze prosperującą firmę budowlaną. Skończył technikum samochodowe, ale kolega wciągnął go w usługi remontowe, gdy jeszcze chodzili do szkoły. Dorabiali sobie i tak się zaczęło. Zdolni, solidni i pracowici szybko odnieśli sukces. Jestem zadziwiony. Moje córki ukończyły historię na Uniwersytecie Świętokrzyskim w Kielcach. Mam mądre i piękne wnuki. Nie każdy ma tyle szczęścia.

CZTERDZIEŚCI LAT W POCZEKALNI

Lato 2016

Stanisława Górkę poznałam w siedzibie Stowarzyszenia Radomskiego Czerwca '76 i zwróciłam się do niego z prośbą o rozmowę.

– Ja już mam dosyć tych wywiadów, wspomnień. To nie ma sensu – pokręcił przecząco głową.

– Dlaczego? Dlaczego uważa pan, że nie ma sensu? – zapytałam zaskoczona.

– Bo zupełnie nic z tego nie wynika. Po co to? Kogo to obchodzi? – usiłował mnie zbyć i zniechęcić.

Przywołałam pierwszorzędne argumenty; że nikt lepiej nie przekaże prawdy o wydarzeniach Czerwca niż Czerwcowi Ludzie, że taka jest powinność wobec przyszłych pokoleń i wobec młodych ludzi nam współczesnych, którzy interesują się historią.

Wreszcie niechętnie, ale zapisał mi swój numer telefonu. Niestety, przez kilka miesięcy nie znalazł dla mnie czasu. Później wyjaśniło się dlaczego.

W IPN-ie otrzymałam płytę CD nagrałą w 2011 r. Na ekranie ukazuje się pan Stanisław w śnieżnobiałej koszuli,

czarnej marynarce z przypiętym znaczkiem „Czerwiec ’76”. Przez czoło i między brwiami mężczyzny biegnie głęboka szrama – pamiątka i znak tamtych dni.

Opowieść nagrana w IPN-ie

Byłem młodym chłopakiem, dopiero rok w cywilu po odśluszeniu wojska. Pracowałem jako hydraulik w Kombinacie Budowlanym – od pewnego czasu na osiedlu Ustronie. Coś do nas zaczęło dochodzić, jakby wiadomości niosły się powietrzem nad torami. W mieście musiało dziać się coś niezwykłego, niecodziennego. Wiadomo, że nas poderwało. Musieliśmy iść, zobaczyć, sprawdzić. Już dochodziła 14.00, gdy w kilku udaliśmy się przez tunel do miasta. Na Traugutta leżał wielki samochód do góry kołami. Podekscytowany tłum i niemrawa jakby milicja. ZOMO jeszcze nie grasowało. Wszystko w ruchomych obrazach. Ruszyliśmy za ludźmi w kierunku 1 Maja pod komitet, który już płonął. To był przyjemny widok, każdy chciał go zobaczyć z bliska. Zaczęła się gonitwa z milicją, a gdy dołączyły do nich jednostki ZOMO, siły przechyliły się znacznie na ich stronę i zrobiło się niebezpiecznie. Postanowiłem wrócić do hotelu, bo mieszkalem wówczas w hotelu robotniczym.

Dochodziła 20.00, a że był to początek lata, słońce przylgądało się jeszcze miastu, które przycichło, ludzie rozchodzili się do domów.

Idę, idę, a tu na rogu Żeromskiego i 1 Maja kliku milicjantów tłucze leżącego na chodniku człowieka. Zamurowało mnie na ten widok.

– Panowie, co robicie, przecież zabijecie tego człowieka – powiedziałem.

Odwrócili się i w jednej sekundzie doskoczyli do mnie. Za pasem miałem toporek. Pełno takich leżało na ulicy. Podniosłem, ot tak, przecież nie z myślą, że tym toporkiem rozwalę komunę. Po prostu w epoce totalnych niedoborów brakowało wszystkiego i taki głupi toporek mógł się do czegoś przydać. Wrzucili mnie do nyski i się zaczęło. Dwóch trzymało mnie za ręce, dwóch za nogi, a dwóch biło mnie pałami i kopało bezustannie. Straciłem przytomność, a gdy się ocknałem, usłyszałem głos:

– Przewrót go, bo nam się przypała.

Później się zorientowałem, że w ich slangu „przypalanie” oznacza taki stopień krwawienia jakiegoś narządu, że mogło to zapowiadać śmierć. Należało więc ciało odwrócić. Więc przewrócili mnie na wznak i bili dalej. Zawieźli mnie na Kilińskiego, gdzie mieściła się komenda. Popchnęli mnie w stronę schodów, a tam nastąpiło dalsze bicie przez zboczonych zomowców. Podczas gdy jakiś porucznik (chyba porucznik) spisywał moje zeznania, wszedł milicjant z nożem i „udydolił” mi włosy z połowy głowy. A miałem długie, więc musiałem wyglądać komicznie, bo zaczęli się śmiać. Podczas zeznań również mnie bito. Traciłem przytomność, wówczas mnie cucono, wypytywano o jakieś sprawy, bito, cucono i tak w koło Wojtek. Wreszcie mnie wypuszczono. Na korytarzu zwróciłem się do jakiegoś oficera w stopniu porucznika, bo wyglądał na człowieka na poziomie, miał inteligentną twarz i odniosłem wrażenie, że patrzy na mnie ze współczuciem, więc go zagadnąłem.

– Panie poruczniku, mam wielką prośbę – zatrzymał się i popatrzył na mnie.

– O co chodzi?

– Proszę, żeby pan zwrócił uwagę swoim ludziom, żeby przestali mnie bić, bo jestem po operacji wyrostka robaczkowego. W kwietniu mi wycięto i rana jeszcze dobrze się nie zagoiła. – Wydawało mi się, że w jego oczach dostrzegłem współczucie.

– Niech pan pokaże. W którym miejscu?

Podniosłem koszulę i wskazałem na czerwoną szramę, a on się zamachnął i pięścią wałnął w nią z całej siły. Upadłem, tracąc przytomność.

Zawieźli nas do więzienia na Tybła, gdzie na dziedzińcu powitała nas ścieżka zdrowia. Do celi przeznaczonej dla dwóch więźniów wpakowano około 20 osób. Stojąc blisko siebie, urażaliśmy jeden drugiego zbitym na miazgę ciałem. Upał, zaduch, smród, krzyk, wołanie o wodę. W pewnej chwili uchyliły się drzwi. Wszystkie oczy zwróciły się na rękę wsuwającą się do środka, która coś trzymała; jakiś pojemnik, ale nie z upragnioną wodą, lecz okazało się, że z gazem; po rozpyleniu go po celi, zatrzaśnięto metalowe drzwi. Ludzie masowo tracili przytomność.

Całą noc trwały przesłuchania. Z kim, jak, co, dlaczego. I bicie. W koło Wojtek. Do tej pory, a upłynęło 40 lat, nie znikły mi szramy na twarzy...

Na drugi dzień wepchnęli do celi starszego kolegę z mojej brygady, pana Pajaka. On już nie żyje. Rozglądał się po twarzach uwięzionych i spojrzał na mnie, żadnej reakcji, nie poznał mnie. Dopiero po kilkunastu minutach,

wciąż co jakiś czas wpatrując się we mnie, podszedł i zagadnął cicho, lękliwie:

– Stasiu, to ty?

Rozpłakałem się. Stary chłop po wojsku. Wstydzilem się i płakałem. Moja spuchnięta głowa miała wielkość dorosłego arbuza.

Prowadząc mnie na przesłuchania, wymyślili dodatkową torturę – skuwali mnie ze starszym człowiekiem, który ledwo powłóczył nogami. On się przewracał, a ja musiałem go ciągnąć po ścieżce zdrowia, gdzie nas tłukli ze wściekłym zapamiętaniem. Drwili: „Musimy was powitać”, a gdy wracaliśmy: „Musimy was pożegnać”.

Wreszcie po dwóch tygodniach nadszedł pierwszy dzień rozprawy sądowej. Znalazłem się w pierwszej szóstce oskarżonych, uznanych za najbardziej agresywnych.

Farbowani świadkowie zeznali, że widzieli mnie, jak wyrzucałem meble z Domu Partii, jak podpalałem, jak atakowałem i biłem milicjantów. Wyrok zapadł „łaskawy”: 5 lat więzienia, bo pan prokurator Zieliński domagał się dla mnie 9 lat.

Najpierw trafiłem do więzienia w Kielcach na tzw. Piaski, później do Warszawy na Mokotów. Wszędzie nas bito na powitanie, bito na pożegnanie. Wreszcie przewieziono mnie do Barczewa w Olsztyńskie, gdzie naczelnik powitał Czerwonych Ludzi takimi słowami: „Chcieliście wojnę, to macie wojnę”. To było więzienie dla zdegenerowanych przestępców z wysokimi wyrokami. Siedział tam na przykład Erich Koch, zbrodniarz wojenny winny śmierci około 400 tys. Polaków. Czekał na wykonanie kary śmierci, ale dożył w więzieniu 90 lat i tam w Barczewie został pochowany.

Nie wszyscy z funkcjonariuszy więzienia byli potworami. Niektórzy okazali nam współczucie.

Więzienie opuściłem pół roku później. Udałem się na rozmowę z dyrektorem mojego ostatniego zakładu pracy, czyli Kombinatoru Budowlanego. Dyrektor okazał się porządnym człowiekiem i kazał przywrócić mnie do pracy. Prawdą jest, że miałem bardzo dobrą opinię i jako fachowiec i jako solidny młody człowiek, nie spóźniałem się, nie piłem. Pracowałem tam do chwili, gdy kombinat rozwiązano. Nie zmartwiło mnie to specjalnie, bo miałem w ręku pożądaną fach, założyłem więc zakład hydrauliczny. Zleceń miałem mnóstwo, gorzej sytuacja wyglądała od strony zaopatrzenia, ponieważ brakowało materiałów – charakterystyczna i stała cecha systemu komunistycznego. Przerzuciłem się na handel – eksport. Prowadziłem tę firmę do 1989 r.

W roku 1997 wydarzyła się w mojej rodzinie straszna tragedia. W wypadku samochodowym zginęła córka, a żona uszkodziła kręgosłup i porusza się na wózku inwalidzkim. Przez te wszystkie lata opiekuję się nią. Jest mi ciężko. Nie dlatego, że musiałem przestawić całe swoje życie i nauczyć się pielęgniarstwa, bo tu łagodząco działa miłość, a żona ma w sobie wiele dobroci i cierpliwości. Jest mi ciężko od strony materialnej, bo przecież nie mogę pracować.

W 2006 r. podjąłem starania o anulowanie wyroku z 1976 r., by móc wystąpić o odszkodowanie. Zwróciłem się do IPN-u o moje akta, a gdy je przeczytałem, to jakby ktoś walnął mnie deską w głowę. Dowiedziałem się, że pod koniec 1976 r. przeprowadzono w Sądzie Najwyższym

rozprawę rewizyjną, o czym nie miałem pojęcia, i zmniejszono mi wyrok na 2 lata w zawieszeniu na trzy.

Upłynęło 20 lat, zabrałem te dokumenty odbite na ksero, pomyślałem – nowe czasy, nowi ludzie, niech to wszystko zostanie wyjaśnione. Niestety i sąd, i prokurator, a właściwie prokuratorka, wywodzili się z tamtej epoki. Na mojego obrońcę z urzędu wyznaczono adwokata, który popisał się parodią prawdziwej obrony. Po prostu nie odezwał się w mojej obronie nawet jednym słowem i mój wniosek został oddalony. Pisałem do prokuratora generalnego, a przez posłankę Wróbel do Sądu Najwyższego. Bezskutecznie. W Sądzie Najwyższym zasiadał również człowiek z tamtych czasów. Nie dostałem żadnego odszkodowania.

Tak się kończy los człowieka.

Pan Stanisław znika z ekranu.

Z dokumentów IPN-u

Stanisławowi Górcie przedstawiono zarzut o to, że w dniu 25.06.[19]76 w Radomiu, działając w sposób chuligański, wziął udział w zbiegowisku publicznym, którego uczestnicy wspólnymi siłami dopuścili się gwałtownego zamachu na funkcjonariuszy publicznych oraz na obiekty i urządzenia gospodarki społecznej, powodując w następstwie tego zamachu uszkodzenie ciała 75 funkcjonariuszy MO oraz szkody mieniu w wysokości 28 mln zł. Podejrzany nie przyznał się do winy.

Z materiałów postępowania przygotowawczego wynika, że Stanisław Górka demolował i ograbiał sklepy na

Żeromskiego. W momencie, gdy siły porządkowe MO podjęły interwencję, skierował swój atak przeciwko funkcjonariuszom MO, posługując się zrabowanym toporkiem (AIPN, 0286/33, Pismo Prokuratury Wojewódzkiej w Radomiu do Wydziału Śledczego SB KW MO w Radomiu, 30 VI 1976 r.).

Stanisława Górkę skazano na zasadzie art. 275 & 1 i & 2 k.k. w związku z art. 59 & 1 k.k. na 5 lat pozbawienia wolności. Na zasadzie art. 40 & 2 orzeka pozbawienia praw publicznych na 5 lat. Na zasadzie art. 59 & 3 k.k. zasądza na rzecz PCK 5000 zł*.

(AIPN Ra, 04/33, ASO, II K 38/76, Wyrok, 19 VII 1976 r., k. 453-456)

Sprawa operacyjna kryptonim „Niewinni”. Materiały dotyczące Komisji Rehabilitacyjnej przy MKZ „Solidarność” Ziemia Radomska.

Wykorzystywanie organizacji społeczno-politycznych do prowadzenia negatywnej działalności politycznej.

Stanisław Górka
Radom

Radom, 13 I [19]81 [r.]

Wniosek do NSZZ „Solidarność”

Najtragicznniejszy dzień w moim życiu to był 25 VI [19]76 r. W tym właśnie dniu zostałem zatrzymany, a w późniejszym terminie oskarżony jako przestępca polityczny. Odpowiadałem z art. 275 paragraf 1 i 2. Po

* Zachowano oryginalną pisownię wszystkich dokumentów.

dwutygodniowych katorgach, jakie przeżyłem, zostałem skazany na pięć lat pozbawienia wolności i praw publicznych i moralnych, a także grzywnę w wys[okości] 20 tys. zł. Po odsiedzeniu pół roku, tj. do 14 XII [19]76, zostałem zwolniony z aresztu jako uniewinniony. Odsiedziałem niewinnie te pół roku, wychodząc z więzienia nikt mnie nie przeprosił, ani nie podziękował za jakieś tam przez władze wymyślone podstawy i na tym koniec. To, co przeżyłem po samym zatrzymaniu mnie, chcę w jakiś sposób opisać, nie zdaję sobie sprawy z tego, czy to będzie karane czy nie, ale prawda jest zawsze prawdą. [...]

Na następnej stronie pan Górka opisuje, jaki przebieg miała jego konfrontacja z funkcjonariuszami MO, esbekami i zomowcami, więc pomijam tę stronę, ponieważ mój rozmówca te wydarzenia relacjonuje wcześniej.

[cd. s. 3 dokumentu]

Nie wiem, czy ktokolwiek myślący mógłby wpaść na taki pomysł. Wygląd tej ścieżki był odrażający, a więc pojedynczy człowiek nie spotykający się do tej pory z prawem musiał wolno przejść przez środek ustawionych około 50 milicjantów, niektórzy z nich trzymali pałkę odwrotnie, żeby lepiej bolało. Nie życzyłbym najgorszemu wrogowi takiej ścieżki zdrowia. To wszystko jest bardzo trudne do opisanie. Nie było to możliwe, żeby poznać nazwiska tych żandarmów, chociaż jednego z nich doskonale znam, nazywa się Nogalski Roman,

pracuje w MO Kielce. Muszę przyznać, że w tej ścieżce męki tylko on mnie nie uderzył, bo zatrzymała mu się ręka w powietrzu. Stracić nic nie stracił, bo odbił sobie na innym współwięźniu – nikomu to nie przeszło płazem, każdy musiał to przeżyć, niektórym to się nie udało i w połowie ścieżki musieli go wynieść. Pozbawieni byliśmy jakiegokolwiek człowieczeństwa. Godność nasza osobista nie liczyła się. To nie był mój błąd, ani żadnego z moich kolegów, że tam żeśmy się znaleźli. Ktoś musi ponieść za to wielką karę. Ja osobiście nie domagam się wielkich przeprosin, ale chcę, żeby w jaki sposób zostałem poniżony – będę podwyższony.

St. Górka

(AIPN Ra, 08/703, 704/4, 0284/703, Sprawa operacyjna kryptonim „Niewinni”. Materiały dotyczące Komisji Rehabilitacyjnej przy NSZZ Solidarność Ziemia Radomska)

Wobec oskarżonych, którzy stanęli przed Sądem Wojewódzkim w Radomiu jako „winni” Czerwca ’76, zastosowano zasadę odpowiedzialności zbiorowej na podstawie art. 275 Kodeksu karnego. Nieważne, czy kogoś schwytano na ulicy jakiegoś osiedla mieszkaniowego, w parku czy w samym centrum wydarzeń, i nieważne, o jakiej porze dnia – wszystkim postawiono ten sam zarzut, że działając w sposób chuligański, dopuścili się gwałtownego zamachu na funkcjonariuszy publicznych oraz na obiekty i urządzenia gospodarki społecznej, powodując w następstwie tego zamachu uszkodzenia ciała 75 funkcjonariuszy MO oraz szkodę w mieniu w wysokości ponad 28 mln zł.

Mimo tej skazy Sąd Najwyższy podtrzymał artykuł 275 k.k. w mocy podczas rozpraw rewizyjnych w grudniu 1976 i styczniu 1977 r.

Paweł Sasanka w książce *Czerwiec '76. Geneza. Przebieg. Konsekwencje* tak podsumowuje fatalne skutki użycia tego artykułu dla skazanych:

„Taka konstrukcja art. 275 k.k. skutecznie utrudniała rehabilitację po 1989 r. skazanych na jego podstawie w 1976 r. W 2001 prokuratorzy Oddziałowej Komisji Ścigania Zbrodni przeciwko Narodowi Polskiemu, analizując te sprawy, w wielu przypadkach oceniali, że zapadającym wówczas wyrokom można zarzucić rażące naruszenie prawa procesowego. [...] Prokuratorzy Prokuratury Krajowej w większości przypadków uznawali jednak, że brak podstaw do wniesienia rewizji nadzwyczajnej”.

Posłanka PIS Marzena Wróbel w lutym 2006 r. zgłosiła projekt ustawy o kasacji wyroków dla uczestników wydarzeń Czerwca '76. Ustawa z 18 listopada 2007 r. dała możliwość ubiegania się o odszkodowanie osobom, które za swoją działalność przeciw komunistycznej władzy były represjonowane. Przez rok istniała możliwość występowania o odszkodowanie (od listopada 2007 do listopada 2008 r.). Niestety, wielu Czerwcowych Ludzi nie wiedziało, że można to robić.

Zima 2016

Dzwonię do pana Górki. Mam nadzieję, że jednak zgodzi się ze mną spotkać. Mówię, że odsłuchałam jego opowieść, że bardzo mu współczuję z powodu wypadku.

Dzieci

Niewyobrażalna tragedia. Moja córeczka, Beatka, była uczennicą, miała dopiero 16 lat. Żona została kaleką. Samochód prowadził syn i mimo że nie doznał obrażeń fizycznych, rany na jego psychice prawdopodobnie nie zagoją się nigdy. Bardzo chciałbym mu pomóc, ale jak? Korzystał z pomocy psychologów, lecz wydaje mi się, że to powierzchowna pomoc.

Teraz Mirek mieszka i pracuje w Irlandii. Od czasu do czasu pomaga nam finansowo. Los tak sprawił, że potrzebuję pomocy. Zwykłej, najbardziej przyziemnej, bo materialnej.

Żona

Opieka nad żoną nie sprawia mi trudności. Najlepszy czas to lato, bo wyjeżdżamy na działkę pod Radomiem, gdzie Małgo się odwiedzają przyjaciółki: Ewa, Jadzia, Irenka i Danusia. Sporo ich, bo jak ktoś jest dobrym człowiekiem, to i przyjaciół ma dużo. Coś pitraszą, pieką, robią przetwory, cały czas śmieją się, plotkują. Jest zielono, ciepło, nie ma schodów, cały świat robi się przyjazny. Dlatego właśnie latem staram się załatwić jak najwięcej spraw urzędowych, bo jestem spokojny o Małgosię.

Gryzę się czym innym. Po prostu brakuje mi na codzienne wydatki. Do tej pory żyłem ze środków, które zaoszczędziłem, gdy prowadziłem własną działalność, bo dobrze zarabiałem, ale to już koniec. Nawet nie posiadałem

nic takiego, co można by spieniężyć. Mojej żonie przyznano z pomocy społecznej 153 zł miesięcznie, a ja pobieram zasiłek pielęgnacyjny w wysokości 520 zł. I to dopiero od czterech lat, bo takie były przepisy, że zasiłek pielęgnacyjny należał się matce opiekującej się chorym dzieckiem, a mężowi opiekującemu się niepełnosprawną żoną lub odwrotnie, żonie opiekującej się mężem, już nie. Więc na życie, leki, pieluchy, środki czystości mamy miesięcznie 673 zł. A! Dostaję jeszcze dodatek specjalny w wysokości 400 zł dla osób represjonowanych przez system komunistyczny. To jest jednak pomoc czasowa i w każdej chwili może zniknąć.

Coraz częściej myślę, co będzie dalej, jaka przyszłość nas czeka i ogarnia mnie po prostu zwykły ludzki lęk. Żona złożyła w ZUS-ie wniosek o przyznanie specjalnej renty, ale dostała odmowną odpowiedź. Na pociechę usłyszała, że może odwołać się do sądu.

Kiedyś nie potrafiłem się przełamać i prosić o pomoc. Jak to? Jestem facetem, nikogo o nic nie będę prosił, poradzę sobie. Tak płynęły lata. A teraz czuję się, jakbym utknął w skalnej szczelinie i wołam, kiedy słyszę, że w pobliżu przechodzi człowiek. Czas nauczył mnie pokory.

Coś robię

Oczywiście, nie siedzę z założonymi rękoma. Staram się działać. Latem 2016 r. złożyłem ponownie wniosek do sądu, żeby unieważnili ten wyrok z 1976 r., bo bez niego nie mogę wystąpić o odszkodowanie.

Niestety, sprawa nie została jeszcze rozstrzygnięta. Przesłali moje dokumenty do Lublina, bo tam jest sąd wyższej instancji, i okazało się, że Lublin odesłał sprawę do sądu w Radomiu i kazał coś tam uzupełnić, wyjaśnić. Odnoszę wrażenie, że to dobry znak. Na początku grudnia ma być ogłoszony wyrok. Czekam.

Od 40 lat żyję w poczekalni. Do tego stanu nie można się przyzwyczaić.

Młodość

Mój rodzinny dom stał blisko stacji kolejowej w Dobieszynie na trasie Radom–Warszawa i codziennie dojeżdżałem do szkoły budowlanej w Radomiu. Nie upłynął nawet rok od jej ukończenia, gdy dostałem wezwanie do wojska. W Zielonej Górze ukończyłem Podoficerską Szkołę Wojskową i przenieśli mnie do Nowego Dworu pod Warszawą. Do cywila wróciłem w 1975 r. i dalej pani wie. Pracowałem w Radomskim Kombinate Budowlanym, gdy nastąpił ten dzień, który odmienił życie wielu ludzi. Moje też: przeszedłem, a raczej przebiegłem po ścieżkach zdrowia. Tego nie można wyrzucić z pamięci.

W grudniu 1976 r. opuściłem więzienie. Już nie byłem takim młodym chłopakiem, miałem 24 lata. Pamiętam, co wtedy pomyślałem: ożenię się z pierwszą dziewczyną, którą spotkam. I która mi się spodoba.

I tak się stało, że to ona mnie odnalazła.

Czasem powiada się o kimś, że spadł nam z nieba. Tak było z Małgosią. Stałem z kolegą na przystanku autobus-

wym w sobotnie popołudnie 2 lutego 1977 r. Byliśmy zaproszeni na imieniny Marii, dziewczyny mojego kolegi. Stoiśmy, czekamy i nagle podchodzą do nas dwie uśmiechnięte dziewczyny. „Cześć” – mówią do nas, jakbyśmy się znali, a w następnym momencie przepraszają, że zaszła pomyłka i już się odwracają. Zimą szybko zapada zmierzch, jarzeniówki oświetlały wirujące płatki śniegu. Oczywiście, nie pozwoliłem im ot tak sobie odejść.

– Jaka pomyłka? – zagailem. Jedna z nich bardzo mi się spodobała. Od razu wiedziałem, że to ona. Moja przyszła żona. Poprosiłem o adres i mój kumpel zapisał go na pudełku papierosów. Wtedy telefon był rarytasem. Podjechał autobus i musiałem z kumplem odjechać, mimo że nie miałem już chęci. Kolega zapomniał o zapisanym adresie i odruchowo wyrzucił paczkę po papierosach. Na szczęście ja miałem go w swoim umyśle. I pomyśleć, że gdyby nie taki drobiazg, zwykła pomyłka, moglibyśmy się nigdy nie spotkać. To się nazywa przeznaczenie.

W poniedziałek po południu odwiedziłem Małgosię i tak się zaczęło.

Dorosłe życie

Po roku chodzenia ze sobą wzięliśmy ślub, a w następnym roku przyszedł na świat nasz syn. Na pewien czas Małgosia wyjechała z dzieckiem na wieś do rodziców, a po urlopie macierzyńskim wróciła do pracy w Zakładach Metalowych, bo tam pracowała, gdy ją poznałem. Wynajmowaliśmy jakieś pokoje przy ludziach, czasem nieduże mieszkanie

bez wygód, żeby taniej. Gdy w 1981 r. żona była ponownie w ciąży, udałem się do dyrektora kombinatu, prosić o przydział na mieszkanie, bo istniał taki przepis, że jeśli przepracuje się w firmie 10 lat z nienaganną opinią, to przysługuje mieszkanie. Fachowcem byłem dobrym, jednak czułem niepokój, bo zostałem napiętnowany przez aparat represji jako warchoł. Dyrektor rozłożył ręce i powiedział:

– Niestety. Nie ma mieszkań. Wciąż występują opóźnienia, nie możemy nadać. Myślicie Górka, że jedni jesteście w takim położeniu?

Mój kolega, który opuszczał właśnie mieszkanie służbowe, znając moją sytuację, dał mi klucze i mieszkaliśmy tam z Małgosią przez dłuższy czas, jako dzicy lokatorzy. Pewnego razu wracamy z pracy, a tu zamek wyłamany, nasze rzeczy porozrzucane, a do drzwi kartka przypięta z wezwaniem do dyrektora. No cóż, musiałem iść i się tłumaczyć. Skończyło się jednak dobrze, bo mnie wysłuchał i wywalczyłem to mieszkanie. Radość wielka. Wkrótce przyszła na świat córka i byliśmy szczęśliwi.

A co dalej się działo, już powiedziałem. Teraz czekam.

NADAL SŁYSZĘ TEN RECHOT

Lato 2016

Na ekranie pojawia się starsza pani o białych włosach. Biała bluzka, biały sweterek. Opowiada swoją historię prokuratorowi IPN-u, mnie, wszystkim ludziom. Nagranie udostępnił mi pracownik IPN-u w Radomiu.

– Jestem matką trojga dzieci. W 1976 r. moja najstarsza córka miała 12 lat, syn 5, a najmłodsza córeczka 4 miesiące. Jak każdego dnia o 6.00 rano wyruszyłam wózek z zapakowanym świeżym towarem, żeby zająć swoje stałe miejsce na rogu ul. 1 Maja i Żeromskiego. Miałam poziomki, rzodkiewkę, jagody. Nagle około godziny 8.00 usłyszałam narastający gwar, okrzyki, a później zobaczyłam ludzi. Wielotysięczny tłum. Szli środkiem ulicy. Nieśli transparenty, flagi, wołali, że chcą wolności, prawdy, chleba. Podobały mi się te okrzyki. W pewnej chwili jakiś mężczyzna idący chodnikiem z kolegą kopnął mi puszkę z pieniędzmi i przeklinając wulgarnie, kazał mi się wynosić. Słowo na „s” powiedział. To na pewno nie był robotnik. Jestem pewna, że kto ciężko pracuje na kawałek chleba, tak się nie zachowuje. Zapakowałam towar na wózek i wróciłam do domu.

Mąż pilnował dzieci. Poprosiłam starszą córkę, żeby zeszła do sklepu po mleko w proszku dla małej, a ona po chwili wróciła, ponieważ wszystkie sklepy w okolicy były poza-
mykane. Nakarmiłam dzieci, a ponieważ ciekawość ludzka nie zna granic, namówiłam męża, byśmy poszli zobaczyć, co się dzieje. Nie powinnam była tego robić, ale stało się.

Tłumy ludzi, wózki akumulatorowe, świąteczny nastrój. Nie wiedziałam, z jakiej przyczyny, rozpytywałam ludzi, ale nieznajomi nie chcieli mi tłumaczyć. Aż doszłam do samych drzwi komitetu PZPR i tam spotkałam znajomych, którzy mi wyjaśnili przyczynę protestu. W pewnym momencie jakiś mężczyzna przy tuszy podszedł do mnie, grzecznie mnie zagadnął i zaprosił do środka. Zaciekawiona weszłam. Nigdy nie byłam w najważniejszym budynku w mieście. Zaprowadził mnie do pokoju, gdzie za biurkami siedziały urzędniczki i uprzejmie mi wyjaśniały sprawę z regulacją cen, pytały, czy chciałabym się napić, bo gorący dziś dzień mamy, a ja, nie, dziękuję bardzo. One mi wyjaśniły, że nie będzie żadnych podwyżek, tylko regulacja cen i wręczyły mi plik ulotek, żebym rozdała wśród ludzi. Więc ja dziękuję, do widzenia, wychodzę na korytarz i wpadam na dwóch znajomych panów: redaktora Mędrzyckiego i dyrektora Sylikatów – Gawrońskiego. Dzień dobry, dzień dobry, oni grzecznie do mnie. Sprzątałam w ich domach. Dla mnie żadna praca ani ujmą, ani wstydem nie jest. A dobrą opinią się cieszyłam, więc tacy zamożniejsi ludzie polecali mnie jako solidną i czystą osobę. Wyszłam na zewnątrz, a tam tłum ludzi, a wśród nich moja córka wózkiem kołysze, bo mała zanosí się od płaczu. Więc ja czym prędzej do domu.

Ulotki? Ulotki ot tak, fru do góry, żeby ludzie sobie przeczytali, jeśli ciekawi.

Ugotowałam obiad, dzieci nakarmiłam. Mąż Jan postanowił odwiedzić matkę, która mieszkała niedaleko nas na ul. Czachowskiego, i z okazji swoich imienin wypił trochę z bratem, a gdy wrócił, położył się spać. Wyjrzałam przez okno i co zobaczyłam z drugiego piętra: przewrócony na bok wielki samochód z pustakami, krzyki ludzi, palący się kiosk ruchu, wóz strażacki, powybijane szyby w sklepach po drugiej stronie ulicy, armatki wodne, oddziały ZOMO w hełmach za tarczami ukryte, by rozpylać gaz łzawiący w kierunku ludzi. Zmoczyłam prześcieradło i zawiesiłam w oknie, żeby zatrzymać ten odór i dym.

Na drugi dzień rano mąż zszedł na dół do restauracji „Piastowska”, po papierosy, a córka poprosiła, by kupić jej oranżadę. Ugotowałam obiad, nakarmiłam dzieci, a on wciąż nie wracał i postanowiłam udać się pod szpital, bo miałam trochę czereśni, rzodkiewek. Ludzie odwiedzający chorych chętnie to kupowali. Kombinował człowiek, jak mógł. Zmywałam przy zlewie gary, gdy nagle bez pukania wtargnęło do środka kilku mężczyzn. Przeklinając i wyzywając od najgorszych, wykręcili mi ręce do tyłu.

– Pójdiesz z nami, ty taka owaka.

– Panowie, o co chodzi? Kim jesteście? Dlaczego mi ubliżacie? Jak można przy dzieciach!

Jakby się zreflektowali. Wyciągnęli legitymacje, że są z milicji. Więc ja ich zapraszam do pokoju.

– Proszę, wejdźcie panowie i wyjaśnijcie powód najścia. Słucham. O co chodzi?

Nie mieli zamiaru nic wyjaśniać i zabrali się za rewizję. Wszystko wyrócili do góry nogami. Przestraszone dzieci zaczęły płakać.

– Masz piwnicę? – Zwracali się do mnie wciąż na „ty”.

Kazali mi zabrać klucze i ruszyli za mną. „Szybciej, szybciej”, popychali mnie. Schody wąskie, kręcone, przewróciłam się, złamałam palec. Zajrzeli, oczywiście nic poza węglem i nowalijkami nie znaleźli. W mieszkaniu zastałam zapłakaną starszą córkę.

– Córeczko, co się stało?

Odstłoniła czerwony policzek.

– Ten pan mnie uderzył – wskazała na milicjanta, który został z dziećmi. – Kazał mi pokazać miejsce, gdzie tata ukrył ukradzione rzeczy.

Przez miesiąc ci ludzie nachodzili mnie codziennie rano, robiąc pobudkę współlokatorom, ponieważ kuchnię mieliśmy wspólną, a przez nią przechodziło się do naszego pokoju. Po miesiącu te wizyty następowały co drugi, trzeci dzień. Poprosiłam, żeby zechcieli przychodzić w mundurach, ponieważ doszły mnie plotki, że przyjmuję w wiadomych celach mężczyzn, gdy mąż jest zamknięty w więzieniu.

Podczas niedzielnego spaceru z dziećmi spotkałam znajomego. Widział moment, gdy schwytali mojego męża 26 czerwca niedaleko domu. Strasznie go tłukli, aż pluł krwią, a następnie wrzucili do „suki”.

Wreszcie dostałam zawiadomienie o terminie rozprawy. Przyjechała moja rodzina spod Kielc, zabrałam dzieci, zrobiłam kanapki. Jakiś milicjant zaczął na mnie wrzeszczeć, że tu nie przedszkole, i złapał za wózek, i popchnął, jakby

miał zamiar zrzucić go ze schodów. Byłam już na pierwszym piętrze w sądzie. Złapałam jego czapkę i krzyknęłam, żeby nie dotykał mojego dziecka. Ten milicjant nazywał się Zięba. Zapamiętałam. Chciałam, aby Janek mógł zobaczyć dzieci, pocałować je, ale mu nie pozwolono.

Sądzono po pięć osób. Pamiętam, że młodej kobiecie z Radoskóru postawiono zarzut rzucania chlebem w pierwszego sekretarza partii. Zemdląła, gdy odczytano jej listę zarzutów. Sprawa została odroczone. Poczta przyszło zawiadomienie, że ja również będę sądzona wraz z mężem. Sędzia Dobrowolska odczytała akt oskarżenia: „Zofia Sadowska wraz z mężem Janem spowodowali straty na 28 mln zł, zranili i pobili 75 funkcjonariuszy, podpalali samochody”. Poinformowano mnie, że dostanę adwokata z urzędu.

Wciąż nachodzili mnie milicjanci lub esbecy, nie wiem, bo się nie przedstawiali. Po prostu mieli takie zadanie, by mnie nękać. Pewnego popołudnia odwiedziło mnie troje młodych ludzi, zapewne studentów. Przedstawili się, że działają w KOR-ze i pomagają osobom uciemnionym jak ja. Wyjęli na stół różne rzeczy: konserwy, kredki dla dzieci, mazaki, zeszyty i inne drobiazgi. Głupio mi się zrobiło, bo nigdy nic nie dostałam za darmo. Podziękowałam, poszli. Za pół godziny wpadli milicjanci.

– Kto u ciebie był? Nazwiska. Jak wyglądali. Co mówili.
A ja nic. Nie wiem kto, nie wiem po co.

Chciałam dziecko wykąpać, dzień chłodniejszy nastał, schodzę do piwnicy, żeby węgla przynieść i napalić pod kuchnią. A tu kłódka wyrwana, węgiel i kartofle na zimę przez brata przywiezione zniknęły. Płakać mi się chciało.

Pojawili się znowu ludzie z KOR-u. Tacy poważniejsi. Żebym opowiedziała o moim nieszczęściu, o prześladowaniach. Po kilku dniach przyjechał brat z Zagnańska.

– Zosia, coś ty naopowiadała? O tobie w Radio Wolna Europa mówiono!

Pokazał mi na radiu, gdzie szukać fal, żeby w nocy sobie posłuchała. Włączam, a tam krzyki, jęki, a potem czytają nazwiska prześladowanych. Również mojego męża i moje. Że to radomskie warchoły. Zostałam wezwana na drugi dzień do prokuratury.

– Pani Sadowska. Zrobiła pani coś bardzo złego. Szkodzi pani sobie i mężowi. Musi pani wycofać tę skargę.

– Nie, nie wycofam. Jeśli poszło w świat, to niech idzie. Ja nic nie odwołam, bo mówiłam prawdę. W jakim ja świetle bym się postawiła. Mam swój honor.

Oferowano mi pieniądze za napisanie oświadczenia, że wycofuję skargę, ale poczułam wżgardę na taką propozycję.

W lipcu wyznaczono dzień następnej rozprawy. Dostałam propozycję od adwokata z Warszawy pana Siły-Nowickiego, by został moim obrońcą. Jego wizytówkę znalazłam w skrzynce na listy. Należało się zrzec tego przydzielonego z urzędu. Tak zrobiłam. Na pierwszym piętrze w sądzie na korytarzu poznałam pana Siłę-Nowickiego oraz dziennikarkę, która chciała ze mną przeprowadzić wywiad.

– Może pani głodna? – zapytała. – Mam w torebce kanapkę z szynką i jajkiem.

Była bardzo miła. Jakaś pani z Norwegii powiedziała, że będzie o mnie pisać książkę. Nagle małe zamieszanie, ktoś przybiegł i powiedział, że samochód pana mecenas

został obrzucony jajkami. Mecenas wybiegł, ale nikogo nie złapał. Bardzo mu esbecy i milicjanci dokuczali. Rozmawiałam z nim o tym, jak jestem wciąż nachodzona, jak okradli mi piwnicę, jak mi teraz ciężko samej z trójką dzieci, gdy nie ma sposobu, bym pracowała. Pochylił głowę i słuchał, i nagle ukradkiem wsunął mi w dłoń jakiś papierek. Później zerknęłam, że może coś ważnego mi napisał. Matko Przenajświętsza, a to 2 tys. zł! Zmieszałam się, co ja mam powiedzieć, co zrobić. Pytam, czy mogę zabrać te pieniądze, czy to może jakaś pomyłka, a jeśli nie, przecież mogę to później odpracować, bo ja nic nie chcę za darmo. A ten wielki człowiek tylko głową z uśmiechem kręcił, że nie, że nie trzeba. Po tym naszym radomskim Czerwcu wielu świętych niebo zasiliło. Na pewno do nich należy pan Siła-Nowicki. Bez wielkich cudów poszli do nieba. Bo jeszcze o jednym powiem, ale później może.

Wołają nas na salę rozpraw. Oznajmiłam, że rezygnuję z adwokata z urzędu, i przedłożyłam prośbę, by sąd przychylił się, bym mogła przedstawić swoich świadków. Niestety, świadkami byli jacyś ludzie, których widziałam po raz pierwszy w życiu, którzy wygadywali na mój temat straszne rzeczy. Mój mecenas uparł się, żeby sąd ogłosił przerwę, by mógł odszukać i dowieźć na rozprawę moich świadków. I tak się stało. Mecenas przywiózł redaktora Mędrzyckiego i dyrektora Gawrońskiego i oni mi się uklonili, i zeznali prawdę. Że widzieli, że weszłam z kimś do pokoju, a wyszłam, trzymając w ręku ulotki. I tyle. Natomiast fałszywi świadkowie zeznawali straszne rzeczy. Prokurator odczytał akt oskarżenia: wyrywałam przytrzymujące chodnik metalowe pręty

ze schodów, rozwaliliam szafkę na napoje, wybijałam szyby w oknach. Nerwowo nie wytrzymałam. Zaczęłam krzyczeć, że to wszystko kłamstwo. Rozpłakałam się, a sędzina powiedziała – nazywała się Dobrowolska ta pani – że jak się nie uspokoję, to wezwie psychiatrę. Za złe zachowanie ukarała mnie grzywną. Taki smutny przebieg miała ta sprawa.

Minęło kilka dni i ktoś puka do drzwi. Otwieram. Obcy jakiś mężczyzna.

– Dzień dobry. Przywiozłem pani węgiel.

– Węgiel? Pomyłka. Przecież nie zamawiałam żadnego węgla.

– Niech pani da mi klucze od piwnicy. Zapłacili mi, żebym zniósł.

– Nic panu nie dam. Musi pan uciekać.

Zesłałam z nim na dół. Patrzę, a na podwórku góra węgla leży.

– Niech pan zmyka szybko, bo może mieć pan kłopoty. Ja sobie sama poradzę.

Miałam rację. Ledwo odjechał, pojawili się milicjanci. Gamonie zaczęli śledztwo, a mogli się rozejrzeć po Słowackiego. Trudno wóz z koniem dogonić?

– Skąd masz węgiel. Pokaż kwit.

– Nie mam. Zima się zbliża. Akurat szłam ulicą, gdy przejeżdżał wozak z furą węgla i go zatrzymałam.

Wciąż ci sami mnie nachodzili. O każdej porze dnia – nawet o 6.00 rano, gdy dzieci spały jeszcze i gdy je układałam do snu. Jak złe duchy się pojawiali, żeby dręczyć. Widocznie na stałe musieli być przydzieleni. Jak sobie pomyśle, przewraca się we mnie wszystko do tej pory – dwóch

łajdaków dostawało dobrą pensję, żeby nie pozwolić żyć w trudnym, ale spokojnym życiu matce z trojgiem małych dzieci. Niestety nie znam ich nazwisk. A szkoda.

Pewnego razu wchodzi jeden z nich, a ja akurat karmiłam piersią małą. Jakiego ja lekceważenia doznałam! Siedzi, siedzi i nagle do mnie:

– Ja też bym chciał popykać cycuszka.

– Czy ty jesteś człowiekiem? Tak do matki karmiącej? Jak śmiesz! – Aż się zatrzęsłam cała z nerwów.

A on zaczął się do mnie dobierać. Synek i starsza córka bawili się na podwórku, byłby mnie zgwałcił, gdyby nie usłyszała mnie współlokatorka obok w pokoju, staruszcza, która przybiegła na ratunek, gdy zaczęłam krzyczeć. Takie to były czasy. Lekceważono ludzi podobnie jak ci oprawcy naszych oficerów w Katyniu. Jedna szkoła, jedno bolszewickie myślenie. Dla nich rozstrzelać człowieka to nic takiego. Zgwałcić, honor odebrać, to nic takiego. Dopiero 30 lat musiało upłynąć, żebyśmy pomału, po troszeczkę honor zaczęli odzyskiwać. Bo nam mówić zakazano. W sądach szczególnie. Często do tej pory są takie przypadki. Nie wolno mówić prawdy, liczy się kłamstwo i fałsz. Są tego skutki. Ja żyję z nędznej renty, a oni wiadomo. Śmieją się, ja słyszę do tej pory ten sam śmiech, rechot, który brzmiał na drugim piętrze na ul. 1 Maja 24 w 1976 i 1977 r.

Mój mąż w wyniku obrażeń po ścieżkach zdrowia zmarł. A ilu jeszcze? Kiedy prawda wyjdzie na jaw? Oficjalnie podają, że dwóch: Brożyna i ks. Kotlarz. Kłamstwo. Męczenników ścieżkowych na pewno jest kilku lub nawet kilkunastu. Opowiem o moim mężu, bo tylko o sobie mówię.

Oto jego ścieżki zdrowia: Radom, Kielce, Warszawa, Barczewo, Radom. Jeszcze jak był w Radomiu, zrobiłam paczkę: papierosy, kawałek boczku, chleb. Mąż jej nie otrzymał. Podobno dlatego, że nie napisałam imion rodziców, a Janów Sadowskich było dwóch, no i trafiła do rąk tego drugiego. Pierwsze widzenie miałam po uzyskaniu zezwolenia przez sąd. Pięć minut trwało. I przez kraty. Starań kilka dni, a widzenia pięć minut.

Do Barczewa z synkiem pięcioletnim i teściową się wybrałam. Wiedziałam, że daleka przed nami droga, nie zdawałam sobie jednak sprawy, że aż tak straszna będzie to podróż. Wyjechaliśmy o świcie w niedzielę, a dotarliśmy na miejsce w poniedziałek rano. To była późna jesień, ziąb był okropny w Olsztynie, gdy w nocy wysiedliśmy z pociągu. Musieliśmy czekać do 5.00 rano na ławeczce na pierwszy autobus. Synek zmęczony zasnął, ściągnęłam kurtkę, otuliłam, żeby nie zmarzł, niestety mocno się zaziębiłam, nastąpiło zapalenie strun głosowych. No trudno. Czekamy. Biedne dziecko i biedna moja teściowa, starsza już kobieta. Wreszcie przed piątą przyjechał autobus.

Dobiły nas słowa wartownika w więzieniu:

– Źle przyjechaliście. Niedziela minęła, a tylko w niedzielę są odwiedziny.

Ulitował się jednak, wpuścił nas do dyżurki, pozwolił się ogrzać. Prosiłam, bym mogła się widzieć z jego przełożonym.

– Jak odpoczniecie, wracajcie z powrotem, bo źle trafiliście; dziś ma dyżur wyjątkowo surowy służbista, dodatkowo nienawidzi tych z Radomia. Nie ma szans, żeby go ubłagać.

W tym czasie przechodziła obok grupka więźniów. Prowadzono ich na roboty poza murami. Jeden z nich zwrócił się do mnie.

– Z Radomia? Niech pani nie rezygnuje. Jest taki przepis, że można mieć widzenie z więźniem, który ma do domu ponad 100 km, a do Radomia jest przecież ze trzysta, jeśli nie lepiej.

Niestety, wartownik miał rację. Ten z porannej zmiany nie chciał słyszeć o widzeniu, wygnał nas mimo błagań teściowej. Na moje szepty nawet nie zwrócił uwagi. Jednak nie zrezygnowaliśmy, bo ten wartownik nas pocieszył, że po południu będzie na służbie bardziej ludzki komendant. Poszliśmy na miasto. Ziąb przejmujący, wiatr, a my spacerujemy po ulicach. Wreszcie jakiś bar otworzono i tam wypiliśmy gorącą herbatę. Nigdy nie zapomnę pysznego smaku tej herbaty w białym, trochę tylko obszczerbionym kubku. Była słodka i gorąca.

Po czternastej wróciliśmy. Znowu proszenie, kłanianie się w pas, wreszcie łaskawie zezwolił – nie wiem, kto to był – naczelnik, komendant, nieważne. Ale okazał się nieco lepszym człowiekiem aniżeli ten poranny.

Brama się otworzyła, wchodzimy. Najpierw rewizja. Zabrali nam wszystko. Miałam trochę jedzenia i papierosy. Nawet dziecko przeszukali i powyjmowali synkowi z rękawków paczki radomskich. Płakać mi się chciało, ale cóż robić, takie życie, taki los. Otwierają się drzwi. Sklepienie nad nami w postaci kopuły wysoko, wysoko, przestrzeń przed nami wielka. Idziemy. Czekamy. Dzieciak jak to dzieciak biega dookoła. Po kilku minutach wychodzi mój mąż. Twarz

zabandażowana, nogi obandażowane, ręce obandażowane. Nie można się było przywitać, przytulić, nawet dotknąć. Płakać się chciało. Ja cichutko pytam, jak ci tu Janku, on spod bandażu, że dobrze, żebym się nie martwiła. Stara matka może dwa słowa wymówiła, synek go nie poznał nawet i koniec wizyty. Pięć minut pozwolono na widzenie. Proszę sobie wyobrazić – jechaliśmy dwanaście godzin, czekaliśmy osiem, żeby popatrzeć na siebie, słowo zamienić i te 5 minut z ciężko skatowanym człowiekiem. Jak to nazwać? Czy to nie był faszyzm? Takie okrucieństwo? Zabrakło człowieczeństwa. Z powrotem na dworzec i w podróż kilkugodzinną. Serce pękało.

W lutym 1977 r. odbyła się w Warszawie rozprawa pięciu skazanych, wśród nich również mojego męża. Każdy z sądzonych miał swojego adwokata, ale oskarżonych na sprawę nie dowieziono. Na sali sądowej pojawiło się mnóstwo dziennikarzy z całego świata. Wiem, bo ja również przyjechałam. Pani sędzia, ta warszawska, obniżyła mężowi wyrok z dziewięciu lat na pięć. Pan mecenas Siła-Nowicki zaprosił mnie do restauracji na obiad, pocieszał umiejętnie.

– Pani Zofio, na imieniny już pani będzie witać męża w domu. Niech się pani nie smuci.

Jako Zofia miałam imieniny w maju, a to był luty. Nie chciało mi się wierzyć. Zasądziło mu przecież 5 lat, sama słyszałam.

Wróciłam zgnębiona autobusem do Radomia. Teściowa pilnowała dzieciaków, nagotowała zalewajki i cały półmisek pyz. Posilając się, opowiadałam o procesie, o dużym zainteresowaniu zagranicy.

– Może to będzie miało lepszy wpływ dla tych nieszczęśników – powiedziała i wyszła, bo dawno już ciemność zasnuła okno.

W nocy ktoś puka do drzwi. Zerwałam się.

– Kto tam?

– To ja, otwórz – słyszę głos męża.

Ja w krzyk radosny, dzieci się zerwały. Tata wrócił. Rano wypuścili ich z więzienia, dotarł do Warszawy, ale już nie było żadnego połączenia do Radomia. Udał się na postój i powiedział pierwszemu taksówkarzowi, że wyszedł z więzienia, że jest radomskim warchołem i nie ma ani grosza, ale żona na pewno ureguluje należność, gdy zgodzi się zaryzykować i go zawiezie. I tak zrobił. Nie wiem, jak ten człowiek się nazywa, ale naprawdę jest wart upamiętnienia. Przyjął tylko połowę należności za przywiezienie męża.

Przez wiele dni opowiadaliśmy sobie, co ja przeżyłam, co on przeżył. Mnie było ciężko, a jemu jeszcze ciężej. Znęcali się nad nim nie tylko fizycznie, ale również psychicznie.

– Mówili straszne rzeczy o tobie. Nie mogę powiedzieć co. To tajemnica. Nie chcę cię ranić. I tak zbyt wiele przeżyłaś. A ja i tak im nie wierzyłem.

Ciężkie było to życie po więzieniu. Mąż dostał kuratora, który codziennie przychodził, żeby skontrolować, co porabia ten wrak człowieka, bo zdrowie mu odebrano zupełnie. Był postawnym mężczyzną, nigdy nie chorował i nagle jak pożar różne choroby zajmowały kolejne części organizmu.

Kurator nakazywał mu iść do pracy, ale go nie chciano przyjąć na dawne stanowisko. Na żadne i nigdzie. Starał się, przecież w domu troje dzieci było do wykarmienia, przy-

odziania. Wreszcie przyjęto go na dozorcę w radomskim PKS-ie. Zimą miał odśnieżać cały teren dworca autobusowego. Starał się, było to jednak ponad jego siły, ponieważ miał kłopoty z chodzeniem, bo tak mocno puchł, że noga nie chciała wejść do buta. Zdarzało się, że szłam za niego, by nie przepadło te parę groszy. Za uchem wyrosła mu wielka, bolesna narośl. Zaczęła się wędrówka po lekarzach i musiał zrezygnować z dozorstwa w PKS. Otrzymał chałupniczą pracę. Niby lżejszą, bo nakrętki wyrabiał, ale dla nas, domowników, uciążliwą, bo używał benzyny do płukania i dzieci wdychały te trujące opary. Mąż już nie wychodził z domu, bo miał tak spuchnięte nogi, że nie mógł założyć żadnych butów.

Jakby tych nieszczęść i chorób było mało, mąż wpadł w psychozę. Miał przewidzenia, bał się czegoś, atakował mnie lub dzieci. Wreszcie musiałam zadzwonić na pogotowie i zabrali go do szpitala psychiatrycznego w Krychnowicach. Jego stan ogólny był bardzo ciężki. Najpierw przewieziono go na laryngologię, ale chirurg nie zdecydował się na operację guza. Przewieziono go więc na oddział płucny do następnego szpitala – na ul. Limanowskiego. Już wymiotował krwią. Zapukałam do pokoju ordynatora.

– Proszę pani. Stan jest bardzo ciężki. Płuca i nerki to ruina. – Wiedział, kto doprowadził do tej ruiny. Rozłożył tylko ręce. – My możemy mu tylko zmniejszyć cierpienia.

W następnych dniach tracił świadomość, miał omamy. Widział śmierć.

– O tam, tam. Stoi kostucha przy piecu. Widzisz ją? – pokazywał palcem. Podał mi widelec. – Masz klucz, idź do

pokoju, znajdziesz tam pierzyny, poduszki. Przynieś, będzie mi ciepłej.

Siedziałam przy nim po kilka godzin codziennie, żeby nie wyrwał sobie kroplówek, a lekarz zlecał mu ich wiele. Chciał go ratować i miałam nadzieję, że po intensywnym leczeniu tak silny człowiek wróci chociaż częściowo do zdrowia. Nie było mi łatwo, dzieci zostawiałam pod opieką teściowej, nie miałam żadnych dochodów, kończyły się oszczędności, a syn w maju miał przystąpić do komunii. Nieraz zdarzało się, że pielęgniarka nie mogła się wkląć w żyłę, złościła się, krzyczała na nieszczęśnika, musiałam ją mitygować. Tym bardziej to było przykre, że znałyśmy się z Szydłowca, gdzie chodziliśmy do jednego liceum.

- Trochę mi nieładnie pytać - pewnego razu mąż zwrócił się do mnie całkiem przytomny.

- Pytaj tatusiu. - Ja tak się do niego zwracałam - „tatusiu”. Nie dlatego, że 11 lat był starszy ode mnie, tylko z serca samego.

- Czy ty będziesz miała pieniądze, żeby mnie pochować?

- Co ty opowiadasz. Wyjdiesz z tego. Zobacz, jaką tu masz dobrą opiekę. Ordynator powiedział, że jest coraz lepiej. Po szpitalu załatwi ci sanatorium. Jeszcze będziesz tańczył z Wiołą na jej weselu. - Pocieszałam go, jak umiałam. Oszukiwałam, nie chciałam, żeby w smutku umierał.

I tak zostałam młodą wdową z trójką małych dzieci. Udało się wychować ich na porządnym ludzi. To jest mój sukces.

Spokojniej bym odchodziła z tego świata, gdyby prawda o Czerwcu wyszła na jaw. Bo zrobili dużo, żeby ludzie

o nim zapomnieli, a co najgorsze na zakłamaniu chcą historię oprzeć. A przecież to historia, prawda? Ludzie tworzą historię. Na przykład taki ks. Kotlarz, znałam go osobiście, bo uczył mnie religii w Szydłowcu. Jaki to był szlachetny i mądry człowiek! Wspaniały kapłan. O nim osobna książka powinna być napisana. Przecież go tak samo zakatowano jak mojego męża. A ile oni wysiłku wkładają, żeby sfalszować fakty. Jak człowiek wspomina te czasy, to wszystko się w nim gotuje. Robili łapanki na ludzi jak hitlerowcy w czasie okupacji. Te same metody. Szedł człowiek z Zakładów Metalowych z drugiej zmiany, Bogu ducha winny, i go upolowali jak zaszczute zwierzę. Żadnego tłumaczenia, sprawdzania, czy mówi prawdę. Kogo obchodziła prawda? A ja chciała-bym, żeby na prawdzie wszystko się opierało.

Ekran ciemnieje, postać pani Zofii znika.

Lato 2016, wielki upał w mieście

Jak potoczyło się dalsze życie pani Zofii? Jak sobie poradziła w tamtych strasznych czasach z trojgiem małych dzieci, bez stałych dochodów. Niestety w IPN-ie nie mogą mi pomóc, nie znają aktualnego adresu pani Sadowskiej. Wspomniała tylko w ostatniej rozmowie, że przeprowadza się ze starej kamienicy w centrum Radomia do nowego domu córki w Kosowie, w odległej dzielnicy położonej w lasach na obrzeżach miasta. Starałam się zdobyć adres pani Zofii, na próżno. Na pocztce żaden z listonoszy nie znał takiego nazwiska, pytałam znajomych, którzy mieli znajomych mieszkających na tych terenach – Niestety. Udałam się do Wydziału Stanu Cywilnego

Urzędu Miasta, gdzie ewidencjonują mieszkańców miasta i gminy. Poprosiłam panią dyrektor o rozmowę. Tak, słyszała o Czerwcu '76 i chciałyby mi pomóc. Sprawdziła w komputerze. Jest sześć kobiet o imieniu Zofia i nazwisku Sadowska, z czego pięć nie żyje, zapewne chodzi więc o tę żyjącą. Znam w przybliżeniu wiek pani Zofii i znam jej ostatnie miejsce zameldowania, więc ucieszyłam się, że odnalazłam tę, której poszukuję. Za wcześniej się ucieszyłam, bo przecież istnieją przepisy o ochronie danych po to przecież, żeby ich przestrzegać. Niestety, pani dyrektor nie przepisuje z komputera adresu na kawałku karteczki, która przypadkiem spada na podłogę, akurat w momencie, gdy pani dyrektor musi pilnie na chwilę opuścić gabinet. To nie jest amerykański film. Pani dyrektor uprzejmie prowadzi mnie do pokoju piętro niżej, gdzie urzędniczka instruuje mnie, jak taką sprawę załatwia się prawidłowo. Należy wypełnić ankietę, złożyć odpowiedni wniosek i czekać na odpowiedź.

– A ta odpowiedź od czego zależy? – pytam podejrzliwie.

– My wezwiemy tę panią do nas, do urzędu i zapytamy, czy wyrazi zgodę, żeby ujawnić swe dane osobie postronnej – pada odpowiedź, a mnie mrozi nieprzyjemne słowo „wezwiemy”.

Proszę panią urzędniczkę, bym mogła do tego wezwania dołączyć mój prywatny list z prośbą o kontakt. Niestety, nie wolno nic dołączać, surowo oznajmia pani urzędniczka.

Przygnębiona opuszczam urząd. Oczywiście nie złożyłam żadnego wniosku, bo nie chcę narażać pani Zofii, schorowanej i blisko osiemdziesięcioletniej kobiety, na stres i niepotrzebną podróż.

Przez kilka następnych miesięcy wciąż zastanawiałam się nad sposobem zdobycia adresu pani Zofii.

Zima 2016

Pewnego razu odwiedziłam IPN, żeby w czytelni przejrzeć materiały dotyczące ludzi, którzy są bohaterami mojej książki. Podczas rozmowy z pracownikami zwierzam się, że wciąż nie udaje mi odszukać pani Sadowskiej. I nagle jeden z nich wstaje, sięga na górną półkę i podaje mi tekturową teczkę.

– To praca nadesłana na konkurs historyczny ogłoszony przez Biuro Edukacji IPN – wyjaśnia pan Bogdan.

Czytam: „Czerwiec 1976 w pamięci moich bliskich”, tytuł pracy: „Historia życia pani Zofii Sadowskiej, ubrana w moje słowa...”.

Autorka uczęszcza do Liceum im. Marii Konopnickiej i co za szczęście, wpisano nie tylko nazwisko nauczyciela prowadzącego, ale również dane uczennicy. Dzwonię, przedstawiam się, tłumaczę w jakiej sprawie i pytam, czy mogłaby mi podać numer do pani Sadowskiej. Oczywiście, odpowiada, ale najpierw musi zapytać o zgodę panią Zofię.

Po trzech dniach wychodzę na spotkanie z panią Zofią, która trzyma czarną teczkę wypchaną dokumentami, wycinakami z prasy, medalami, odznaczeniami. Swoją małą IPN.

Życie młodej wdowy

Miałam rentę w wysokości 740 zł i nigdy nie siedziałam bezczynnie. Wiosną jechałam do lasu, żeby fiołków, a póź-

niej konwalijek nazbierać i na rogu Żeromskiego i 1 Maja rankiem sprzedawałam ludziom spieszącym do pracy i wracającym z pracy po nocnej zmianie. Bieguniem mi bukieciki schodziły. Nowalijki też. Teściowa dziećmi się opiekowała, a w wakacje to najstarsza córka Dorotka z malutką Wioletką zostawała. W sklepach, które wtedy były państwowe, pomagałam sprzedawczyniom segregować towar, bo taka ekspedientka za komuny to był ktoś, przez brak ogólny wszystkiego na rynku. No i sprzątałam u nich w domach. Jedna drugiej mnie polecały, bo czystość, dokładność lubiłam. U lekarzy, mecenasów, redaktorów przez całe lata sprzątałam. U pana ordynatora oddziału ginekologicznego i jego żony pedyatry, nagminnie, pamiętam w każdy czwartek sprzątałam. Najwięcej pracy miałam przed świętami: mycie okien, pranie dywanów. Ciężko pracowałam, żeby dzieciom niczego nie brakowało.

Dzieciństwo

Taki mój los od dziecka. Moja mama zmarła, gdy miałam 9 miesięcy. Mieszkaliśmy w Łącznej, w malowniczo położonej osadzie na trasie Radom–Kielce. Mój tata robił z drewna zabawki dla dzieci, koniki na biegunach, motyle na kiju, krzeselka, łyżki, półki, stołki i jeździł z towarem wozem drabiniastym po jarmarkach. Pewnego dnia, wracając z targu w Szydłowcu, został zastrzelony przez Niemców wraz ze swoim ciotecznym bratem w miejscowości Pogorzale. Miałam wówczas 4 latka, nawet nie zdawałam sobie sprawy z tragedii, jaka zaważyła na moim dalszym życiu. Jeden

brat zginął w partyzantce, dwaj zajęli się uprawą roli, bo po rodzicach zostało dużo ziemi, a mnie przygarnęła najstarsza siostra, która w wieku 19 lat wyszła za mąż za wojskowego. Poznała go w pociągu, gdy wracała z Kielc do Łącznej. Już wojna się skończyła. On powiedział, gdy wysiadała, że ją odwiedzi, no i odwiedził za pół roku i się pobrali. A ja już byłam dla nich córeczką. Siostra i jej mąż dobrzy byli dla mnie i dzięki nim nie odczułam tak mocno swojego sieroctwa. Przeprowadziliśmy się do Szydłowca, ponieważ moja ciotka wyjechała do Niemiec na roboty i już tam została po wojnie. Jakiś Niemiec zakochał się w niej, widocznie ze wzajemnością, bo wyszła za niego, a nam zostawiła swój majątek. Mąż siostry dostał pracę w straży leśnej, a później przenieśli go do milicji, więc nieźle nam się wiodło.

Młodość

Zdałam do liceum w Szydłowcu. Niestety miałam problemy z matematyką, natomiast sukcesy odnosiłam w sporcie. Świetnie biegałam. Na wszelkich spartakiadach zajmowałam zawsze pierwsze, drugie, rzadziej trzecie miejsce. Wytypowano mnie na otwarcie Stadionu Dziesięciolecia w Warszawie. Poznałam tam wybitnych zawodników: Janusza Sidło i Emila Zátopka, najlepszego lekkoatletę wszech czasów. Startowałam z najlepszymi zawodnikami z całego świata i odniosłam sukces, ponieważ znalazłam się w pierwszej dziesiątce biegaczy. Tam po raz pierwszy zobaczyłam Murzyna, ale nie wiem, z jakiego kraju przyjechał. Nie skończyłam liceum, w dziesiątej klasie przerwałam edukację.

Chciałam zostać pielęgniarką. Zdałam do szkoły w Gdańsku, ale podczas praktyk w szpitalu łamałam zasady, bo nosiłam na rękach płaczące dzieci po całych nocach i sama płakałam nad chorymi, i stwierdzono, że nie nadaję się do tego zawodu. Wróciłam do Szydłowca i szwagier załatwił mi pracę w Lidze Kobiet. Jeździłam po wsiach, zakładałam koła gospodyń wiejskich, wygłaszałam prelekcje. Ciekawiła mnie ta praca. Pewnego razu przyjechałam do Radomia na występ z amatorskim teatrem z Domu Kultury w Szydłowcu. Graliśmy wtedy w teatrze *Panią Dulską*, a budynek był jeszcze przed remontem. Po spektaklu pani dyrektorka Domu Kultury zaprosiła nas na obiad do restauracji na ul. Focha i tam poznałam Janka, mojego przyszłego męża. Zwyczajnie – ja siedziałam przy stoliku z koleżanką, a on w rogu z kolegą i w pewnej chwili przysiedli się do nas. Dyrektorka nas zostawiła, każdy mógł sam wrócić do domu. Janek odwiedzał mnie w Szydłowcu, ja przyjeżdżałam do Radomia i po dwóch latach pobraliśmy się. Zamieszkaliśmy w kamienicy na rogu Reja i Mireckiego, która należała do jego rodziców, a właściwie do jego matki. Tej kamienicy już nie ma, została wyburzona, a na jej miejscu wybudowano wielkie rondo. Otrzymaliśmy dwa mieszkania: jedno my, a drugie teściowie. A dalej pani wie.

Moje dzieci

Najstarsza Dorota zdała do szkoły pielęgniarskiej, ale jej nie skończyła, pracuje w sklepie. Wyszła za męża, mieszka w swoim domu, mają troje dzieci. Najstarszy wnuk skończył

samochodówkę, dobrze mu szła nauka, jedna historia szpeciła mu oceny. I kiedyś mi powiedział, że ja go uratowałam przed dwóją na koniec roku i być może przed powtarzaniem klasy. Zaniósł pani profesor od historii gazetę, w której zamieszczono wywiad ze mną i moją fotografię. Wnuczek powiedział tylko, że to jego babcia i odszedł od katedry. Pani profesor przeczytała, za babcię postawiła mu czwórkę i tak został uratowany. Od tej pory zbieram wszystko, co się ukazuje na mój temat.

Mój syn dwóch imion Hubert Artur mieszka w Wolanowie, a pracuje u mojego zięcia w firmie remontowej. Mieszkam z moją najmłodszą córką Wioletką, z zięciem i trojgiem wnuków: Rafałem – studentem Politechniki Świętokrzyskiej, Anią – uczennicą liceum mundurowego, bardzo urodziwą dziewczyną, która bierze udział w konkursach piękności, czasem je wygrywa, i Kubusiem – moim najmłodszym wnuczkiem. Wnuczki mam piękne i zdrowe. I prawnuczków się doczekałam, bo moja najstarsza córka Dorota babcią została.

Ja

A tu mam ważny medal – pani Zofia otwiera tekturowe pudełeczko. – Wręczono mi go z okazji trzydziestolecia Solidarności. No i odszkodowanie otrzymałam za śmierć męża, to znaczy ja i dzieci po równo, po 25 tys. Czasem zapraszają mnie do jakiejś szkoły na prelekcję, ja chętnie biorę udział, zależy mi, żeby młodzież dowiedziała się prawdy o Czerwcu, bo ludzie nie wiedzą, nawet w Radomiu nie wiedzą,

nie mają pojęcia, co tu się działo. Wiersz o tym napisałam.

Czerwcowe dni

Z mężem swym niewinnie oskarżona, biedna
Długo nie mogłam opisać tamtych dni
Dopóki moja głowa nie stała się srebrna

Dnia 25 czerwca, roku 1976,
Tłum zaczął gęstnieć na ulicy
To szli ludzie pracy, to szli robotnicy

Taki jest początek, a co dalej, opowiedziałam prozą.

SWÓJ DOM STAWIAŁEM NOCĄ

Wiosna 2016

Pan Wiesław Drózdź mieszka w Skaryszewie pod Radomiem, miasteczku sławnym z handlu końmi. Tam przyszedł na świat i zawsze wracał w to miejsce. Rozmawiamy przez telefon, zaprasza mnie do siebie, a kiedy zbyt szczegółowo wypytuję, jak mam dojechać, orientuje się, że marny ze mnie kierowca i podejmuje szybko decyzję, że to on wybierze się do mnie, żebym się nie stresowała.

Oddycham z ulgą.

Ten dzień

Miałem wtedy 18 lat. Upalny dzień przechodził w popołudnie, gdy podjechał ciężarówką gość, żeby zapakować towar, i zawołał:

– Chłopaki, co wy tak spokojnie malujecie, jakby nigdy nic? Strajki w Radomiu, wszystkie zakłady stoją, ludzie z komuną walczą, a wy co?

Pracowałem wtedy w Odlewni na ul. Lubelskiej, daleko od centrum. Od razu ruszyliśmy z kumplem w drogę.

Zauważył nas jadący traktorem znajomy, przystanął, wskoczyliśmy na przyczepę. Po kilku minutach znaleźliśmy się w centrum wydarzeń. Tłumy ludzi, okrzyki średnio atakujące komunę, raczej takie łagodne, że chcemy chleba, wolności, cofnięcia podwyżek. W użyciu armatki wodne, gaz pieprzowy. Kilku młodych mężczyzn spychało potężną przyczepę, żeby zatrzymać kolumnę zomowców ukrytych za tarczami.

Gdy podpalono komitet, wycofaliśmy się na Żeromskiego, pod nogami chrzęściło szkło, w wielu sklepach wybito witryny. Było już około piątej, szóstej po południu, gdy postanowiliśmy kierować się w stronę Skaryszewa, gdzie były nasze rodzinne domy i skąd dojeżdżaliśmy codziennie do pracy. Wydawało się nam, że będzie bezpiecznie przeciąć park na skos. Po drodze, na ul. Żeromskiego spotkailiśmy młodą matkę pchającą dziecięcy wózek, akurat na wprost urzędu wojewódzkiego, przed którym stał kordon milicjantów zajętych rzucaniem petard z gazem w kierunku przechodniów. Jacyś starsi ludzie oburzeni takim postępowaniem zaczęli krzyczeć w stronę milicjantów:

– Jak możecie tak bestialsko się zachowywać! Jak dzicz! Do matki z dzieckiem gazem? Chcecie otruć dziecko!?

Wówczas ruszyli w naszą stronę. To znaczy mieli zamiar spałować tych staruszków, ale my byliśmy tuż obok. Więc w nogi. Rozdzieliliśmy się. Kumpel pognął w park, w krzaki, a ja w dół Żeromskiego. Niestety, nadziałem się na oddział zomowców. Złapało mnie trzech i doprowadziło na komendę przy Kilińskiego. Po prostu wepchnęli mnie do środka i wrócili do swoich. Przycupnąłem na ławce i czekam, i kombi-

nuję, jak tu zwać, bo nikt na mnie nie zwracał uwagi. Ale jak? Podszedł do mnie jakiś oficer i pyta:

– Co ty tu robisz? Pokaż legitymację. – Zapewne myślał, że jestem ormowcem lub kimś w tym guście. Zacząłem się jąkać, a on wtedy w krzyk.

– O żesz ty sukinsynu! – No i przywołał pałkarzy i gdy się do mnie dorwali, straciłem przytomność. Zawlekli mnie na przesłuchanie, gdzie nie miałem nic do powiedzenia i wreszcie zaprowadzili mnie na dołek.

Mój kumpel miał więcej szczęścia, bo co prawda dorwali go w parku, skończyło się jednak na biciu, a potem puścili go wolno. Do północy kogoś wrzucali do celi, kogoś zabierali na przesłuchanie. Byłem w szoku, zresztą nie tylko ja.

Przewieźli nas do więzienia. Na pryzkach nie było sienników. Niczego. Posiłków nie dało się jeść. Chleb miał w sobie plewy, kawa czarna. Apetyt nie dopisywał również z powodu potwornego zaduchu, mdłego zapachu zasychającej krwi, niektórzy z bólu w trakcie bicia popuszczali w spodnie. Biologii nie przemożesz.

Więzienie

Rozpoczęły się rozprawy. Ucieszyłem się, gdy wyczytano moje nazwisko i kazano zabrać swoje rzeczy. Myślałem, że za chwilę będę na wolności. Niestety. Świadkiem na mojej sprawie był ten oficer z korytarza na komendzie. Dlatego poznałem i zapamiętałem jego nazwisko – Opolski. Przyjechał z Kielc, żeby pomóc radomskiej milicji i esbecji. Zeznał, że widział, jak rozbijam witryny w sklepach i jak atakuję milicjantów.

– Oskarżony był wyjątkowo agresywny – oznajmił, pokazując na mnie palcem.

Zapamiętałem te słowa. Wyjątkowo agresywny. Ja agresywny. Nawet nie wiadomo, co powiedzieć. Jak się bronić. Zresztą nikt ode mnie nie oczekiwał czegoś tak zbędnego, jak obrona. Miałem stać i słuchać, i czekać. Więc stałem, słuchałem i czekałem, kiedy i jak to się skończy.

Ten Opolski w stopniu kapitana zeznawał jako świadek w wielu procesach. Okazało się, że posiadał niezwykle dar bilokacji – potrafił przebywać w kilku miejscach w tym samym czasie. Dowiedziałem się, że świadek, który jest funkcjonariuszem państwowym, nie musi składać przysięgi przed składaniem zeznań, ponieważ jako człowiek na służbie jest z definicji prawdomówny.

Prokurator domagał się 6 miesięcy więzienia, ale sędzia wołała 8 miesięcy.

Wywieziono mnie wraz z kilkoma innymi chłopakami do więzienia w Białymstoku. Tam czekało nas szczególne powitanie. Komendant najpierw chlusnął przekleństwami, a następnie zwrócił się do ścieżki zdrowia, czyli milicjantów ustawionych w dwuszeregu z pałami gotowymi do bicia:

– Przyłóżcie skurwysynom radomskim porządnie, bo oni zabijali naszych kolegów.

W jednej celi siedziało nas 45, w różnym wieku. Wszyscy z Radomia. Każdy po kolei opowiadał swoją historię. Szczególnie mocno utkwiała mi w głowie opowieść starszego mężczyzny, który za kilka tygodni miał odejść na emeryturę. Szedł ulicą z żoną i wnuczką. Miał w siatce kawałek zawiętej w papier słoniny, którą kupił wcześniej w mięsnym

na Kościuszki. Wpakowali się na patrol zomowców. „Co tam masz?” Pokazał. „Gdzie to ukradłeś?” „Kupiłem pół godziny temu. Można sprawdzić”. Skatowali go i wrzucili do „suki”.

Po miesiącu przewieźli nas do Pińczowa. Dostaliśmy interesującą propozycję – możliwość pracy poza murami więzienia. Oczywiście większość wyraziła zgodę. To był zakład produkujący zabawki „Precyzja”. Prosta praca, układanie w pudełkach klocków. Dzięki tej pracy zarobiłem na bilet powrotny, kiedy mnie wypuszczono 16 sierpnia 1976 r.

Życie po opuszczeniu więzienia

Myślałem, że wracam w to samo miejsce, że wyrwa w życiu-rysie nie jest zbyt głęboka, szybko się jednak okazało, że nastąpiło wiele niekorzystnych zmian. Tylko w domu czekano na mnie z otwartymi ramionami.

Chciałem wrócić do swojego zakładu pracy, więc udałem się do dyrekcji na ul. Wilczą i po wilczemu zostałem potraktowany.

– Tu nie masz czego szukać. Wynocha! Jesteś wrogiem zdrowej tkanki robotniczej! – usłyszałem od rozgniewanego dyrektora.

Codziennie rano jechałem do Radomia i wyruszałem na poszukiwanie pracy. Kazali mi zostawić podanie i zgłosić się za dwa, trzy dni. Wiedziałem, co to znaczy. Sprawdzali mnie w esbecji czy na milicji, nie wiem. No i do widzenia, nie ma człowieka dla ciebie miejsca.

A ja nie nadawałem się do bezczynności. To dla mnie okropna kara. Starałem się, by mnie przyjęto do prostej

pracy polegającej na składaniu długopisów w spółdzielni „Inko” w Skaryszewie. To mała miejscowość, kierownik znał moich rodziców, chciał pomóc. Niestety, po miesiącu wezwał mnie i rozłożył ręce.

– Wiesiek, przykro mi cholernie. Radom się dowiedział i wystosował sprzeciw.

Zapewne z posterunku milicji w Skaryszewie ktoś doniósł.

Wreszcie zostałem przyjęty do R-Pri w Radomiu. Pełna nazwa to Radomskie Przedsiębiorstwo Robót Instalacyjnych. Zatrudniono mnie w tym zakładzie, ponieważ po szkole odbywałem tam praktykę, a następnie zostałem na etacie i cieszyłem się u przełożonych dobrą opinią. Niestety, nie przyjęto mnie na wcześniejsze stanowisko, lecz na dużo gorsze i marnie płatne. Praca ciężka, to nic takiego, cieszyłem się, że ją mam, najgorsze okazało się później. Nie mieliśmy pojęcia, że azbest jest rakotwórczy. Ci na gorzej wiedzieli na pewno, ale co ich obchodził robotnik. Ręcznie należało nakładać ten azbest na rury, bez rękawic, bez masek. Pamięta pani piwnice w blokach i rury opatulone taką metalową siatką? To właśnie ona przytrzymywała mieszanek azbestu z cementem dla utrzymania ciepła.

Wciąż nas przerzucano nie tylko z budowy na budowę w Radomiu, ale i po całym województwie: Grójec, Ostrowiec, Pionki, Koźienice. Jeżeli miejsce pracy znajdowało się gdzieś bliżej domu, dojeżdżało się okazją – w tamtych czasach był to powszechny sposób podróżowania – a jeśli dalej, trafiało się do hotelu robotniczego. Kawalerowi takie życie pasowało, ale nie mężowi i ojcu rodziny. Ja na razie

byłem stanu wolnego, spotykałem się z dziewczynami, prowadziłem życie rozrywkowe, jak to młody, wolny chłopak.

Nie zapomniano o mnie. Nachodzono moich rodziców, gdy byłem w delegacji.

– Gdzie syn? Co porabia? Z kim się widuje?

Tata odpowiadał, że nie wie.

– Przecież pracuje legalnie, możecie sprawdzić. Wysyła ją syna w delegację. Raz tu, raz tam – tłumaczył daremnie.

Wzywano mnie od czasu do czasu na komendę i przepytowano o moje kontakty, poglądy polityczne i upominano, że mam okazywać władzy ludowej lojalność i wdzięczność, bo wszystko mam dzięki niej. A przed świętem 1 Maja zawsze mnie wzywano i przykazywano, bym zachowywał się właściwie, nie dawał złego przykładu, bo oni mają mnie na oku, i żebym sobie nie myślał, że moje winy poszły w zapomnienie.

Wojsko

W 1980 r. powołano mnie do wojska. Wylądowałem daleko od domu, bo aż w Elblągu. W wojsku nie prześladowano mnie z powodu czerwcowej przeszłości.

Gdy wprowadzono stan wojenny, naszą jednostkę pancerną przeniesiono do Izabelina pod Warszawą. Wyruszałem o świcie z kilkoma kolegami na patrol po smutnej stolicy. Czułem się jak w białym, zimnym śnie. Ludzie patrzyli na nas jedni ze współczuciem, inni z nienawiścią. Teraz, gdy jadę do Warszawy, widzę ją najpierw białą, nawet jeśli to akurat środek lata i miasto ocieka zielenią. Przedłużono mi służbę o dwa miesiące i wreszcie wróciłem do domu.

Żona

Swoją przyszłą żonę, Jadzię, poznałem u siebie w domu, gdy byłem jeszcze w wojsku. Już wspominałem, że spotykałem się z różnymi dziewczynami, podobały mi się, ale nie wiem, na czym to polega, że jak człowiek na jakąś spojrzy, to już wie, że to ta. I nie zastanawia się za bardzo, nie analizuje. I tak było z Jadzią. To była koleżanka mojej siostry z przedszkola, gdzie opiekowały się dziećmi. Razu pewnego przyjeżdżam do domu na przepustkę, a nie miałem z tym większego problemu, ponieważ pełniłem funkcję pisarza przy dowódcy, wchodzę do pokoju, a tam siedzi siostra z Jadzią. Tak się zaczęło, a później listy prawie codziennie pisaliśmy do siebie.

Miałem szczęście. Dobrze nam się ułożyło życie, ponieważ mieliśmy takie same marzenia. Proste i zwyczajne – dom, dzieci, miłość – bez nich nie ma szczęścia. Oczywiście nikt mi domu nie dał ani nie sfinansował, musiałem wybudować go sam. Najpierw kupiliśmy działkę. Wiele potrafiłem zrobić sam, a właściwie wszystko. Nie miałem jednak takiego komfortu, że wracam z pracy, zjadam obiad i zabieram się za budowę domu. O takiej sytuacji mogłem sobie pomarzyć.

Dom

Po skończeniu pracy etatowej zjadałem pajdę chleba z czymś tam w środku, najczęściej salcesonem, kaszanką, pasztetową, i ruszałem do drugiej pracy u ludzi. To się nazywała fucha. Miałem w ręku dobry fach. Hydraulik zawsze znaj-

dzie zajęcie, a musiałem zarobić na cegły, wapno, cement. Swoj dom stawiałem nocą.

Wtedy dużo ludzi wyjeżdżało za granicę z naszego zakładu R-Pri. Najczęściej otrzymywali kontrakty do Libii, Kuwejtu, Iraku – kierunek Bliski Wschód. Tych szczęściarzy po powrocie stać było na szybkie postawienie domu przez specjalistyczną ekipę, na porządny samochód i jeszcze sporo mogli odłożyć na kształcenie dzieci. Niestety przez Czerwiec miałem szlaban na wyjazd przez 10 lat. To taka zemsta esbecka.

W latach osiemdziesiątych już mnie nie nęcano bezpośrednio i prymitywnie, ale wiedzieli, gdzie uderzyć najcelniej, więc, żeby zarobić na dom, na materiały, musiałem pracować na dwie zmiany. Nasi rodzice nie mogli nam pomóc. To były ciężkie czasy.

Budowanie nocą nie było niczym przyjemnym, a i tak człowiek się cieszył, że może coś zrobić dla swoich najbliższych. I proszę sobie wyobrazić, że ten dom ma proste ściany, można przyjechać i sprawdzić. Całkiem zgrabny dom.

Dzieci

I spokojnie sobie żyję, mam dwoje dorosłych dzieci: córkę i syna. Córką jest nauczycielką, wyszła za męża, ma dzieci, a syn z wykształcenia informatyk jeszcze mieszka z nami. Córką wyprowadziła się do swojego domu bliżej Wolanowa. Wydaje mi się, że na prowincji ludziom żyje się szczęśliwiej. Może i dlatego, że mieszkalem na uboczu, upatrzili sobie innych i nie byłem tak mocno represjonowany, jak na przy-

kład mój kolega Julek S. Utrzymywał dość bliskie kontakty z KOR-em i mnie namawiał, na szczęście odmówiłem, nie żebym miał coś przeciwko nim, ale pomocy nie potrzebowałem, a po drugie przez te dojazdy do pracy brakowało mi czasu. KOR to była potrzebna organizacja, o szlachetnych celach, ale też bardzo niebezpieczna dla tych, którzy korzystali z jej pomocy. Na mojego kolegę tak polowali i tak go pałowali, że teraz jest wrakiem człowieka. Ja jeśli nawet traciłem zdrowie, to z sensem i robiłem to świadomie, z własnej woli zamieniając je na coś materialnego, co po mnie pozostanie. A nie ma nic gorszego, jak to, że zbiry metodycznie przez lata niszczą ci zdrowie. Żyję teraz spokojnie. Ja pracuję, żona pracuje. Nie muszę już dojeżdżać, pracę mam na miejscu w zakładzie wulkanizacyjnym. Jestem zadowolony.

Czerwiec '76

Szukałem kontaktu z Czerwcowymi Ludźmi, bo wciąż miałem uczucie, że czegoś mi brakuje, aż uświadomiłam sobie, że to ich mi brakuje. Łączy nas wspólny los, przeżycia, sposób myślenia. Z kim mogę porozmawiać o tamtych wydarzeniach? Kogo one obchodzą? Najbardziej nas. To na zawsze w człowieku zostanie. Najpierw udałem się do siedziby Solidarności i tam pomogli mi nawiązać kontakt z Czerwcowymi Ludźmi. A później kontaktowałem się z nimi dzięki Kowalskiemu, który wraz z dwoma kolegami założył stowarzyszenie. Jest we mnie i w wielu z nas taka konieczność, by jak najwięcej ludzi dowiedziało się o Czerwcu. Jeżeli

jakaś szkoła zaprasza mnie na spotkanie z młodzieżą, nigdy nie odmawiam. Na szczęście widzę, że młodzi ludzie coraz bardziej interesują się przeszłością. Dysponujemy własną siedzibą, spotykamy się raz w miesiącu. Te spotkania są mi potrzebne. Po prostu znowu mam 18 lat. Pani tego nie zrozumie. To jest taka więź ciężka do wytłumaczenia. Dam przykład. Płynie statek, rozbija się, część załogi zostaje wyrzucona na bezludną wyspę. Tam przeżywają straszne rzeczy – głód, dzikie zwierzęta, ludożercy. I wcale nie wiedzą, czy zostaną ocaleni. Takie przeżycia łączą do końca. Chcemy, żeby odkłamać Czerwiec, bo komuniści zakopali prawdę o Czerwcu jak pies kość za budą. W zamian podstawili fałszywą legendę o mieście, gdzie zapijaczona patologia wyszła z rozpadających się kamienic na ulicę, zrobiła zadymę, rozkradała sklepy, pobiła biednych milicjantów. Zakazano mówić, że to był pierwszy protest za czasów komuny zakończony sukcesem. Przecież oni się przestraszyli. Po raz pierwszy się przestraszyli. Bez nas nie byłoby KOR-u i Solidarności. Bez tego ich strachu.

Kto jednak o tym wie? Świadomość ludzi w ocenie radomskiego Czerwca zmienia się, ale niezwykle wolno. Zbyt wolno. Gdy postkomuniści zwyciężyli w wyborach w Radomiu, to mnie się chciało płakać.

Dobrze, że powstało to stowarzyszenie, bo dzięki niemu udało się coś pozyskać od władzy. Na przykład dostaliśmy legitymacje dla osób represjonowanych przez system komunistyczny. Tak więcej dla honoru niż pożytku, bo przecież nie pójdę do przychodni do lekarza bez kolejki. Wszyscy się znają w takiej małej miejscowości. Nie wypada. Z darmo-

wych przejazdów nie korzystam, bo jeżdżę samochodem. Ale inni, owszem, korzystają, bo są osoby naprawdę wymagające pomocy. I 400 zł dodatku też jest ważnym gestem. Ja nie spełniam kryteriów. Otrzymują ci w skrajnej biedzie. Źle powiedziałem. W skrajnej nędzy. Niestety, jeszcze wielu jest takich wśród nas.

NAUCZYŁAM SIĘ CIESZYĆ MAŁYMI RZECZAMI

Zima 2016

W stowarzyszeniu Czerwcowych Ludzi przeważają mężczyźni, są tylko cztery kobiety: pani Alfreda, pani Teodora, pani Danuta, wdowa po panu Marku, i druga pani Danuta, nazywana dla odróżnienia Danusią. Ilekroć odwiedzam siedzibę stowarzyszenia, za każdym razem widzę panią Danusię krzątającą się w małej kuchence. Z uśmiechem proponuje gościom herbatę, sprząta ze stołu. Widać, że dobrze tu się czuje, jest u swoich. Gdy pytam, czy zechce ze mną porozmawiać, bez zbędnego krygowania wyraża zgodę.

Młodość

Mój rodzinny dom to był dobry dom. Urodziłam się prawie na wsi. Mama, tata, rodzeństwo, ogród, pole, zwierzęta. No i dzieciarni pełno u każdego sąsiada do zabawy, do wygłupów. Jako dziecko byłam skąpana w weselu, radości. Dlatego wiem, co to jest szczęście, mimo że będę się klepało w naszym niedużym domu, bo tata musiał zarobić na siedmioro dzieci, żeby nas wykarmić, a mama zajmowała się

nami i gospodarstwem. Gdy skończyłam podstawówkę, zapisałam się do Przyzakładowej Szkoły Metalowej zakładów „Waltera”. Po jej ukończeniu pracę miało się zapewnić, a co najważniejsze świetnie płać. To było bardzo ważne. Miałam świadomość, że muszę sama myśleć o przyszłości, o własnym mieszkaniu, bo rodzice nie są w stanie mi pomóc.

Marzenia o własnym M

Po ukończeniu szkoły odmówiłam sobie ostatnich w życiu wakacji, żeby jak najszybciej zacząć zarabiać i odkładać na wymarzone M2. I dobry miałam start w dorosłe życie, bo zatrudniono mnie w Zakładach Metalowych na wydziale P-6, gdzie na frezarce wykonywałam spusty do kałasznikowów. Brygadzysta wcześniej programował mi maszynę i należało tylko się przyłożyć, żeby precyzja nie ucierpiała. Odpowiadała mi ta praca, trudne tylko bywały powroty do domu, szczególnie zimą, po ciemku, bo przy drodze nie było nawet jednej latarni, a od przystanku autobusu miałam 2 km. Gdy tak wędrowałam po błocie wiosną i jesienią, a po zaspach zimą, myślałam o swoim przytulnym mieszkanku w bloku i jak je sobie urządzić. Jednego dnia zapadałam się w śniegu, wybierając kolory na ściany, drugiego ustawiałam meble, a później wszystko zmieniałam. Lubiłam latem, kiedy dzień długi, odwiedzać sklepy meblowe, żeby wyobraźnia miała oparcie w konkretnych krzesłach, wersalkach, meblościankach, gdy przemierzałam te 2 km od przystanku do domu. Takie miałam hobby. Cieszyło mnie, że za kilka lat nie trzeba będzie palić pod kuchnią, drwa rąbać, wodę ze

studni nosić. No niestety, stało się tak, że zostałam w tym starym domu, teraz już należącym wyłącznie do brata. Jeżeli chodzi o zmiany na drodze, to nadal jest nieutwardzona, żaden autobus tam nie dojeżdża, ale założyli oświetlenie. To już coś, postęp jakiś.

Do tej pory trwa moje marzenie, ja jestem coraz starsza, a ono wciąż młode. Czasem się budzę i zanim opuszczę ciepłe łóżko i poszukam stopami pantofli, to myślę: zaraz, Danusiu, pójdziesz do pięknej łazienki wyłożonej jasnymi kafelkami, a następnie do niedużej kuchenki, ale tak urządzonej, że niczego w niej nie brakuje i wszystko jest na swoim miejscu i pod ręką, nastawisz sobie wodę na poranną kawę, a następnie przejdiesz do przytulnego pokoju z kanapą. A kiedy całkiem senność odchodzi i wracam do rzeczywistości, nie narzekam. Cóż mi z tego przyjdzie, że użalać się nad sobą będę.

Miłość

Powiadali ludzie, powiadali i w rodzinie, że urodziwa jestem. To pech być brzydką, ale z taką bardzo zwracającą urodą też nie jest za dobrze, bo wpada się w zarozumiałość. A do tego dochodzi głupota młodości i popełnia się błędy, takie nieodwracalne, rzutujące na dalsze życie. Może powinnam ostrzec inne dziewczyny. Chociaż myślę, że są teraz dużo mądrzejsze. Skłamałabym, gdybym powiedziała, że nie miałam powodzenia, gdy byłam młodą dziewczyną. Jeden chłopak bardzo był we mnie zakochany, mnie też się bardzo podobał, ale ja bawiłam się jego miłością. Nawet nie

zdawałam sobie sprawy, że postępuję wobec niego okrutnie. A mnie to bawiło, popisywałam się, wciąż wystawiałam go na nowe „próby”, upokorzenia. No i skończyło się tak, że zrezygnował ze mnie. Każdy ma swój honor, nawet człowiek zakochany. A przecież go kochałam. Przepadło. Smutne słowo. Może nawet najsmutniejsze. Przepadło przez moją głupotę.

Tak się życie potoczyło, że nie wyszłam za mąż, ale wielką miłość spotkałam w Zakładach Metalowych. Pracował na tym samym wydziale co ja. Niestety już miał obowiązki wobec innej. Moją wielką radością życia i pociechą był mój synek, a właściwie nasz. Sama musiałam go wychować. Dobrym był dzieckiem, nigdy na niego nie narzekałam. Dobrym i mądrym. I stało się coś strasznego, niepojętego. Paweł już prawie szkołę kończył, uczęszczał do maturalnej klasy w szkole ogrodniczej, gdy uderzyło nieszczęście. Źle się czuł, coraz gorzej, wreszcie zrobiono mu badania i okazało się, że ma białaczkę. Pięć lat leczono go w Warszawie. Niestety, nie udało się przemóc choroby, odszedł, gdy miał 27 lat. Moje jedyne szczęście, pociecha smutnego życia. Zostawił też narzeczoną, dobrą, ładną dziewczynę, planowali ślub, cieszyłabym się wnukami, miałabym dla kogo żyć.

Ten dzień

Rano stanęłam do pracy, gdy nagle ktoś krzyknął, żeby zatrzymać maszyny. Nie pamiętam kto, a tym bardziej jak się nazywał. To był starszy jakiś pracownik, nie zna-

łam go osobiście i wszyscy go posłuchali. Zrobił się harmider, ale taki radosny, że nie pozwolimy, by komuniści nami pomiatali. Że muszą się z nami, czyli robotnikami, liczyć. No i odeszliśmy od maszyn. Później stanęły inne wydziały za naszym przykładem i wyszliśmy na zewnątrz. Tam po krótkiej naradzie szóstkami, ósemkami ruszył pochód przez ul. 1905 Roku. Przejęta byłam bardzo, ale nie poszłam ze wszystkimi pod komitet. Odłączyłam się od pochodu na rogu 1 Maja i Żeromskiego, ponieważ postanowiłam odwiedzić moją siostrę, która mieszkała w pobliżu, w nowym wieżowcu. I tak z balkonu widziałyśmy wszystko. Następnego dnia, a to sobota była, normalnie poszłam do pracy.

Mściwość

Po czterech dniach brygadzysta powiada, że mam się zgłosić do dyrekcji. Nie podejrzewając niczego złego, poszłam zaciekawiona, co też może ode mnie chcieć sam dyrektor. Stanęłam na dywanie, a dyrektor wypowiedział okropne słowa, że jestem zwolniona za uczestnictwo w strajku. Tych okrutnych słów nic nie oddzielało od życia – żadna, nawet najcieńsza wyściółka. Nogi się pode mną ugięły, słabo mi się zrobiło. Nie pomogły prośby, tłumaczenia, nic. Ten człowiek był i wciąż jest uosobieniem zła. Patrzył na mnie głodnym wzrokiem potwora, który musi się nażreć nieszczęściem drugiego człowieka.

Czy żałuję, że opuściłam tego dnia miejsce pracy, że ruszyłam ze wszystkimi w pochodzie? Nie wiem. Może roz-

sądek chciałby mnie powstrzymać, ale dusza ludzka jest waleczna, nigdy się nie zniechęca.

Trzy lata przepracowałam w Zakładach Metalowych. Jeszcze 7 lat, a może mniej i dostałabym to moje upragnione mieszkanie. Miałam wtedy 22 lata.

Przez trzy lata nie mogłam znaleźć pracy, rodzice mnie utrzymywali, a właściwie tata, bo tylko on pracował. KOR mi nie pomógł, kto by tam trafił do mnie przez to błoto 2 km. Nigdzie nie chcieli mnie zatrudnić, widocznie taki wydano rozkaz, bo gdzie bym nie pokazała świadectwa pracy, rozkładali ręce, że praca jest, ale nie dla mnie.

Wreszcie siostra po znajomości znalazła mi etat w Spółdzielni „Opakowanie”. Przymknęto oko na moje karne zwolnienie. Miałam zaczepić się na kilka miesięcy, a przepracowałam 16 lat. Może pracowałabym tam do emerytury, niestety spółdzielnia padła, wszedł syndyk. Koniec. Przez rok pobierałam zasiłek z Urzędu Pracy, a na czarno dorabiałam, gdy tylko coś się trafiło. Później przyjęto mnie do Zakładów Graficznych, które również padły. Wszystkie zakłady po kolei w Radomiu padały. Syndycy mieli tu najwięcej pracy, bo firmy nie wytrzymywały podatków. Uczęszczałam na różne kursy, szkolenia organizowane przez Urząd Pracy, ale ta akcja była zupełnie bez sensu, bo nie było gdzie pracować, wszystko polikwidowane, jakby ogień ktoś w Radomiu podłożył i pożar pożerał kolejne zakłady. Od 2001 r. zaczęły się u mnie problemy ze zdrowiem. Cierpiałam na kręgosłup i nawet na czarno już nie mogłam pracować. Wreszcie w 2015 r. otrzymałam emeryturę w wysokości 950 zł. Nie wiem dlaczego taka mała, przepracowałam 25 lat, tak wyliczyli.

Czerwcowi Ludzie

Od pięciu lat należę do stowarzyszenia dzięki mojemu znajomemu Markowi Wołowcowi, który mnie powiadomił, że powstała taka wspólnota ludzi represjonowanych po Czerwcu.

– Danuśka, przyjdź, co będziesz w chałupie sama siedziała – pewnego razu usłyszałam jego głos w telefonie.

No i zdecydowałam, żeby wybrać się do siedziby stowarzyszenia, gdzie poznałam dużo fajnych ludzi. Najpierw musiałam zgłosić się do IPN-u, żeby wydali mi zaświadczenie, że ja również jestem osobą pokrzywdzoną. To stowarzyszenie ma sens, naprawdę, bo człowiek osobny jest bezradny wobec państwowej maszyny. Nie dostałam żadnego odszkodowania za moją tułaczkę w poszukiwaniu pracy, za biedę, za lata upokorzeń. Sądy nawet nie przyjmują do rozpatrzenia roszczeń osób, które nie siedziały w więzieniu za Czerwiec. Zresztą ja nigdy o nic się nie upominałam. I nagle po tylu latach, niech policzę – od 1989 r. trzeba liczyć. 27 lat minęło od tamtej przemiany i ktoś o nas pomyślał.

Pan minister Macierewicz wpadł na pomysł, żeby dać zadośćuczynienie każdej osobie, która została zwolniona karnie z Zakładów Metalowych za opuszczenie stanowiska pracy w dniu 25 czerwca 1976 r. Może pomyślał o nas dlatego, że bywał w Radomiu podczas tamtych dni, widział na własne oczy, co z ludźmi wyrabiano. Otrzymaliśmy po 2500 zł. Może dla kogoś to żadne pieniądze, ale dla mnie znaczne.

Zaproszono około 60 osób do nowej siedziby Zakładów Metalowych, hen daleko od miasta, przy ul. Warszawskiej.

Miłe to było spotkanie po latach z koleżankami z pracy, z kolegami. Z niektórymi koleżankami utrzymuję kontakt do tej pory, ale innym musiałam się dłużej przypatrywać, żeby odgadnąć, kto jest kim.

Zapomniałam powiedzieć, że wcześniej otrzymałam legitymację dla osób represjonowanych przez system komunistyczny. Może dla kogoś to nic takiego, a ja sobie cenię takie wyróżnienie. Niby nie za duże, ale i małymi rzeczami nauczyłam się cieszyć. Wtedy życie nie jest takie smutne.

CHCIAÑO NAS ZAMILCZEĆ, ZAPOMNIEĆ

Zima 2016

Pana Krzysztofa Wojewódkę poznałam w siedzibie stowarzyszenia. Wyraził zgodę na rozmowę, więc po kilku miesiącach przypominam się przez telefon i spotykamy się w moim mieszkaniu.

Ten dzień

Wszystko pamiętam.

Miałem na drugą zmianę, czyli na czternastą. Kiedy stałem się w zakładzie, a pracowałem wówczas w Radomskich Zakładach Telefonów, mistrz oznajmił, że dziś mamy wolne, wracamy do domu. Zdziwiłem się, nie wiedziałem jeszcze, że inne zakłady w mieście już stoją, a ludzie protestują. Mieszkałem daleko od centrum i tam nie dotarła na razie wieść o rozruchach.

Niemożliwe, by ot tak sobie wrócić do domu. Wszyscy się ucieszyli, że robotnicy się zbuntowali i każdy biegł w stronę centrum, żeby zobaczyć, żeby się przyłączyć. Z paroma kolegami po kilku minutach znaleźliśmy się pod

komitetem. Już się palił, a wokół był tłum zdenerwowanych ludzi. Staralem się dowiedzieć, co wydarzyło się wcześniej, słuchając urywanych zdań protestujących. Nadjeżdżały jednostki milicji i ZOMO. Ludzie czuli się zdezorientowani, zlekceważeni i coraz bardziej wkurzeni. Zero rozmowy. Żeby ktoś z przedstawicieli władzy zawołał: „Ludzie, rozejdźcie się do domów”. Żeby chociaż tak ktoś powiedział, ale nikt tak nie powiedział.

Bez żadnego ostrzeżenia zaatakowano bezbronnych ludzi. Leciały pociski z gazem – nieco mniejsze od piłki tenisowej. Rozrywały się w momencie uderzenia w coś twardego. Ból okropny. Gdyby trafił w głowę, mógłby zabić. Na wozach opancerzonych stały armatki wodne. W tej beznadziejnej sytuacji ludzie chcieli się wycofać i tak by się stało, gdyby tamci pozwolili. Niestety.

Dostali rozkaz, by zaatakować, i zostaliśmy zmuszeni do obrony – zaczęła się bitwa. Prawdziwa bitwa. Nasza broń to kawałki płyt wrywanych z chodnika, rozbijanych w pośpiechu na mniejsze części, zaś jednostki milicji i ZOMO były uzbrojone po zęby. Ta nierówna walka trwała do około godziny 17.00. Wtedy przybyły posiłki i już stało się jasne, że nie mamy żadnych szans. Ludzie zaczęli się w pośpiechu rozchodzić, więc i ja ruszyłem w stronę domu. W pobliżu kościoła mariackiego złapało mnie trzech zomowców. Dwóch chwyciło mnie za ręce, a trzeci lał pałą. Ciągnęli mnie w stronę Komendy Wojewódzkiej na Kilińskiego. Pierwszą rzeczą, na którą zwróciłem uwagę, gdy weszliśmy do budynku, były skrzynki z wódką i mnóstwo milicjantów. Jeden z nich walnął mnie pałą wzdłuż kręgosłupa i straciłem

czucie w nogach. Ci bandyci, którzy wciąż mnie trzymali pod ramiona, być może uratowali mnie przed paraliżem, bo gdyby mnie w tym momencie puścili, prawdopodobnie zostałbym kaleką. Po kilku minutach odzyskałem czucie w nogach.

Zaciągnęli mnie do pokoju przesłuchań. Zajął się mną taki kurdupel Bednarczyk, imienia nie pamiętam, a nazwisko natychmiast sobie przypominałem po wielu latach z dokumentów sądowych. Na dzień dobry uderzył mnie pięścią w twarz i kazał mi opróżnić kieszenie. Wyjąłem chusteczkę do nosa, brązowy grzebyk i kopertę z pieniędzmi, bo akurat tego dnia wypłacali u mnie w zakładzie zaliczkę. Te pieniądze najpierw wrzucił do szuflady, a potem sobie wziął, bo gdy dostałem karę grzywny i upomniałem się o nie, zostałem pobity niby za fałszywe oskarżenie państwowego funkcjonariusza.

Usiadł i coś pisał. Pisał i pisał. O nic mnie nie pytał, tylko pisał. Od czasu do czasu, podnosił na mnie wzrok i mnie wyzywał. I znowu pisał. Miałem wrażenie, że trwam w sensnym koszmarze i nie mogę się obudzić. Piszący kurdupel, który od czasu do czasu opluwał mnie przekleństwami, i ja. Wreszcie skończył i podsunął mi kartkę:

– Podpisuj.

– Nic nie podpiszę bez przeczytania. – Pokręciłem przecząco głową.

Podszedł i bił mnie pięścią po twarzy. Niski, krępy i wściekły.

– Podpisz.

– Nic nie podpiszę.

– Wypierdalaj. – Znowu mocny cios pięścią w twarz.

Na korytarzu czekali milicjanci, którzy pociągnęli mnie w kierunku schodów, gdzie czekali zomowcy z pałami. Biegłem dwa piętra w dół, przeskakując po kilka stopni. Czy udało mi się umknąć przed jednym chociaż uderzeniem? Raczej nie. Dostawałem mocniej, bo samą końcówką gumowej pałki. Piekło jak od przypalenia rozgrzanym żelazem. Przewieziono mnie wraz z innymi nieszczęśnikami do więzienia na Malczewskiego. Tam też czekali na nas oprawcy. Szczególnie jeden się wyróżniał – nikczemnego wzrostu, w mundurze moro. Na dzień dobry uderzył mnie w głowę pięciem kluczy i krew zalała mi twarz. To był niebezpieczny człowiek, po prostu psychopata. Widziałem, jak katował młodego żołnierza w mundurze. Chłopak mógł mieć 18–20 lat. Później przyjechała po niego wojskowa żandarmeria i zabrali go półprzytomnego. Ciekawy jestem, czy przeżył. Nie w sensie, że zmarł w kilka dni po wypadkach radomskich, bo o tym byłoby głośno, lecz ile lat udało mu się trzymać życia po tym biciu, ale o tym wiedzą tylko najbliżsi. Nigdy nie zapomnę tego młodego żołnierza.

Kazano mi rozebrać się do bielizny i zaprowadzono do celi. Po 15–20 więźniów wywożono na przesłuchania do Komendy Milicji. Za każdym razem czekała nas ścieżka zdrowia. Skutymi rękoma usiłowałem zasłaniać głowę.

Wepchnięto mnie do pokoju, gdzie za biurkiem siedział prokurator.

- Kto was tak pięknie ostrzygł?
- Macie takich specjalistów – odparłem.
- Za obrzucanie kamieniami urzędu wojewódzkiego dostajecie karę grzywny w wysokości 5 tys. Jeżeli nie zapła-

cicie, to zostanie zamieniona na karę więzienia – ogłosił wyrok. – Wyprowadzić!

Znowu ścieżka zdrowia, nyska, więzienie, ścieżka zdrowia, cela. Ledwo przymknąłem oczy, usiłując usnąć – co nie było łatwym zadaniem z dwóch powodów: ciało szarpał ból, a stłoczeni więźniowie bezwiednie jęczeli – gdy klawisze zrobili nam pobudkę około pierwszej w nocy. Zaprowadzono nas po raz drugi tej doby przed kolegium, które pojawiło się w więzieniu na tzw. sesji wyjazdowej. Przyszedł nakaz z Warszawy, by kary grzywny zamieniono na trzy miesiące aresztu.

Na drugi dzień zapakowano nas do „lodówki” i wieziono w straszny upał do Białegostoku przez całą Polskę. Wśród nas był potwornie pobity chłopak, miał granatowe ciało, starał się jak najciszej jęczeć, prawdopodobnie miał złamany obojczyk. Wpadło dwóch zbirów, tam były takie metalowe szafki, wpakowali chłopaka do jednej z nich, napuścili do środka gazu i zatrzasnęli. Było nas kilkudziesięciu i nikt nie mógł mu pomóc. Nie mam pojęcia, czy ten chłopak przeżył. Nigdy go nie zapomnę.

W Warszawie na Rakowieckiej wstawili nam wielki termos z gorącą kawą. Przezornie nie otworzyliśmy go, mimo że omdlewaliśmy z pragnienia, bo gdyby buchnęła para w nagrzanym metalowym pudle, zapewne byśmy się ugotowali. Wreszcie dojechaliśmy do celu.

W Białymstoku już nas nie bili. W osobnych celach siedzieli kryminalni, a osobno polityczne warchoły z Radomia. Czasem dochodziło do spotkania – musieliśmy się po prostu minąć gdzieś na więziennym korytarzu. Wówczas kazano

nam zatrzymywać się i odwracać twarzą do ściany. Zabroniono nam na siebie patrzeć, nie wiem dlaczego.

Pewnego razu wezwano mnie do psychologa. Odniosłem wrażenie, że jego zadaniem było doprowadzanie do załamania psychicznego więźniów. Na przykład straszył mnie, że dostanę przynajmniej 3 lata więzienia, że zostanę przeniesiony do kryminalistów, którzy dadzą mi taki wycisk, że odechce mi się żyć. Taki dołujący przebieg miała ta rozmowa, a właściwie monolog psychologa psychopaty. Na drzwiach wisiała tabliczka z informacją, że jest to gabinet psychologa o takim oto imieniu i nazwisku. Szkoda, że tego nie zapamiętałem. Pomimo jego czarnych przepowiedni zostałem zwolniony po trzech miesiącach. Wróciłem do domu.

Powrót

To był porządny, patriotyczny dom. Dzięki swojemu położeniu na uboczu, daleko od centrum, otoczony sadem i ogrodem mógł być miejscem spotkań przyjaciół ojca z partyzantki. Pamiętam te spotkania, te rozmowy. Mój tata Stefan miał takie powiedzenie: „Synu, masz chodzić aleją Piłsudskiego, nigdy Stalina”. Podczas wojny Niemcy wymordowali rodzinę taty. Miał wówczas 16 lat. Był jedynym, który się uratował. Musiał się ukrywać, poszedł więc w lasy świętokrzyskie, chciał walczyć z Niemcami, szukał partyzantów i trafił do Jana Sołty „Ośki”. Brał udział w takiej głośnej akcji w rozbiciu sztabu niemieckiego w Chwałowicach pod Iłżą. Za tę brawurową akcję odznaczono go Orderem Virtuti Militari.

Moja mama Maria również miała chwalebna przeszłość, bo jako młodziutka dziewczyna została łączniczką w Batalionach Chłopskich, ale rodzice poznali się już po wojnie w Radomskich Zakładach Telefonów. Mój tata był mistrzem i nie mógł sobie pozwolić, by na takim stanowisku pozostać bezpartyjnym, więc żeby mu dali spokój, zapisał się do Stronnictwa Ludowego.

Mam młodszego brata Andrzeja, który ukończył technikum energetyczne. Ja skończyłem szkołę zawodową ze specjalnością tokarza, a później uczęszczałem na kursy techniczne. Po szkole przyjęto mnie do Zakładów Metalowych i tam pracowałem przez trzy lata – od 1972 do 1975 r. Miałem sporo szczęścia, na owe czasy oczywiście, ponieważ wysłano mnie na kontrakt do Niemiec. Co prawda do NRD, czyli wschodnich, ale i tak o wiele lepiej tam płacono aniżeli w Polsce. Nie byłem przesadnie oszczędny, a mama mnie upominała: „Krzysiu, odłóż sobie na wesele, na początek nowego życia, przecież nie zawsze będziesz kawalerem”. Uważam, że na tak młody wiek wykazałem się roztropnością i sprytem, bo sprowadziłem do Radomia trzy motory MZ i je sprzedałem. Oczywiście z zyskiem i dla siebie również taki kupiłem. Gdy wróciłem z kontraktu, przeniósłem się z Zakładów Metalowych do fabryki telefonów. Miałem wówczas 25 lat.

KOR

Po wyjściu z więzienia nawiązałem kontakt z ludźmi KOR-u, a właściwie oni ze mną. Zapytałem, skąd się o mnie dowiedzieli. Okazało się, że Kościół zajmował się zbieraniem

nazwisk i adresów ludzi represjonowanych. Za pierwszym razem otrzymałem pomoc w wysokości 1500 zł. Mimo że zwolnili mnie z pracy, odmówiłem dalszej pomocy materialnej, ponieważ byłem jeszcze kawalerem, a rodzice mogli mnie utrzymać bez specjalnych wyrzeczeń. Wiedziałem, że są ludzie naprawdę w rozpaczliwej sytuacji. Podjąłem się wyszukiwania takich rodzin.

Pięć miesięcy pozostawałem bezrobotny i ci z KOR-u poradzili mi, żebym wystąpił do sądu pracy. I tak zrobiłem. Musieli jakieś pozory zachować, bo przywrócono mnie do pracy, ale z przesunięciem z siódmej na piątą grupę, więc z dużo niższą pensją. Nie otrzymywałem oczywiście żadnych nagród ani premii. Z KOR-em współpracowałem do połowy 1977 r. Przychodzili do mnie do domu i nigdy nie zostali namierzeni właśnie dlatego, że mój dom stał na obrzeżach miasta, otoczony drzewami, miał dwa wyjścia i przy zachowaniu ostrożności świetnie nadawał się do konspiracji.

Przydzielono mi zadanie polegające na rozmowach z kolegami z pracy i przekazywaniu korowcom wiedzy o nastrojach wśród robotników, a że byłem lubiany, nie sprawiało mi to trudności. Większość myślała jak ja: nienawidziła komuny i czekała z utęsknieniem na moment, aż się zawali. Kadra zaś należała do partii. Nie wszyscy jednak wysługiwali się jej. Wśród kierowników, mistrzów, dyrektorów wydziałów zdarzali się również porządni ludzie, którzy po cichu sympatyzowali z opozycjonistami. Najgorsi byli donosiciele. Taili swoje prawdziwe poglądy, udawali przyjaźń, by potem donosić na naiwnych, szczerych kolegów. Te utajnione szuje czerpały z tego profity; nagrody w pracy, prezenty i pieniądze od esbecji.

Spisałem wszystkich szpicli, których udało mi się dyskretnie zdemaskować, i przekazałem KOR-owi. Już na drugi dzień ich nazwiska zostały wyczytane w Radiu Wolna Europa. W zakładzie popłoch. Od donosicieli wszyscy się odsunęli, ludzie zaczęli zważać na to, co mówią. Ale kim jest ten pracownik w Zakładach Telefonicznych działający na szkodę Polski Ludowej? Podejrzanych wytypowano kilku. Ja również zostałem wezwany na esbecję.

– Pan ma jakieś kontakty z KOR-em?

– Nie. Nie wiem, co to jest KOR – udawałem zdziwienie.

– Przychodzą do ludzi i mieszają im w głowach. Są to szpiedzy na usługach Amerykanów i zachodnich imperialistów, i namawiają do zdrady państwa polskiego – zostałem uświadomiony.

– Pierwszy raz słyszę.

– Jakby ktoś z KOR-u pojawił się u pana niby z pomocą albo namawiał do współpracy, niech pan ich nie wygania, umówi się, zgodzi na współpracę. Rozumiemy się?

– Oczywiście.

– Macie nas powiadomić. Możecie iść do domu.

Wzywali mnie jeszcze ze dwadzieścia razy, siedziałem po dwie, trzy godziny na korytarzu, czas traciłem, a gdy wreszcie mnie wezwali, wciąż tę samą śpiewkę im śpiewałem, że jeszcze nikt z KOR-u u mnie nie był, ale gdyby przyszedł, natychmiast ich powiadomię. To trwało około ośmiu miesięcy. Wreszcie dali mi spokój.

Za współpracę z KOR-em zostałem w Warszawie 26 czerwca 2016 r. odznaczony medalem. Pięć lat wcześ-

niej na trzydziestopięciolecie wydarzeń radomskich otrzymałem Krzyż Wolności i Solidarności.

A proszę sobie wyobrazić, że po 40 latach spotkałem działacza KOR-u, który pierwszy pojawił się u mnie w domu, oferując pomoc. Dopiero miesiąc temu dowiedziałem się, że nazywa się Wojciech Samoliński. Los potrafi takie radosne prezenty sprawiać.

Spotkaliśmy się na uroczystości w Resursie u nas w Radomiu z okazji czterdziestolecia powstania KOR-u. I to on mnie poznał, a nie ja jego. Siedzieliśmy za długim stołem i rozmawialiśmy o tamtych czasach. Proszę sobie wyobrazić, że rozpoznał siebie po faktach, które przywołałem w moich wspomnieniach, więc usiedliśmy razem i gadaliśmy do końca spotkania, jak to nasze życie się potoczyło dalej. Pan Wojciech mieszka obecnie w Lublinie i jest współwłaścicielem wydawnictwa. No i oczywiście o polityce też rozmawialiśmy.

Stowarzyszenie Radomski Czerwiec '76

Byłem jednym z jego założycieli.

Mijały lata i Czerwcowych Ludzi zapraszano na różne uroczystości patriotyczne i rozmawialiśmy o naszych czerwcowych sprawach. Stanisława Górkę i Staszka Kowalskiego znałem z sal sądowych, ścieżek zdrowia; ciągnęło nas do czegoś dobrego. Pewnego razu doszliśmy do wniosku, że powinno powstać takie stowarzyszenie, bo do tej pory reprezentowała nas Solidarność, a przecież my zbuntowaliśmy się przeciwko komunie cztery lata wcześniej. Ale nie tylko o to chodziło.

Najważniejszy cel, jaki postawiliśmy przed sobą, to odkłamywanie Czerwca '76. Komunistyczna propaganda tak głęboko wżarła się w powszechną świadomość, jeżeli chodzi o tamte wydarzenia i tamtych ludzi, że musieliśmy podjąć się ciężkiej pracy głoszenia prawdy. A nas chciano zamilczeć, zapomnieć. To odkłamywanie trwa. Nawet się nie spodziewaliśmy, jakie to żmudne zadanie.

Niektórzy z nas od 40 lat są przetrzymywani w stanie niepokoju, oczekując na sprawiedliwość. To znaczy na unieważnienie tych fikcyjnych wyroków sądowych z 1976 r. W tej poczekalni najpierw siedzieliśmy wszyscy. Co kilka lat kogoś wywołują, żeby wreszcie zaczerpnął świeżego powietrza.

Wiele dobrego zostało zrobione na tym naszym poletku przez IPN i uczciwych, prawych dziennikarzy. A nie jest łatwo mówić głośno prawdę. Zna pani takie powiedzenie, że kto trzęsie drzewem prawdy, to spadają mu na głowę obelgi i nawiści. Tak zawsze było. Najbardziej nas cieszy, że młodzież zaczyna się interesować tamtymi wydarzeniami, naszą historią.

Dzieci

Mam trzy córki – Martę, Ewelinę i Kingę. Wszystkie są mężatkami i mieszkają w Warszawie. Dzieci brata również mieszkają w Warszawie. Teraz żona pojechała do córki, żeby wnuczkę się opiekować, bo wnuczkę już odchowiała.

Czy ja lubię swoją żonę? Lubić to można zupełnie pomidorową, a moją żonę Zosię kocham. Bardzo kocham. Pamiętam ten dzień, gdy się poznaliśmy.

Pewnego dnia wybrałem się z mamą na zakupy do domu towarowego „Senior”. Oglądaliśmy na jednym ze stoisk swe-try, gdy podeszła do nas koleżanka mamy z młodą dziewczyną, która jak się okazało, była jej siostrzenicą. Dzień dobry, dzień dobry. Przywitaliśmy się, a ja już tylko patrzyłem na tę dziewczynę. Bardzo mi się podobała.

Nie potrafię odtworzyć, w co była ubrana, ale ubrana była na pewno. I to jesienią, bo kończył się wrzesień. Tak ogólnie widzę jej postać. Nic nie miała na głowie, bo zapamiętałem krótką fryzurę, czarne, kręcone włosy i niebieskie oczy. Ciotka z mamą gdzieś się oddaliły w rejon stoisk z kobiecą odzieżą, a ja zostałem z Zosią.

Zosia przyjechała do Radomia z Białobrzegów, mieszkała na stacji u wujostwa i chodziła do Technikum ZREMB-u, a po ukończeniu nauki podjęła pracę w ZREMB-ie. Tego dnia odpro-wadziłem ją do domu, a później często odwiedzałem. Chodzi-liśmy do kina, do kawiarni, od czasu do czasu na dansing albo po prostu siedziałem u niej w pokoju przy okrągłym stoliku nad szklanką herbaty pod troskliwym okiem wujka i ciotki. Wtedy wszystko było normalne. Nie chodziło się z dziewczyną dziesięć lat, jak teraz, lub co gorsza nie mieszkano razem bez ślubu. W tej chwili coś mi się przypomniało i jak pani taka ciekawska, to pani powiem. Zosia była zgrabną, wysoką dziewczyną i gdy chciałem jej coś ważnego powiedzieć na ucho, nie musiałem za bardzo się schylać. Nie wiem, dlaczego akurat ten szczegół mi się przypomniał. Pokochałem ją, byłem szczęśliwy, że i ona mnie pokochała. Pojechałem do Koźuchowa koło Białobrzegów i poprosiłem rodziców Zosi o jej rękę. W czerwcu 1977 r. wzięliśmy ślub. Żona miała wtedy 24 lata, a ja 25.

Rok po ślubie przysłała na świat pierwsza córka. Dobrze nam się życie ułożyło. Szczęście nie spada z nieba, ono mieszka w nas i przekonałem się, że każdy człowiek posiada dar uszczęśliwiania innych. Każdy posiada, ale są tacy, co przez całe życie tego daru nawet raz nie użyją, więc usycha w nich niczym grochovina na strychu.

Coś ważnego

Oj, jeszcze coś mi się przypomniało. Chciałbym, żeby pani o tym napisała. Że na czterdziestolecie Czerwca prezydent Andrzej Duda wręczył mi Krzyż Kawalerski Orderu Odrodzenia Polski.

BARDZO CHCIELI ZROBIĆ ZE MNIE KAPUSIA

Późna jesień 2016

Pan Marek Siedlecki woła od progu:

– O! Ale pachnie! Czuję leczo.

Widocznie mój gość jest głodny. Nie dziwię się. Podjechał do mnie prosto po skończonej pracy. Jest już ciemno, godzina niby nie późna, ale pora listopadowa.

– Zje pan rybę po grecku? Bo to ryba z mnóstwem warzyw.

– Bardzo proszę. Tyle mieliśmy dzisiaj zleceń, że nie miałem czasu nawet pomyśleć, że jestem głodny. Wracam prosto ze Stalowej Woli.

Ten dzień

Mieliśmy wyruszyć stopem nad morze. Jak ja się cieszyłem na te pierwsze wakacje z kumplami pod namiotem! W domu trzymano mnie krótko, ale w sierpniu miałem skończyć 18 lat i rodzicom jakoś nie wypadało się sprzeciwiać, tym bardziej że postanowiłem sam zarobić na wakacje. Byłem uczniem trzeciej klasy technikum samochodowego. Zajęcia

w szkole skończyły się 20 czerwca, należało tylko zdać egzaminy na prawo jazdy kategorii A, B, C, E. Część teoretyczną zdałem pomyślnie. Pozostała do zaliczenia część praktyczna, czyli jazda pod okiem instruktora – dla mnie i dla kolegów zwykła formalność, bo kochaliśmy samochody i z miłości do nich przyszliśmy do tej szkoły.

Tak się fajnie złożyło, że trafiła mi się możliwość zarobku. Otóż ojciec mojego kolegi Mirosław Pasek budował dom na Gołębiowie i zatrudnił mnie w charakterze pomocnika murarza. Praca ciężka, ale byłem silnym, wysportowanym chłopakiem i nie bałem się wysiłku fizycznego, tym bardziej że wynagrodzenie przewyższało moje oczekiwania; zapowiadało się, że zarobię na superwakacje i jeszcze wystarczy na zakupy przed nowym rokiem szkolnym. W domu się przelewało, jak u większości rodzin w tamtym czasie.

To był piąty dzień wolny od szkolnych zajęć i piąty dzień na budowie, gdy około 15.00 ujrzelśmy dym nad miastem. „Oho, pali się, gdzieś się pali”. Pogapiliśmy się i z powrotem do roboty. Ale jakiś rowerzysta nadjechał od strony miasta, przystanął i zaczął relacjonować, co się dzieje. Wszyscy rzucili się pod prysznice, żeby czym prędzej przebrać się w czyste ubrania, bo każdy chciał lecieć i zobaczyć, jak komuniści robią w portki ze strachu. Majster przytrzymał mnie za fraki.

– Nigdzie nie pójdziesz. Ktoś musi zostać i mi pomagać.

Żałowałem, że padło na mnie. Pracowałem tego dnia aż do godziny 19.30. Przyszedł po mnie mój najlepszy przyjaciel Sylwek Grześkiewicz. Ruszyliśmy w stronę centrum, a im bliżej, tym mocniej gaz szczypał w oczy i co chwila

mijaliśmy zomowców. Spacerowali całymi stadami lub stali w grupach. Nic się nie działo, tylko pejzaż uliczny świadczył o niedawnych zamieszkach. Zorientowaliśmy się, że nie jest bezpiecznie łączyć po ulicach, ale i ja, i Sylwek mieszkaliśmy na głównej ulicy w mieście – Żeromskiego. Idąc ówczesną 1 Maja, obok budynku spalonego komitetu, nie spotkaliśmy ani jednej osoby po cywilnemu. Wreszcie zakręć w Żeromskiego i szybkim krokiem w dół, żeby w końcu schronić się w domu.

Przed gmachem prezydium stała duża grupa zomowców. Nie mogliśmy ich ominąć, bo taki manewr wyglądałby podejrzanie. Idziemy więc spokojnie, ale muszę się przyznać, że włosy jeżyły mi się na głowie. Nagle jeden z zomowców woła do nas, byśmy się zatrzymali. Podeszliśmy. Najpierw zrewidował Sylwka; kazał mu wywrócić kieszenie, pokazać ręce. Później się dowiedziałem, że zatrzymywali każdego, kto miał brudne. Sylwkowi kazał iść, a zajął się mną.

– Wywiń kieszenie. – Tak zrobiłem, a ręce uniosłem do góry i splotłem za głowę. Nie spodobał mu się ten gest.

– Co ty, za gestapowca mnie uważasz?

– Nie, po prostu chcę pomóc w rewizji. Żeby panu ułatwić – odparłem tonem, wydawało mi się, że najbardziej uprzejmym, jaki zdołałem z siebie wydobyć.

– Jeszcze pyskujesz, gnoju jeden?! – wrzasnął coraz bardziej rozwścieczony.

Drugi zomowiec, który stał obok, pod pachą trzymał hełm, musiał go zdjąć, bo upał nie odpuszczał, a nawet jakby się wzmacniał, nagrzone mury miasta zaczęły oddawać cie-

pło. I nagle tym hełmem z całej siły uderzył mnie w twarz. Straciłem przytomność. Przy upadku odpiął mi się zegarek i poleciał kilka metrów dalej. Gdyby zatrzymali mnie tylko ci dwaj, na pewno by go ukradli, bo to był naprawdę fajny zegarek, nowość elektroniczna, podświetlany i w ogóle cudo w tamtych czasach. No, ale ponieważ była ich cała chmara, to mi go oddali. Chwycili mnie pod ramiona i poprowadzili na komendę przy ul. Kilińskiego.

Za drzwiami czekała ścieżka zdrowia. Kto wchodził, dostawał oklep. Cały hall, korytarze, pokoje przesłuchań były wypełnione zakrwawionymi ludźmi. Już na ulicach Radomia czułem strach, gdy mijałem setki funkcjonariuszy, a teraz miałem wrażenie, że mam jakiś koszmarny sen i zaraz mama powie: „Mareczku, wstawaj, czas do szkoły”. I gdyby mnie obudziła, natychmiast bym się zerwał, a nie jak zwykle mruczał „mamo, jeszcze pięć minut”. W kuchni na stole przykrytym ceratą w beżowo-brązową kratę czekałyby na mnie kanapki z pasztetową i kubek zbożowej kawy z mlekiem. Strach i szok przytłumiły głód, ale przecież nic nie jadłem od drugiej po południu. Kazali mi uklęknąć twarzą do ściany, ktoś do mnie podszedł i obcinał, a właściwie wyrzynał scyzorykiem włosy. Miałem długie włosy, ale elegancko przycięte, bo wybrałem się do fryzjera z myślą o wyjeździe i teraz jakiś sadysta niszczył mi fryzurę.

Ktoś mnie wepchnął do dużego pokoju, gdzie za biurkiem siedziało dwóch funkcjonariuszy, a na podłodze poukładano mnóstwo towaru: skrzynki z wódką, kartony papierosów, odkurzacze, płaszcze, kurtki, sokowirówki. Przez szeroko otwarte drzwi widziałem następne pomieszczenie, gdzie na

stołach leżały bułki oraz kielbasa pokrojona na duże kawałki i stały butelki z wódką. Tam wchodziłi zomowcy, wypijali szklankę wódki, brali bułkę i kielbasę w rękę i wracali do swoich obowiązków. Przewinięło się ich kilkunastu podczas mojego przesłuchania.

– Wybierz sobie coś – odezwał się młodszy z milicjantów, pokazując na różne przedmioty zgromadzone w pokoju.

– Nie chcę. Po co? – broniłem się, bo czułem instynktownie, że to jakaś pułapka.

– Bierz, jak dają, głupku. Rozejrzyj się. Może w domu coś się przyda – nalegał.

– Nie chcę. Dziękuję bardzo.

Trwało to jakiś czas i wreszcie dali mi spokój. Później się okazało, że tych, którzy schylili się po jakieś urządzenie lub coś z ubrania, fotografowano i spisywano w protokole, że dana rzecz została ukradziona przez zatrzymanego. Wyrzucono mnie na korytarz i nie wiem, jak długo czekałem, bo pochłonięty byłem jedną myślą – w jaki sposób i w którym momencie uciec. Mieszkalem w samym centrum, kilkadziesiąt metrów od budynku, w którym mnie przetrzymywano, znałem tu każde przejście, każdą komórkę, dziurę w murze i załom każdego dachu. Animuszu dodawały mi swobodne ręce, ponieważ zabrakło kajdanek dla takiej liczby zatrzymanych. Ponownie mnie wezwano, ale do innego pokoju.

– Nazwisko.

– Stefan Siulala – podałem zmyślone dane bez mrugnięcia oka.

Wyprowadzono mnie na zewnątrz do oczekującej nyski, która miała mnie zawieźć do więzienia. W tym momen-

cie się wyrwałem i pobiegłem w stronę zabudowań szkoły odzieżowej, gdzie od dziecka bawiłem się z chłopakami w podchody. Ucieczka na pewno by się powiodła, gdyby mnie gonili ci, którym się wyrwałem, ale zomowców było więcej niż drzew w lesie. Po prostu wszędzie dookoła. No i wpadłem w ich łapy. Ten dzień był poligonem ćwiczebnym dla oddziałów ZOMO. Musieli je ściągnąć z całej Polski. Zamknięci w koszarach, przechodzili rutynowe ćwiczenia, a tu mogli się wyżyć, poszaleć. Zaprowadzili mnie w jednym bucie z powrotem na komendę. Tak mnie bili, że połamali mi żebra. Byłem jednym okropnym bólem. Bił mnie i przesłuchiwał Edward Hebda. Straszny człowiek.

Wiem jak się nazywa, ponieważ rozpoznałem go po latach na fotografii – takiej małej jak do paszportu. W IPN-ie rozsypano na stole tych fotografii około 300 i ja tak przez chwilę ogarnąłem wzrokiem te twarze, chciałoby się nazwać je inaczej, ale nie będę się wyrażał, i od razu palcem w tego Hebdę, zomowca z Kielc.

– To on.

Zaskoczyłem pana prokuratora z IPN-u moją dobrą pamięcią.

– Na pewno?

– Nigdy tej twarzy nie zapomnę.

– O, jeszcze tu jest.

Spostrzegłem fotografię tego samego człowieka wykonaną po wielu latach, postarzałego mocno, odznaczonego jak się okazało i nagrodzonego za Radom. Oczywiście awansował.

Wracam do 25 czerwca.

Ten Hebda zeznał, że mnie widział o godzinie 16.00 w parku Kościuszki, w pobliżu muszli koncertowej, jak rzucałem kamieniami w okna urzędu miejskiego.

To jest spora odległość i niemożliwe, żeby dorzucić kamieniem, ale facet przyjechał z Kielc, nie znał miasta. Powiedział, co mu się o uszy obilo. Realia dla tych ludzi nie były istotne, drwili sobie ze schwytanych ofiar. Mieli poczucie absolutnej bezkarności. W ich mózgdżkach nie mieścił się nawet cień przypuszczenia, że kiedyś może się system polityczny zmienić, że kiedyś mogą odpowiadać za swoje czyny. A inna sprawa, że zabezpieczyli się przed taką ewentualnością.

Zomowiec z Kielc złożył zeznania i kazano mi się pod nimi podpisać. Odmówiłem, więc znowu bicie. Sam się dziwię, skąd we mnie wzięło się tyle determinacji i siły, że nie potrafili złamać młodego, przestraszonego chłopaka. Nie wiedziałem, że mam taki charakter. Widząc, że nie ma sposobu, bym podpisał ten protokół, zwrócili się do drugiego zomowca, który jakoby widział mnie rzucającego kamieniami w gmach urzędu. Po latach w IPN-ie zobaczyłem ten protokół i jakież było moje zdumienie, że pod nim widniał mój podrobiony podpis. Na wniosek sądu wysłano ten dokument do grafologa w Warszawie i on potwierdził, że ten podpis został sfalszowany. Ale to działo się w 2006 r.

A tamten dzień trwał przez całą noc, aż do świtu.

Dopiero po północy przewieziono mnie wraz z 20, może 30 osobami do więzienia na Malczewskiego, które mieściło się w budynkach poklasztornych. Ścieżka zdrowia nie spała. Wzdłuż wąskich i krętych korytarzy stali zomowcy z pała-

mi. Bili bez litości. Biorąc zamach, często lali się nawzajem. Młockarnia. Wepchnięto mnie do celi przeznaczonej dla 12 więźniów, a upchali 30. Wszyscy ranni, ze złamaniami kończynami, ułożeni pokodem na podłodze, ściśnięci jak zwierzęta przeznaczone na rzeź. Jeden jęk.

Więzienie

Na drugi dzień odbyła się w sądzie moja sprawa. Działo się to wszystko w błyskawicznym tempie. Mnóstwo osób zgromadzono w sali zwanej sieczkarnią. Wywoływano kolejne nazwiska oskarżonych i pod eskortą wyprowadzano delikwenta na salę rozpraw. A tam odczytywano wyrok i następny. Dostałem karę trzech miesięcy więzienia i grzywnę. Pamiętam pytanie sędziny, która usiłowała zażartować z mojego wyglądu.

– A gdzie znajduje się salon fryzjerski, gdzie tak pięknie strzygą?

Popatrzyłem na nią z politowaniem. Tak mi się wydawało.

Wywieźli mnie do więzienia w Białymstoku. Kopernika 21. Nie wiem, dlaczego zapamiętałem ten adres. Po prostu jest on wypisany w mojej głowie i nie potrafię go stamtąd wyrzucić. Miałem spuchniętą dłoń, nie mogłem ruszyć palcami, prawdopodobnie były połamane, więc zaprowadzono mnie do jakiegoś felczera, bo chyba nie lekarza. Zapamiętałem jego słowa: „Samo się zrobiło, samo się zagoi”. I ani prześwietlenia, ani opatrunku.

Tu chociaż nie bili. W celach siedziało nas po kilku, a przestrzeni i powietrza mieliśmy o wiele więcej niż

w Radomiu. Każdy miał swoje łóżko z siennikiem. Było dosyć czysto, dostawaliśmy całkiem niezłe jedzenie. Prawdopodobnie jako nieletniemu należały mi się większe porcje. Dało się wytrzymać, bo współwięźniowie byli sympatycznymi ludźmi. Dużo rozmawialiśmy o życiu, polityce, to znaczy oni mówili, a ja słuchałem, bo nie bardzo miałem pojęcie o poważnych sprawach tego świata.

Wśród warchołów byli i tacy, którzy owszem siedzieli za Radom, ale to były stare więzienne wygi. Niektórzy przesiadzieli za sprawy kryminalne łącznie 25 lat. Jeden z nich, który przez przypadek zaplątał się w wydarzenia radomskie, znał na pamięć cały kodeks karny i dywagował, jaki ostatecznie dostanę wyrok za wyimaginowane przestępstwa.

– Myślę, że 8 lat. Nie przejmuj się, to górna możliwość. Raczej przyłożą ci sześć ze względu na niepełnoletność i niekaralność. Nie martw się, to nie jest dużo, młody jesteś, zleci. W więzieniu czas też płynie.

A kiedy widział, że zmartwiłem się perspektywą tak długiej odsiadki, pocieszał mnie.

– Mareczku, co się łamiesz! Całkiem możliwe, że dadzą ci 4 lata, a potem za dobre sprawowanie wyjdiesz po trzech. Co to jest 3 lata wobec całego życia?

Najpierw załamałem się, ale później przywykłem do tej myśli. W więzieniu wcale nie było tak źle. Poznałem fajnych ludzi, przysłuchiwałem się ciekawym opowieściom, snułem własne plany. Przecież mogłem zająć się czymś pożytecznym, na przykład nauką języków obcych. Marzyłem o dobrym opanowaniu angielskiego, podróżach, a szczególnie o Ameryce. Na wolności człowiek nigdy nie ma czasu, zawsze jest coś

pilniejszego do roboty; spotkania z przyjaciółmi, z dziewczynami, odrabianie lekcji. A tu mnóstwo wolnego czasu, który można było poświęcić na naukę, na czytanie książek.

Mecenas

Pewnego sierpniowego dnia zapakowano nas do „łodówki” i powieziono do Radomia. Panował upał nie mniejszy niż w czerwcu. Drzwi od „łodówki” pozostawiono uchylone, a klawisze siedzieli na zewnątrz. Każdy z nas miał tę samą nadzieję, że nas wypuszczą. Przywiozą, skąd zabrali, i puszcza wolno. Niestety. Na miejscu okazało się, że ja należę do tych, którzy będą mieli jeszcze jedną nową sprawę w sądzie, no i nowy wyrok. Zostałem oskarżony o poważne przestępstwo – pobicie milicjanta. Ponieważ starzy więźniowie w Białymstoku oswoili mnie z tą myślą, marzyłem o jednym – żebym nie dostał więcej niż 4 lata. Wówczas te 4 lata wydawały mi się całkiem możliwe do wytrzymania, a nawet dające możliwość pożytecznego wykorzystania więziennego czasu.

– Zapamiętasz te urodziny na całe życie – odezwał się lekko siwawy funkcjonariusz, który pobierał ode mnie odcisk linii papilarnych, a przed chwilą przeglądał moją teczkę z dokumentami. Spojrzałem na niego zdziwiony. On też był zdziwiony, że nie wiem, o czym mówi.

– Przecież urodziłeś się 17 sierpnia – powiedział.

Taki był mój pierwszy krok w dorosłe życie. Ani ja, ani nikt z bliskich nie pamiętał, że są moje urodziny. Zbyt mocno przejmował nas lęk o mój dalszy los. Gdy słyszę teraz, że

ktoś obchodzi hucznie osiemnastkę wraz z rodziną, przyjaciółmi, zawsze staje mi przed oczyma dzień moich osiemnastych urodzin.

W kajdankach zaprowadzono mnie do „sieczkarni” – dużego pokoju, gdzie oskarżeni czekali, aż zostaną wezwani na salę rozpraw. Przywitał mnie tata i młodsza siostra Ania. Przynieśli mi czyste ubranie, żebym przyzwoicie wyglądał na sprawie. Pamiętam jasnoróżową koszulę w drobny wzorek, kakaowe spodnie i prawie nowe buty. Pamiętam, że siostra miała na sobie kolorową sukienkę w kwiaty i krótko obcięte włosy. Cieszyłem się, że tata pojawił się w sądzie, że mnie uściskał, że był ze mną, po mojej stronie. Mocno przeżyłem jego obecność, ponieważ był prawym człowiekiem, ale surowym, wymagającym ojcem i budził we mnie wielki respekt i obawę, czy go nie zawiodłem. Ale gdzie mama? Mieliśmy czas na dwa słowa, nie pozwolono nam na dłuższą rozmowę. Rozglądałem się po sali sądowej podczas rozprawy, niestety, nigdzie jej nie widziałem. Dopiero później dowiedziałem się, że siedziała w tym czasie w więzieniu. Nie, nie brała udziału w proteście, nie uczestniczyła w manifestacji. Moja mama nie pracowała, prowadziła dom, jak wiele kobiet w tamtym czasie. Nie wyszła też na ulicę ze zwykłej ciekawości. Po prostu doniosła na nią sąsiadka, że widziała ją pod komitetem i słyszała jak wykrzykiwała hasła antypartyjne i antypaństwowe. Są i tacy ludzie. Musiała mieć w sobie dużo żółci, jakąś zadawnioną złość na mamę.

W pewnej chwili do „sieczkarni” wszedł postawny mężczyzna w todze i podszedł do mnie, bym mu podpisał pełnomocnictwo. Nie miałem pojęcia, kim jest.

– Będę pana obrońcą – oznajmił. Spojrzałem na tatę, skinął głową. Złożyłem podpis.

– Niech się pan nie martwi, jutro pan będzie w domu – powiedział mecenas i dotknął dłonią mojego ramienia.

Akurat, będę w domu, w duchu wzruszyłem ramionami. Po prostu wygłosił taką nic nieznaczącą formułkę. Miałem już, pożał się Boże, adwokata z urzędu na poprzedniej sprawie. Odstawił parodię obrony. Nic go nie obchodziło, co ja robiłem tamtego dnia, gdzie byłem i o której. Ktoś mi powiedział, że jego syn został zatrzymany i szybko wypuszczony. Więc ten, pożał się Boże, adwokat musiał wykazać się superlojalnością. Sam dużo lepiej bym się bronił.

Moja sprawa na szczęście odbyła się pierwsza i gdy mój adwokat rozpoczął przemowę, na sali wszystkich zamurowało. Od pierwszych słów wszyscy obecni odczuli, że przemawia wielki człowiek, wielki umysł i szlachetna dusza. Później się dowiedziałem, że miałem niebywałe szczęście. Moim obrońcą była postać, która przeszła do historii – mecenas Władysław Siła-Nowicki. Później przeczytałem jego biografię. Niesamowity życiorys. Wie pani, że dostał wyrok śmierci i czekał w więzieniu wiele lat na jego wykonanie?

Tę przemowę nagrał potajemnie Mirek Chojewski. Ona musi gdzieś być, prawdopodobnie w IPN-ie.

Ja dużo zapamiętałem z tej wspaniałej przemowy, mam wrażenie, że mi się nagrała na zwojach mózgowych. Mecenas zwrócił się do sądu i mówił spokojnym, donośnym i pewnym głosem:

– Zaszło, wysoki sędzie, jakieś nieporozumienie, bo nigdzie na świecie nie jest możliwe, by człowieka karać

dwa razy za ten sam czyn. Marek Siedlecki dostał wyrok. Nie wnioskuję, czy sprawiedliwy, czy nie, czy jest winien, czy nie, po prostu ogłoszony wyrok odsiedział i należy go natychmiast wypuścić na wolność.

Następnie przesłuchano trzech moich świadków: mistrza murarskiego, z którym pracowałem przez cały dzień, to znaczy od rana do godziny 19.30, mojego kolegę Sylwka oraz jego ojca. Nie mogłem więc być w parku o godzinie 16.00, jak twierdził plut. Hebda, który był świadkiem oskarżenia.

– To on za składanie fałszywych zeznań powinien zostać ukarany – powiedział pan mecenas. – Ja dzisiaj – ciągnął – zrobiłem wizję lokalną i przespacerowałem się do parku imienia Kościuszki pod muszlę koncertową i jestem przekonany, że gdyby pan Marek dorzucił stamtąd kamieniem do budynku Urzędu Wojewódzkiego oznaczałoby to, że obdarzony został wielkim talentem sportowym i na pewno zdobyłby złoty medal na olimpiadzie w rzucie dyskiem, młotem lub oszczepem. Zwracam się do wysokiego sądu, by zechciał powołać biegłego w tej sprawie, ponieważ wszyscy świadkowie zeznający pod przysięgą powinni zostać ukarani.

Poblady sędzia ogłosił przerwę i opuścił salę z błędnym wzrokiem. Okazało się, że udał się do prezesa sądu, bo nie wiedział, co ma zrobić, a mnie skutego zaprowadzono do „sieczkarni” pod dozorem dwóch klawiszzy. Po kilkunastu minutach wznowiono rozprawę, ale ku zaskoczeniu wszystkich, sędzia już nie prowadził dalej przewodu sądowego – po prostu odczytał wyrok z kartki. Usłyszałem 4 lata i ucieszyłem się, że tylko cztery, nie więcej, jak prorokował

mój starszy kolega z celi w Białymstoku. I nagle słyszę coś niesłychanego, że wyrok jest w zawieszeniu. Z niedowierzaniem patrzę na tatę, a on się uśmiecha, więc składam sobie słowa sędziego w logiczne zdanie. Sąd w imieniu Polskiej Rzeczypospolitej Ludowej na podstawie jakiegoś tam paragrafu ogłosił wyrok 2 lat więzienia w zawieszeniu na 4 lata. Wreszcie pojmuję, że te 4 lata są w zawieszeniu, że jestem wolny.

Zdjęto mi kajdanki. Niestety, nie mogłem tego dnia wrócić do domu, ponieważ w więzieniu musiałem oddać w administracji moje rzeczy z celi. Najważniejsze, że mnie już nie bili i nie wyzywali, a nawet zwracali się do mnie na „pan”.

Pamiętam radość współwięźniów, gdy im powiedziałem o wyroku, bo ich sprawy miały się odbyć jutro lub najdalej za kilka dni i mieli nadzieję, że oni również zostaną wypuszczeni. Klaskali, podrzucali mnie do góry, a ja śmiałem się i jęczałem, bo plecy jeszcze bardzo mnie bolały. Oczywiście po mocnych przeżyciach minionego dnia nie zmrużyłem oka do świtu. Wreszcie zdałem swoje rzeczy: koc, łyżkę, miskę.

Gdy uradowany wyszedłem na ulicę, z taką siłą lunął na mnie słoneczny blask, że aż mnie mocno zabolalo i się zachwiałem. Przeszedłem kilkanaście metrów od drzwi więzienia i nogi nie chciały mnie dalej nieść.

Pamiętam, że wsparłem się o parapet witryny księgarni przy ul. Żeromskiego, żeby zebrać siły, by dowlec się do domu, do kamienicy, którą już widziałem. Ta księgarnia naprzeciwko pl. 3 Maja istnieje do tej pory i ilekroć tamtędy przechodzę, widzę tego chłopaka z dziwną fryzurą, który skończył właśnie 18 lat i jeden dzień.

Powrót

Myślałem, że nastąpił kres moich przeżyć z machiną systemu komunistycznego. Szybko się okazało, jaki jestem naiwny. Gdy po kilku dniach nabrałem sił, udałem się do mojej szkoły na rozmowę z dyrektorem. To była połowa października. Sekretarka zaanonsowała mnie i z uśmiechem powiedziała, że pan dyrektor czeka. Wszedłem.

– Dzień dobry – powiedziałem i ukloniłem się grzecznie.

Zrobiłem trzy kroki i zatrzymałem się onieśmielony przed perskim dywanem. Za wielkim biurkiem pod oknem siedział z poważną miną dyrektor Lichwierowicz i patrzył na mnie w milczeniu. I surowo. Nie przejąłem się jednak, bo nigdy nie widziałem, żeby się uśmiechał. Zaprowadził żelazną dyscyplinę w szkole, muszę dodać, że w męskiej szkole, zresztą ku zadowoleniu rodziców. Na codziennych apelach przed pierwszym dzwonkiem sprawdzał tarcze, włosy, oczywiście czy nie za długie, bo wtedy panowała moda na „bitelsa”, odzież. Ktoś w bordowym pulowerku wylatywał ze szkoły. Musiał się przebrać, żeby wyglądać przyzwoicie, jak porządny uczeń w porządnej szkole. Każdy wiedział, że jest oddanym towarzyszem z krwi i kości, nie obawiałem się go jednak, bo czułem, że dobro uczniów jest dla niego najważniejsze.

– Panie dyrektorze, mam świadectwo ukończenia trzeciej klasy, dobre świadectwo i chciałbym prosić o wpisanie mnie na listę uczniów czwartej klasy. Postaram się szybko nadrobić zaległości w nauce. I chciałbym też zdać zaległe egzaminy kategorii A, B, C i E – szybko wyrzuciłem z siebie tekst, który ułożyłem sobie poprzedniego dnia i powta-

rzałem, idąc do szkoły. Odetchnąłem, gdy powiedziałem, z czym przychodzę.

– Pan tu nie ma czego szukać. Polska Ludowa nie będzie kształcić warcholów! – Oślupiały nie mogłem się ruszyć. Jakby buty przysały mi się do parkietu. – Won! – ryknął i palcem wskazał mi drzwi. – Won!!!

Półprzytomny opuściłem szkołę. Miałem wrażenie, że za mną pękają i walą się mury z czerwonej cegły.

Żadnego dokumentu, który pomógłby mi w życiu, nie otrzymałem z tej szkoły. Myślę o zaświadczeniach, że zrobiłem prawo jazdy wszystkich kategorii. Miałem tylko świadectwo trzeciej klasy, bo otrzymałem je 20 czerwca. Musiałem odnaleźć się w nowej, przykłej sytuacji. Po kilku dniach okazało się też, że i bardzo trudnej, bo esbecja o mnie nie zapomniała. Co dwa, trzy tygodnie listonosz przynosił mi wezwania na komendę. Dobrze, że moja mama zawsze mi towarzyszyła. Ja wchodziłem na pierwsze piętro, a ona czekała na mnie na dole. To łagodziło lęk, że kiedyś tam wejdę i słuch o mnie zaginie. Znałem wiele takich przypadków. „Był i sobie poszedł. Może gdzieś wyjechał? Na przykład do innego miasta?”

Po raz drugi zacząłem uczęszczać na kurs prawa jazdy na samochodach ciężarowych, oczywiście za pieniądze rodziców. Musiałem zdobyć jakiś zawód. Wstydziłem się bezczynnego siedzenia w domu.

Ciężka praca esbeków

Esbecy wciąż mnie wzywali i po okresie plugawym, kiedy wypytywano mnie o niebezpieczne kontakty z wrogami

ustroju, przeklinano i straszono – nastąpił okres żmijowy. Zmienili się funkcjonariusze, którzy posługiwali się zupełnie innym językiem niż ci prymitywni żule. Było ich dwóch i na zmianę mnie urabiali.

– My wiemy, że miałeś pecha, że jesteś niewinny. Po prostu taka była konieczność dziejowa, łapało się wszystkich, żeby ogarnąć bunt. Wiesz do czego mogłoby dojść? Po prostu zapobiegliśmy wojnie domowej, rozlewowi krwi. Wiemy, że znalazłeś się w fatalnym położeniu. Chcielibyśmy ci pomóc. Masz dobrą opinię w szkole, zdolny, dobry uczeń, inteligentny. Szkoda, żebyś zmarnował sobie życie przez jeden incydent. Powinieneś skończyć szkołę, studia – perswadowali łagodnie, uśmiechając się życzliwie, jak dobrzy wujkowie.

Wiedziałem, że za tym uśmiechem czai się podstęp. Odgradzałem się milczeniem, które męczyło esbeków, tak samo jak mnie ich gładzenie. W środku człowiek robił się uparty i przygnębiony, a z wierzchu musiałem wyglądać na otępiałego i wykończonego. Wreszcie pozwalali mi opuścić komendę. I do następnego wezwania.

Tata kiedyś mnie zagadnął, czy mnie namawiają na współpracę i żebym nie pozwolił się wciągnąć.

– Co też tata! – czułem się dotknięty tym ostrzeżeniem.

– Synu, to są wygi szkolone w Moskwie, mają swoje sposoby.

– Na mnie nie znajdą sposobu – zapewniałem hardo.

– Uważaj, synku.

A esbecy wciąż nade mną pracowali.

– Mamy możliwości, chcielibyśmy otoczyć cię opieką.

Sam widzisz, że pochrzaniło ci się życie, mogłeś być kimś, a teraz twoja przyszłość zapowiada się nędznie. Oczywiście wiemy, że nie jesteś naiwniakiem, że my tak bezinteresownie, ale nie myśl, że chcemy, żebyś został donosicielem na ludzi, którzy tam coś chlapnęli na nasz ustrój albo kawał polityczny opowiedzieli. Nie, nic z tych rzeczy. Mamy dla ciebie delikatniejszą propozycję. Porozmawiajmy szczerze. Słyszałeś, że przestępczość wzrasta, prawda? Kradną, napadają, gwałcą. Lubisz takich?

– No nie – odparłem, bo co miałem powiedzieć.

– Więc jak byś usłyszał o kimś takim, bo przecież ci przestępcy mieszkają wśród nas, a ludzie wiedzą, kto kim jest. I zanim zrobią znowu coś złego, mógłbyś nam szepnąć. Chodzi o zwykłą pomoc.

Zapewniałem, że nie znam takich typków.

– U mnie w kamienicy sami porządni mieszkają i moi koledzy pochodzą z porządných rodzin. Po knajpach nie chodzę, nie piję, nie palę, naprawdę nikogo nie znam i nawet gdybym chciał się czegoś dowiedzieć, to jestem tam obcy, nikt mi nie zaufa.

– Ależ zaufa, zaufa. Jakbyś się tak pokręcił, zajrzał do „Stylowej”, do „Europy”, to w tym wieku raz dwa nowe znajomości nawiądziesz. Dostałbyś mały fundusz na schabowego z coca-colą. Nie chcesz takiego fajnego życia?

Ręce mi drżały, ale patrząc im w oczy, stanowczo odmawiałem współpracy.

– Nie możecie na mnie liczyć. Nie ma mowy.

– Ty, ty, nie bądź taki chojrak, bo może ci się coś przykrego przydarzyć – wycedził starszy z esbeków, o ciem-

nych, falujących włosach zaczesanych do tyłu. Miał dużo krawatów. Za każdym razem nosił inny i ja w ten krawat się gapilem.

– Mama na mnie czeka na dole – powiedziałem.

– To spierdalaj do mamy, maminsynku.

Zmienili metodę nękania. We dwóch chodzili za mną i wcale się z tym nie kryli. Nawet nie dali mi satysfakcji, bym ich zwodził, znikał w przejściowych bramach. W tym byłbym dobry i miałbym jakąś satysfakcję. Niestety. Zachowywali się dziwnie. Ja na zakupy, a oni tuż obok. Idę z kolegą na mecz na Radomiaka, oni ze mną. My się odwracamy, przystajemy, oni również i się śmieją. Pewnego razu wracałem z mamą z zakupami. Wchodzimy do bramy, do klatki, na schody, a na pierwszym piętrze na parapecie siedzi znajomy esbek, szczerzy zęby i macha nogami. Idziemy wyżej, bo mieszkaliśmy na drugim piętrze, a z góry schodzi drugi i mijając nas, mówi „dzień dobry”.

Znowu zostałem wezwany. Straszyla, że rozpuszczą plotkę, że jestem kapusiem i będę spalony w swoim środowisku. W ogóle się nie odzywałem.

– No, panie Mareczku, jaka decyzja? Zdecydowałeś się nam pomóc?

– Odmawiam wszelkiej pomocy – odpowiadam spokojnie.

Już nie byli tacy uprzejmi. Posypały się ciężkie wulgaryzmy na „ch”, „s”, „k”. Nie ma sensu ich powtarzać. Przeklinali gorzej niż najgorsi menele, a przecież byli to oficerowie wywiadu, a nie jakieś prymitywne zupaki. Zajrzał jakiś nowy, pułkownik, oczywiście po cywilnemu, ale ktoś

zwrócił się do niego właśnie „panie pułkowniku”. Ci dwaj wyszli do drugiego pokoju, a on zmienił ich za biurkiem. Trzymał przed sobą tekturową teczką, na której wykalgrowano moje nazwisko oraz imię. Otworzył ją, podniósł na wysokość oczu i niby czytając jakieś papiery, w prymitywny sposób chciał mnie nastraszyć.

– Patrzcie, co ja tu mam na niego. O, ja cię kręcę. O, ja chromolę! Może za to dostać i 10 lat. W życiu bym gnojka nie podejrzewał. – Położył zamkniętą teczkę na biurku i przechylił się w moją stronę. – Ty ch... i ty jeszcze nam podskakujesz? Zaraz na dołek pójdziesz, jak nie podpiszesz.

– Mama na mnie czeka – powtarzam swoją kwestię.

– Na 48 godzin zawsze możemy cię przymknąć. Nawet mama, gnojku, ci nie pomoże. Wybieraj: na dołek albo podpisuj. Podpisz, bo na ostatnich nerwach jadę. – Podsunął mi czystą kartkę.

Nawet jej nie dotknąłem, ale bałem się bardzo. Zdawałem sobie sprawę, że oni mogą zrobić ze mną wszystko.

– Nie podpiszę.

Długo tam siedziałem, naprawdę byłem wykończony, wiedziałem, że mogą zakończyć moją udrękę, ale miałem też jasne przeświadczenie, że nie ma takiej siły, na moją siłę, którą w sobie odkryłem, która by mnie zmusiła do złożenia cyrografu.

Przed chwilą załamania ostrzegała mnie wysłanniczka z KOR-u, blondynka, niewysoka, o delikatnych rysach. Wydaje mi się, że miała na imię Joanna. Słabsi się załamywali. Na przykład taki Leopold Gierek, w skrócie Poldek. Siedziałem z nim w jednej celi, on był trochę ode mnie starszy i po prostu trząsł się ze strachu. Radził się, czy przyznać się

do pierwszego nazwiska w kraju, zastanawiał się, czy sobie pomoże, czy zaszkodzi. Starsi więźniowie podpowiedzieli mu, że nie tylko ma ujawnić swoje prawdziwe nazwisko, ale jeszcze skłamać, że jest kuzynem pierwszego sekretarza. Przecież i tak go sprawdzą, po co kręcić.

Później spotykałem go wiele razy, po prostu wpadaliśmy na siebie, przecież mieszkaliśmy na głównej ulicy w mieście i tu wszyscy się spotykali. Był bardzo miły, chciał się ze mną kolegować, a mnie coś od niego odpychało. Nie patrzył mi w oczy, nie dlatego, że miał zezę, bo miał, ale sprawiał wrażenie zakłopotanego, jakby wystraszonego. No nie wiem. Widocznie to były początki jego kariery donosicielskiej i jeszcze nie otrząsał się z tą robotą. Wcale się nie zdziwiłem, gdy po jakimś czasie dziewczyny z KOR-u, bo z dwiema miałem kontakt, ostrzegały mnie przed Poldkiem. Po latach okazało się, że był TW o pseudonimie „Aster”.

Przy okazji przeglądania moich akt w IPN-ie dowiedziałem się, że został on pozyskany do sprawy pod kryptonimem „Maniacy” prowadzonej przez porucznika Stanisława Wolskiego. Tak został scharakteryzowany mój niedoszły kumpel:

TW „Aster” wykazał pozytywny stosunek do SB i zrozumienie jej potrzeb, właściwą postawę ideowo-polityczną oraz duże zaangażowanie do współpracy. Otrzymane zadania wykonuje sumiennie i z całą odpowiedzialnością, przekazując informacje prawdziwe i szczegółowe. [...] Posiada pełne predyspozycje na TW do realizacji trudnych zadań.

Te zadania polegały na przekazywaniu informacji o nastrojach i działaniach osób represjonowanych, a szczególnie o ich kontaktach z przedstawicielami KOR-u. Ci tajni współpracownicy – a było ich niestety mnóstwo – nie wzbudzali podejrzeń właśnie dlatego, że sami wcześniej byli represjonowani i szybko zdobywali zaufanie wysłanników KOR-u.

O sobie znalazłem takie notatki:

Siedlecki Marek: inteligentny mimo młodego wieku, posiada umiejętność interpretowania sytuacji ekonomicznej kraju.

Wynik rozpracowywania; Figurant [tak nazywano osoby inwigilowane] kontaktuje się z grupą „Gracze”. [„Gracze” – kryptonim operacyjny rozpracowywania członków i sympatyków KOR-u]. Figurant uzyskał pomoc prawną. Podpisał skargę do prokuratora generalnego odnośnie [do] działań sił porządkowych na terenie Radomia w dniu 25 czerwca [19]76 r.

Przeprowadzić ponowną rozmowę z dyrektorem Zakładów Naprawy Samochodów odnośnie [do] Marka Siedleckiego, który angażuje się w prowadzenie szkodliwej działalności. Wykorzystać TW „Aster”.

A więc podchodzono mnie z dwóch stron. Nie mam pojęcia, dlaczego tak im pasowałem na TW. Byłem u kresu wytrzymałości psychicznej i mimo że trochę mi było głupio skarżyć się kobiecie, opowiedziałem dziewczynie z KOR-u, jak jestem szykanowany przez aparat bezpieczeństwa. Wkrótce otrzymałem pieniądze na bilet do Warszawy,

ponieważ skontaktowała się z mecenasem Siłą-Nowickim, a on zaprosił mnie do siebie na rozmowę.

Pojechałem. Ulica Wilcza, przedwojenna kamienica, duże mieszkanie, z obrazami w złotych ramach na każdej ścianie, stare, piękne meble. Poznałem wówczas żonę pana mecenasa. Dystygowana pani pisała na maszynie, a pan mecenas dyktował pismo do prokuratora generalnego, w którym stało, że jestem prześladowany przez SB i zmuszany do współpracy.

Po kilku dniach dostałem wezwanie na komendę milicji. W sercu miałem odwagę, a w nogach wate, bo wiedziałem przecież, jakie mają możliwości rewanżu. Rozmowa trwała krótko. Podsunięto mi pismo z notatką, że nie byłem u mecenasa Władysława Siły-Nowickiego. Kazano mi podpisać. Odsunąłem kartkę.

– Nie podpiszę.

Posypał się stek wyzwisk tak plugawych, że nie ma sensu ich powtarzać.

Wojsko

Myślałem, że machnęli na mnie ręką, bo urwały się wezwania na komendę, ale po kilku tygodniach dostałem wezwanie na Komisję Wojskową. A więc do woja, bo tam mają człowieka pod bezustanną kontrolą. Zostałem wezwany do pokoju i ucieszyłem się, bo za biurkiem siedział ojciec mojego dobrego kolegi z samochodówki – mjr Mikołajczyk. Znał mnie, bywałem u nich w domu. Pragnąłem, by skierowano mnie na lotnisko w Radomiu. Miałem prawo jazdy na wszystkie pojazdy, kierowca jest potrzebny w każdej jednostce. A major

mi obwieszcza, że wysyłają mnie do Świnoujścia. Okropnie się zdenerwowałem:

– Jak to? Panie majorze, ja bardzo proszę. Nie poznaje mnie pan? Siedziałem z pana synem w jednej ławce – prosiłem zdesperowany.

A on skinął głową, że poznaje, i odwrócił wielką księgę, gdzie wpisana była lista poborowych. Pokazał palcem na moje nazwisko podkreślone na czerwono, a w rubryce „rodzaj jednostki” wpisano: „Marynarka Wojenna Świnoujście”. Major rozłożył ręce w geście „ja tu, chłopcze, już nic nie mogę”.

Tak więc wysłano mnie w najdalsze możliwe miejsce, odległe od Radomia o 720 km. Miałem tam swojego kuratora, który mnie „otoczył” opieką i wciąż kontrolował. Tam też mnie wzywali na komendę milicji i namawiali na współpracę i obiecywali w zamian różne korzyści.

Nie wszystko w życiu mi wyszło. Teraz wiem, że są rzeczy, które mógłbym zrobić inaczej. Popełniłem różne błędy, zresztą jak każdy, ale jedno mi się udało – nie złamali mnie, nie zostałem TW, a możliwe, że byłem najczęściej namawianym, nękanym i pożądanym obiektem na kapusia, któremu obiecywano góry ze złota coraz wyższe i coraz cenniejsze. To musieliby ustalić historycy i nie wiem, czy w ogóle są prowadzone tego rodzaju badania.

Gdy wyszedłem z wojska, zaproponowano mi pracę w wojskowym domu zdrojowym w charakterze kierowcy. Miałem do obsługi pięć samochodów; dwa osobowe, ciężarówkę, dostawczy i ambulans karetki pogotowia. Jakoś sobie radziłem, mimo że pracy starczyłoby dla dwóch, trzech. Zakochałem się po roku w bardzo ładnej pielęgniarce o imie-

niu Lena, która pracowała w przychodni domu zdrojowego, i wkrótce wzięliśmy ślub. Dostaliśmy pokój w budynku dla personelu. Życie zaczęło się stabilizować.

Pewnego dnia wezwał mnie komendant tego ośrodka z buzią pełną pretensji, że zataiłem fakt o mojej opozycyjnej przeszłości. Widziałem po jego minie, wzroku, że jako szczerzy towarzysz przestał mnie lubić. Było mu jednak głupio nas wyrzucić – po pierwsze dlatego, że Lena była w ciąży, a po drugie naprawdę mieli niezawodnego fachowca, nie tylko kierowcę, ale i mechanika, który naprawił każdą usterkę.

Powrót z rodziną

Nagle przysłała wiadomość, że dostałem mieszkanie spółdzielcze w Radomiu. Już wiele lat wcześniej rodzice założyli mi książeczkę mieszkaniową i wciąż naprzykrzali się prezesowi, bo chcieli, żebym wrócił do rodzinnego miasta. I tak się stało.

Dostałem pracę w WPHW, czyli firmie zajmującej się zaopatrzeniem sklepów. Zataiłem, że byłem karany, ale oczywiście esbecja zrobiła donos, bo nie mogli o mnie zapomnieć. Wezwał mnie dyrektor Marian Gwarek, zapiekły towarzysz – prawdziwy ideowiec, a tacy byli najgorsi. Są zresztą nadal.

- Panie Marku, oszukał nas pan.

Od razu zorientowałem się, o czym mówi.

- A gdybym powiedział podczas rozmowy wstępnej, że siedziałem za Czerwiec, to by mnie pan przyjął?

- No i co ja mam z panem zrobić?

- Panie dyrektorze, zrobi pan, co zechce, ale proszę wziąć pod uwagę, że mam na utrzymaniu żonę i dwoje dzieci.

Nic nie powiedział, kazał mi wrócić do swoich zajęć. Znowu nastąpił spokój, ale tylko na kilka miesięcy. Pojawił się w dyrekcji mój opiekun z SB z awanturą, dlatego ja jeszcze pracuję. Już myślałem, że wylecę, dyrektor okazał się jednak porządnym człowiekiem, mimo że należał do partii. A gdy zaczęły się strajki na wybrzeżu w 1980 r. i powstała Solidarność, esbecy przestali się mną interesować, mieli większe zmartwienia aniżeli moja osoba.

Emigracja

Bardzo chciałem wyjechać na Zachód. Sytuacja w kraju nie wyglądała dobrze; po euforii z Solidarnością nastąpiły czarne dni stanu wojennego, a później wszystko wróciło do poprzednich kolein. Wśród ludzi narastało poczucie beznadziei. Przez kilka lat odmawiano mi wydania paszportu. Wreszcie przez znajomości otrzymałem upragniony dokument w 1987 r. Powiedziałem w domu, że wyjeżdżam do pierwszego kraju na Zachodzie, dokąd będzie zorganizowana wycieczka w biurze turystycznym. I na głównej ulicy w mieście – tej samej, przy której od dziecka mieszkałem – odwiedziłem biuro o nazwie „Turysta”, gdzie na witrynie przyklejono plakaty z kolorowymi fotografiami zamorskich plaż z palmami, i zapisałem się na wycieczkę do Grecji. Oprócz paszportu i pieniędzy na opłatę należało okazać 58 dolarów. Wówczas była to poważna kwota, pożyczałem te dolary od pięciu znajomych. Zawarliśmy z żoną taką umowę, że jak się urządzę, to przyjedzie do mnie z dziećmi.

Zamieszkałem w Atenach. Nie miałem najmniejszego problemu z pracą, Polaków tam bardzo ceniono jako wykształconych i solidnych fachowców. Oczywiście wystąpiłem do biura emigracyjnego o azyl, starałem się o wyjazd do Stanów Zjednoczonych i po wstępnej rozmowie zostałem zakwalifikowany jako uchodźca polityczny.

Podobała mi się Grecja, ale przekonałem się, że ma nie tylko słoneczną stronę.

Kraj piękny – morze, słońce, wspaniała przyroda. Nieustające poczucie błogości, luzu, jakby się przebywało na bezterminowych wakacjach pomimo codziennej pracy. Dobrze się czułem wśród sympatycznych, wesołych Greków. To był już schyłek lat osiemdziesiątych i proszę sobie wyobrazić, że dokonałem zaskakującego odkrycia. Otóż wynajmowałem pokój u człowieka w sile wieku, ale wtedy, gdy miałem niespełna 30 lat, osoby po sześćdziesiątce wydawały mi się starszymi ludźmi. Ten mężczyzna miał już dorosłe dzieci i bardzo był z nich dumny. Ich fotografie wykonane po ukończeniu studiów – w togach, biretach – zajmowały całą komodę. Pewnego razu mój gospodarz poprosił mnie, bym naprawił lampę pod sufitem, przysunąłem więc krzesło i poprosiłem o gazetę, żeby go nie pobrudzić. Odparł, że nie ma gazety.

– Żadnej? Nic pan nie znajdzie?

– Nie – i dodał bez najmniejszego zakłopotania – nie kupuję gazet, bo nie potrafię czytać.

Okazało się, że w Grecji panował powszechny analfabetyzm. Nie wiem, jak jest obecnie, po ćwierć wieku, ale wówczas nie musiano kończyć żadnych szkół, by prowadzić

jakiś mały warsztat czy bistro. Synowie uczyli się zawodów od ojców, a córki od matek.

Poczucie sielskości bywało drastycznie przerywane przez trzęsienia ziemi, które fatalnie na mnie oddziaływały, a często nawiedzały Ateny. Widziałem nie tylko pękające domy, ale i walące się w gruz wieżowce i tafle szkła lecące na ulice. Ginęli ludzie. Przeżyłem sześć poważnych trzęsień i nie potrafiłem przyzwyczaić się do bezustannego zagrożenia życia.

Wreszcie przyjechała żona, niestety nie na stałe, ponieważ dzieciom władza ludowa nie wydała paszportów. Opowiadała, że wciąż jest nękana przez esbeków, namawiana, żeby wzięła ze mną rozwód. Pokazywano jej kopie dokumentów, które złożyłem w biurze emigracyjnym w Atenach, by udowodnić, że wszędzie mają swoich ludzi. Smutne to było spotkanie, ponieważ nie chciałem wracać do kraju, gdzie przy władzy wciąż mocno trwali ci sami ludzie, a żona oznajmiła, że daje mi wolną rękę. Praktycznie oznaczało to rozstanie. Moje marzenia co do przyszłości runęły: chciałem, żeby dzieci uczęszczały do szkół w wolnym kraju, poznały życie w wolnym świecie i opanowały język, a może kilka, żeby miały po prostu dobry start w dorosłe życie. Na razie okazało się to niemożliwe. Lena wróciła do Polski, a ja zostałem w Grecji. Później związałem się z Greczynką o imieniu Maryja. Była wdową, jej mąż wraz z dwunastoletnim synem zginął w wypadku samochodowym.

Ameryka

W 2005 r. wraz z Maryją wyjechałem do Stanów Zjednoczonych. Jej szesnastoletnia córka została w Atenach z dziad-

kami, ale często nas odwiedzała. Dostałem mieszkanie w Nowym Jorku i przez rok otrzymywałem stałe kwoty na utrzymanie. Szybko opanowałem język, chciałem jak najszybciej podjąć pracę, żeby wysyłać dolary na potrzeby dzieci. Założyłem firmę budowlaną z kolegą Polakiem, którego tam spotkałem; on nadzorował jakość pracy, a ja zajmowałem się sprawami pracowników i papierkami. Dobrze nam szło, wyspecjalizowaliśmy się w wykończeniówce, a szczególnie w łazienkach. Mieliśmy świetną opinię i mnóstwo zleceń, również w domach milionerów. Robiłem na przykład łazienkę u Bruce'a Willisa i miałem satysfakcję, gdy oznajmił z uśmiechem, że lubi perfekcję we wszystkim. Ameryka jest jak narkotyk; jeśli coś potrafisz i nie brakuje ci chęci do pracy, otwierają się przed tobą niesamowite możliwości; można zaszuwać całą dobę i dobrze zarobić. To wciąga i wcale nie jest bezpieczne. Oczywiście dla zdrowia, dla higieny psychicznej, bo łatwo się zatracić, przestać myśleć o regeneracji sił, o urlopie.

W końcu wzięliśmy z Leną rozwód. Wyszła po raz drugi za męża, za naukowca pracującego na politechnice radomskiej i zapalonego alpinistę. Ona zawsze kochała góry, a ja morze. Cieszyłem się, że dobrze trafiła, życzyłem jej szczęścia, bo na nie zasłużyła. Jestem jej wdzięczny za wspaniałe wychowanie naszych dzieci, bo przecież wszystko na nią spadło, kiedy ja wyjechałem, no i zawsze szanowałem sposób, w jaki traktuje swój zawód pielęgniarki; wykonywała go z oddaniem i pasją.

Jestem dumny z naszych dzieci. Obrały interesujące zawody i odnoszą sukcesy; córka Dominika jest utalentowa-

nią i cenioną projektantką obuwia. Została odkryta i nagrodzona na międzynarodowych targach obuwia w Poznaniu, liczy się w branży pomimo młodego wieku. Syn Hubert został elektronikiem.

Fatum

Żaden człowiek na ziemi nie jest zabezpieczony przed nie-
szczęściem.

Pewnego razu Maryja otrzymała ważny telefon i musiała polecieć do kraju w rodzinnych sprawach. Miałem jej towarzyszyć. Niestety zatrzymały mnie jakieś pilne sprawy urzędowe. Mówię niestety, ponieważ możliwe, że gdybym pojechał razem z nią, nie stałoby się to, co się stało. Dostałem wiadomość, że Maryja zginęła w Atenach w wypadku samochodowym. Ona prowadziła, a obok siedziała córka, która również zginęła. Fatum. Najpierw ginie jej mąż z jednym dzieckiem w wypadku samochodowym, a po kilku latach ona z drugim dzieckiem. To jeszcze nie koniec tragicznej serii w życiu moich bliskich.

Minęły dwa lata od śmierci Maryi i jej córki, gdy we włoskich Dolomitach zginął mąż Leny. Latem 2008 r. wybrali się na wyprawę w pięć osób. Na drugi dzień po przyjeździe w góry trzech przyjaciół zostało na dole, by się zaaklimatyzować, a Lena z Tomaszem wyruszyli na Marmoladę. Po pokonaniu *via ferraty*, czyli drogi ubezpieczonej stałymi umocnieniami, dokąd mogli wspinać się amatorzy, oni ruszyli wyżej i wspięli się na szczyt. W drodze powrotnej Tomasz poślizgnął się i wpadł w szczelinę lodowca.

Powrót

Wróciłem do kraju po śmierci Maryi. Całym swym jestestwem dane mi było odczuć tragedię ludzkiego istnienia. Pojąłem, że niewiele zależy od nas. To znaczy bardzo dużo, ale spoza nas coś nadchodzi i wszystko zmienia. Musiałem się dźwignąć, żyć dalej. Założyliśmy z kolegą firmę; remonty, wykończeniówka domów. Upłynęło kilka lat, zacząłem myśleć o ułożeniu sobie życia osobistego. Nikt nie mógł zastąpić miejsca po Maryi, ale spotkałem kobietę z Kielc, bardzo atrakcyjną, dowcipną i majątną, co nie jest wadą. Straciłem do niej jednak całą sympatię, gdy zaczęła mnie namawiać, bym głosował w wyborach prezydenckich na jej ulubieńca. Szybko się z nią rozstałem.

Teraz powróciła nadzieja, że wreszcie nastąpią pozytywne zmiany w naszym kraju. Szczególnie cieszą mnie młodzi ludzie, że samodzielnie myślą, nie dają się ogłupić. Byłem w tym roku wraz z osiemnastoma członkami Stowarzyszenia Radomski Czerwiec na pielgrzymce w Częstochowie. Widziałem mnóstwo młodych ludzi. Modlili się zapewne we własnych intencjach, ale i za ojczyznę. Pomyślałem, że to jest rdzeń naszego narodu, płakać mi się chciało. Z radości oczywiście. Przypomniałem sobie, jak byłem młodym chłopakiem upodlonym i miażdżonym przez ludzi systemu komunistycznego. I że ta walka z komuną miała sens.

MYŚLĘ, ŻE TATA JEST ZE MNIE ZADOWOLONY

Jesień 2016

Na ósmym piętrze wieżowca drzwi otwiera mi pan Hubert – najmłodszy syn nieżyjącego już Marka Wołowca. W przedpokoju witam się z panią Danutą, żoną pana Marka. Mieszkanie jest urządzone z gustem i dużą starannością. Na regale w stołowym od razu dostrzegam na fotografiach pana Marka, jego synów i wnuków.

Pan Hubert, który został strażnikiem pamięci o ojcu, przygotował się do tej rozmowy – na wersalce leży domowy IPN.

Pani Danuta

Był rok 1978, gdy po raz pierwszy spotkałam swojego przyszłego męża na zabawie w remizie strażackiej w Trablach, blisko Radomia. Miałam wtedy 17 lat i byłam uczennicą szkoły telekomunikacyjnej. W sobotę z grupą koleżanek wybrałyśmy się na tańce, na piechotę oczywiście, bo co to za odległość 2 km dla młodych ludzi. Pamiętam, co miałam na sobie: spodnie dzwony w kolorze ciemnej zieleni i białą

koszulową bluzkę. Lubiłam się modnie ubrać. Blisko mojego domu mieszkała świetna krawcowa, pani Kazia, i szyła, co tylko akurat wchodziło w modę, a zorientowana byłam, bo kupowałam w kiosku, spod lady oczywiście, „Burdę”, taki magazyn mody. Co mi się zamarzyło, pierwsza musiałam mieć najmodniejszą kreację. Na przykład spódnice zwane bananówkami, pamięta pani? No. To ja i moja siostra pierwsze miałyśmy w Radomiu takie spódnice, uszyte przez panią Kazię. A później Maryla Rodowicz miała taką na festiwalu w Opolu.

Pamiętam, w co był ubrany Marek; miał džinsy i koszulkę w kratkę. No i długie włosy. Ja też miałam długie, do ramion. Nie, nie znałam go wtedy. Chłopaki stali pod ścianą, a dziewczyny podpierały naprzeciwko drugą. Tak przez kilka minut. Czułam, że się na mnie gapi, i oczywiście poprosił mnie do tańca, i już nie pozwolił nikomu innemu ze mną zatańczyć. Zespół grał takie bardziej wiejskie kawałki, a ja wtedy przepadałam za Czerwonymi Gitarami. Z lekkością moich 17 lat tańczyłam i myślałam o wielkiej miłości. Odprowadził mnie do domu i umówiliśmy się za tydzień.

– To był rok 1978, więc upłynęły dwa lata od wypadków czerwcowych. Opowiadał pani o tamtych wydarzeniach?

Nie od razu. Dopiero po jakimś czasie sama zobaczyłam ślady, a właściwie blizny na jego plecach. To było latem, nad wodą. Zapytałam, co się stało, skąd się wzięły, odparł, że to pamiątka po ścieżkach zdrowia. Słyszałam o tych ścieżkach, ale niewiele, bo wtedy nie wolno było o tym głośno mówić. W gazetach podawano same kłamstwa, milczały na ten temat radio i telewizja. Powtarzano wciąż jedną wersję

o warchołach, chuligańskich wybrykach. Jak było naprawdę, dowiedziałam się od Marka.

Blizny na plecach po skórze przeciętej pałkami to nic. Najgorsze były te niewidoczne, ukryte w środku człowieka – na duszy, nerkach i płucach. Sześć razy leżał w szpitalu. Całe życie chorował. Wydawałoby się, że organizm młody, poradzi sobie, czas najlepszym lekarzem. Nic z tego. Odbite płuca nie wróciły do poprzedniego stanu, dlatego miał astmę, leczył się w poradni pulmonologicznej, niestety stan zdrowia wciąż się pogarszał. Okazało się, że jedna nerka została odbita i musiano ją usunąć. Lekarz powiedział, że nie mógł jej uratować, bo się rozpadła. Później poleciała trzustka, wątroba. Od szpitala do szpitala. Takie życie. Śmierć weszła w niego jak robak, gdy po niego przyszli 28 czerwca o godzinie 6.00, czyli na trzeci dzień po zamieszkach.

Pan Hubert

25 czerwca tata z daleka widział płonący komitet, bo ulice wypełniały takie tłumy, że nie dało się przecisnąć bliżej centrum wydarzeń; zawrócił więc do domu.

Tata się dziwił, skąd esbecy wiedzieli, że tam był i skąd zdobyli jego adres. Później się okazało, że wśród demonstrujących kręciło się mnóstwo esbeków po cywilnemu i robili ludziom zdjęcia. Kto podał adres taty, nie wiadomo. Zabrano go skutego do policyjnego samochodu i najpierw otrzymał cios pięścią w twarz. Zalał się krwią. Na komendzie dwóch milicjantów, czasem trzech biło go pałkami po plecach, po nogach. Kopano. Nożem obcięto mu włosy i poprowadzono

na przesłuchanie. Tu się dowiedział, że ukradł belę materiału leżącą na ul. Słowackiego. Nie przyznawał się do kradzieży, a oni go wciąż bili. Na zmianę. To znaczy dwóch odpoczywało, a dwóch biło. Ten przesłuchujący, odsunawszy szufladę w biurku, kazał mu włożyć dłonie, a gdy to zrobił, milicjant zaszedł go od tyłu i z kopa przyciął mu palce. To dzikie przesłuchanie trwało od rana do późnych godzin nocnych. Wreszcie załamał się i złożył podpis pod oskarżeniem o kradzież.

W nocy przyszedł prokurator, a nawet znalazło się dwóch świadków – oczywiście milicjantów. Został mu przedstawiony zarzut z art. 199 k.k. i skazano go na trzy miesiące aresztu. Już myślał, że nastąpi kres katowania, niestety. Gdy wyprowadzono go z komendy, czekała na niego ścieżka zdrowia, którą musiał przejść do policyjnego radiowozu; tatę zawieziono do więzienia w Kozienicach. Bezskutecznie prosił, wołał o pomoc medyczną. Dopiero gdy przewieziono go do aresztu w Radomiu, został przebadany przez lekarza, który stwierdził pęknięcie lewego obojczyka i nadgarstka, złamanie lewej ręki i ataki duszności spowodowane odbiciem płuc. Areszt opuścił 31 lipca 1976 r. Tu jest cała historia taty w dokumentach, które uzyskałem w IPN-ie.

Pan Hubert kładzie na stole grubą teczkę z dokumentami.

Akta tymczasowego aresztowania wypełniono rubryki ładnym, technicznym pismem: ostatnie miejsce pracy przed aresztowaniem: „Zakłady Metalowe, Radom – poler”.

– Mąż pracował w Zakładach Metalowych? – zwracam się do pani Danuty.

Pani Danuta

Tak. Na wydziale P-6, ale 14 czerwca zwolnił się, a właściwie porzucił pracę, tak wynika z dokumentów. Nie powiedział mi dlaczego. To było najważniejsze, najgorętsze miejsce w Radomiu w czerwcu 1976 r. Zapewne milicjanci z fotografiami wykonanymi na ulicach miasta najpierw udali się tam i dlatego uzyskali szybko jego adres.

Proszę, oto wyrok wydany przez Sąd Wojewódzki w Radomiu II Wydział Karny z 3 sierpnia 1976 r.

Pani Danuta podaje mi dokument. Czytam. Marek Wołowicz został oskarżony o to, że:

dnia 25 czerwca 1976 roku w Radomiu, działając w sposób szczególnie zuchwały, zabrał w celu przywłaszczenia 14 m. materiału ubraniowego o wartości 3 304 zł. [...] tj. czyn z art. 208 kk. [...]

Uzasadnienie

Na podst[awie] zebranego materiału dowodowego ustalono następujący stan faktyczny:

W dniu 25 VI 1976 r. oskarżony Marek Wołowicz przyjechał do Radomia około godz. 18 z Malczewa, gdzie zamieszkuje na stałe. Z dworca udał się na ul. Słowackiego i widząc tam porozbijane przez grupy chuliganów sklepy i leżące przed nimi towary, podniósł z chodnika belę materiału, tzw. elanobawełnę w ilości 14 m, i zabrał celem przywłaszczenia. [...] Przedmiotowy materiał został zakwestionowany przez funkcjonariuszy MO i zwrócony pokrzywdzonemu przedsiębiorstwu. Wina

oskarżonego nie budzi wątpliwości, a jego czyn wyczerpuje zdaniem Sądu dyspozycję art. 199 & 1 k.k. bowiem zagarnął on mienie społeczne. Sąd wymierzył karę 1 roku pozbawienia wolności oraz 10 000 zł grzywny. Wykonanie kary pozbawienia wolności warunkowo zawieszono, ustalając okres próbny na 4 lata i orzeczono obowiązek wynikający z treści art. 75 & 2 pkt. 4 kk.

Wśród dokumentów znajdują się również fotografie pana Marka, wykonane w areszcie w Kozienicach: trzy paszportowe: *en face*, z lewego i prawego profilu, oraz na tle ściany cała postać w rozpiętej koszuli, związanej nad talią, w dobrze dopasowanych spodniach (prawdopodobnie dżinsy), ramiona opuszczone wzdłuż tułowia, włosy dłuższe, za ucho, ale śmiesznie sterczące na czubku głowy, bo powystrzygane tu i tam.

Przeglądam akta tajne, szczęśliwie odtajnione i czytam raporty sierżanta sztabowego A. Olszówki oraz podporucznika mgr Zenona Jasińskiego, którzy mieli za zadanie otoczyć opieką zwolnionego z więzienia Marka Wołowca. Tych raportów naliczyłam pięć. Troska funkcjonariuszy odnosi się przede wszystkim do nastawienia Marka Wołowca do władzy ludowej – czy nie odczuwa żalu do tejże władzy oraz czy nikt z KOR-u nie usiłował nawiązać z nim kontaktu.

Oto notatka napisana odręcznie przez pana Marka 11 lutego 1977 r.

Oświadczam, że do chwili obecnej nikt mnie nie odwiedzał z osób z Warszawy przedstawiających się jako

przedstawiciele jakiejś organizacji. W przypadku odwiedzenia mnie przez te osoby nie będę z nimi rozmawiał, a o fakcie tym powiadomię KW MO w Radomiu.

Marek Wołowiec

Pani Danuta opowiada, co działo się dalej.

Po zwolnieniu z więzienia został zatrudniony w jednostce wojskowej na Podkanowie w charakterze kucharza. Sześć lat tam pracował. On wszystko potrafił, nawet gotować. Złota rączka.

Gdy zaczęliśmy się spotykać, to właśnie tam kucharzył. Kiedy byłam już pewna, że jestem w Marku zakochana, a on we mnie, wzięliśmy ślub w 1979 r. i zamieszkaliśmy u moich rodziców, którzy zajmowali służbowe mieszkanie dla kolejarzy – dwa pokoje z kuchnią w jednopiętrowym bloku. Mąż miał pięć minut do pracy. My zajęliśmy jeden pokój, a rodzice wraz z siostrą drugi.

W 1980 r. przyszedł na świat nasz pierwszy syn, Grzegorz. Pamiętam, że gdy był malutki, jeszcze w beciku, odwiedzali nas często panowie z milicji czy z esbecji, nie wiem, nie mieli zwyczaju się przedstawiać. To nachodzenie, przepytywanie trwało przez cały 1981 r., pamiętam, bo na świat przyszedł drugi syn – Robert i ciężko było koniec z końcem związać, a tu jeszcze przychodziły upomnienia, że wisi nad mężem potężna kara grzywny. Wcześniej Marek spłacił 2 tys. – na tamte czasy to poważna kwota. Wreszcie dali spokój. Mąż odszedł z wojska i przeszedł do Radomskich Zakładów Budownictwa Kolejowego, gdzie pracował przez 8 lat, a po 8 latach zatrudniono go w Centrodlewie.

Wtedy wydawało się, że nastąpił lepszy okres w naszym rodzinnym życiu, a to zbiegło się z przemianami w Polsce. Komuna padła i akurat po tylu latach życia kątem u rodziców w ciasnocie, bo w jednym pokoju we czworo, doczekaliśmy się swojego mieszkania, trzy pokoje z kuchnią. No i tu przyszedł na świat Hubert. W 1994 r. mąż stracił pracę. Po prostu jak większość zakładów w Radomiu Centrodlewny upadł. Bezrobocie wtedy nastąpiło straszne. Przez rok Marek pobierał zasiłek dla bezrobotnych, a później znalazł pracę jako konwojent w magazynach spożywczych. Pięć lat tam pracował, a potem znowu ludzi zwalniali. Z jego zdrowiem było coraz gorzej, ale jeszcze podjął się pracy u dilerów w Toyocie. To był jego ostatni zryw.

We wrześniu 2013 r. otrzymał rentę, a w listopadzie 2014 r. zmarł.

Chcieli go lekarze ratować, bardzo chcieli, nie powiem, wysłali go do Warszawy, wiedzieli, że te zniszczenia w organizmie są następstwem ścieżek zdrowia. Rak zajmował po kolei: nerki, wątrobę, trzustkę, aż poszedł w kości. Odszedł w wieku 60 lat. Dobrym był mężem, ojcem, bo w ogóle był dobrym człowiekiem. Miał swój charakter, bo każdy ma swój.

Synowie

Najstarszy Grzegorz ukończył technikum mechaniczne, wyjechał do Irlandii 12 lat temu. Tam się ożenił z Polką i radomianką. Tu w Radomiu się poznali i szczęśliwie pokochali. Mają dwoje dzieci. Dobrze im się powodzi, mają piękny dom.

Średni syn Robert ukończył technikum budowlane. Również wyjechał do Irlandii, później pracował w Hiszpanii,

Grecji, ale wrócił po 6 latach i teraz mieszka w Końskich, bo jego żona stamtąd pochodzi. Mają troje dzieci, więc razem uzbierało mi się pięcioro wnuków.

W 1989 r. na świat przyszedł trzeci syn – Hubert, tu oto siedzący, bo jest kawalerem i razem mieszkamy.

Pan Hubert

Ja ukończyłem technikum mechatroniczne, pracuję w firmie, która ma siedzibę tam, gdzie kiedyś mieściła się filia Zakładów Metalowych „Łucznik”. Produkuje meble i różne urządzenia ze stali nierdzewnej na potrzeby służby zdrowia, przemysłu spożywczego.

Natomiast wolny czas angażuję w zbieranie dokumentacji i opracowań o radomskim buncie z 1976 r. Uzbierało się tego sporo: książki, albumy, artykuły z prasy, pamiątki po tacie. Tu mam medale, odznaczenia. W zastępstwie taty uczestniczę w działaniach Stowarzyszenia Radomskiego Czerwca. Zdarza się, że zwyczajnie trzeba wykonać w siedzibie jakąś fizyczną pracę, która wymaga technicznego przygotowania, i żeby oszczędzić na jakimś fachowcu, chętnie coś tam naprawiam. Przepraszam, muszę już pędzić do pracy.

Pani Danuta

Wychować dobrze trzech chłopaków, wykształcić, to jest powód do dumy. Pani Danuta nie ma zamiaru udawać, że może być inaczej. Bywały jednak i cięższe chwile.

Mąż często chorował, jeździł do Warszawy do specjalistów, wielokrotnie trafiał do szpitali. I wciąż pracował, bo przecież przy takiej rodzinie wydatki mieliśmy duże. Musiał pogodzić chorobę z pracą. Ja też pracowałam, niestety mój organizm zaatakowała białaczka. Przeszłam chemioterapię w Warszawie, udało się. Niestety serce nie wytrzymało nieustannego stresu i nastąpił zawał, potem pojawiła się cukrzyca, a trzy miesiące po śmierci męża przeżyłam udar.

Mówię dla porządku, bo nie lubię ludzi, którzy uskarżają się na swój los i sama staram się nie uprzykrzać innym życia, bezustannie wyliczając nieszczęścia, które mnie dopadły. Udało mi się zachować pogodę ducha, bo jak podliczę to całe zło i całe dobro, którego zaznałam, to jednak wychodzi mi więcej dobra.

Pan Marek

Męża doceniano. Proszę, niech pani obejrzy. (Z pudełka wyjmuję odznaczenia).

To z ciężkiego stopu ma wygrawerowany napis: ROK Wydarzeń Czerwcowych NSZZ Solidarność. Niżej: Żądamy Chleba, 2006 rok, a na rewersie: Poznań 1956, pod nim płasko-rzeźba człowieka ze skutymi na plecach rękoma z wygrawerowanym napisem: Naród – Partia, a wokół medalu nazwy miast, gdzie doszło do strajków w 1976 r.: Radom, Ursus, Płock.

Prezydent Rzeczypospolitej Polskiej Bronisław Komorowski odznaczył Marka Złotym Krzyżem Zasługi 16 czerwca 2011 r. Mąż otrzymał też legitymację Stowarzyszenia Osób Pokrzywdzonych i Represjonowanych z numerem jeden.

I jeszcze jeden medal. Wybito go z okazji 30. rocznicy powstania NSZZ „Solidarność” Ziemi Radomskiej. Ciężki. Na rewersie wybite są herby polskich miast, które walczyły z komuną. Do medalu również dołączona jest legitymacja podpisana przez przewodniczącego Stowarzyszenia Radomskiej Solidarności Andrzeja Sobieraja.

Te odznaczenia sprawiały satysfakcję mężowi, ale gorzka to była satysfakcja. Zależało mu najbardziej, aby zostać oczyszczonym z zarzutu przywłaszczenia tej nieszczęsnej elanobawełny z czerwca 1976 r.

Pani Danuta pokazuje podanie z 2008 r. złożone przez pana Marka do Sądu Okręgowego w Radomiu:

Wniosek o uznanie za nieważne orzeczenia wydane-
go wobec osoby represjonowanej za działalność na rzecz
niepodległego bytu państwa polskiego.

„W imieniu własnym wnoszę:

1. o uznanie za nieważne wyroku Sądu Rejonowe-
go w Radomiu II Wydz[iał] Karny z dn. 3 sierpnia 1976 r.
w spr[awie] sygnatura akt II Kp 1174/76;

2. o przeprowadzenie dowodu z załączonego do wnio-
sku dokumentu;

3. o dołączenie akt sprawy II Kp 1174/76 Sądu Rejo-
nowego w Radomiu II Wydz[iał] Karny i przeprowadze-
nie z nich dowodu.

Z Instytutu Pamięci Narodowej dołączono kseroko-
pie wyroku sądu z dn. 03.08.1976, sygn. Kp 1174/76 (IPN,
682/73, k. 50)”.

– Niech pani przeczyta werdykt sądu.

Pani Danuta podaje mi zszyte trzy kartki maszynopisu. Jedna to wezwanie do sądu na sprawę, a dwie to uzasadnienie wyroku: „Sygn. akt II Ko 173/08 »un«”.

A oto odpowiedź:

Postanowienie z dn. 7 maja 2008 roku. Sąd Okręgowy w II Wydziale Karnym w składzie:

Przewodniczący SSR (del. do SO) Agnieszka Pawłowska [...] przy udziale Prokuratora Elżbieta Tarka po rozpoznaniu wniosku Marka Wołowca o unieważnienie orzeczenia – na podst. art. 1 ust. 1 w zw. z art. 2 ust. 1 Ustawy z dnia 23 lutego 1991 r. o uznanie za nieważne orzeczeń wydanych wobec osób represjonowanych za działalność na rzecz bytu Państwa Polskiego (Dz.U. z 1991 r. Nr 34, poz. 149).

postanawia

I. wniosek oddalić

II. kosztami postępowania obciążyć Skarb Państwa

Uzasadnienie

W dn. 27 marca 2008 r. M[arek] Wołowiec złożył do tut[ejszego] Sądu wniosek o unieważnienie orzeczenia w sprawie II Kp 1174/76, mocą którego został uznany za winnego [...] z art. 199 & 1 kk.

Prokurator wniósł o oddalenie powyższego wniosku, z czym ochoczo zgodził się sąd, ponieważ stwierdził, że „Wniosek Marka Wołowca na uwzględnienie nie zasługuje”.

I na dwóch stronach maszynopisu sąd uzasadnia, dlaczego tak uważa. Odwołujący się „popęłnił czyn *stricte* kryminalny w sposób szczególnie zuchwały”. Ten akapit został przepisany kropka w kropkę z wyroku z 1976 r., tak samo jak stwierdzenie, że zeznawało w tej sprawie dwóch świadków. A jaka była wiarygodność takich świadków – milicjantów w czasach komuny! No i jeszcze jeden argument, że sam oskarżony przyznał się do popełnionego czynu. Nie wspomniano jednak, że stało się to po trwającym około 15 godzin katowaniu oskarżonego. I jeszcze taki kwiatek wsadzony w to uzasadnienie, że mąż nie był związany z działalnością na rzecz niepodległego bytu państwa polskiego i sam zeznał, iż w tym czasie nie należał do żadnej organizacji opozycyjnej. Wyobraża to sobie pani? Do jakiej niby organizacji opozycyjnej miał należeć Marek w 1976 r.? Do KOR-u? Przecież KOR powstał do obrony robotników Czerwca.

Jakby matka swoje dziecko za ten sam czyn jedną ręką pogłaskała, a drugą wymierzyła policzek, co by pani pomyślała? Że ta matka to wariatka jakaś, czyż nie?

Pan Hubert, tydzień później

Z pożyczoną teczką dokumentów i z księgą z mnóstwem zdjęć ludzi Czerwca '76, opuszczam mieszkanie wdowy po panu Marku. Autorzy księgi zdążyli wykonać mu kilka fotografii w mieszkaniu i przeprowadzić z nim ostatni wywiad. Po kilku dniach telefonuje pan Hubert i pyta, czy już może odebrać pożyczone pamiątki. Zapraszam go do siebie.

– Wracałem ze szkoły czy z pracy, a tata chory. Ciągle szpital w domu. Cierpienie. Zdarzało się, że przychodziłem, a na stole kartka, że tata w szpitalu na Tochtermana, a mama na Józefowie. To ja złapałem coś do jedzenia i biegiem do jednego szpitala, a potem do drugiego.

Tata zmarł, a mama jest bardzo dzielna.

I mama, i ja utrzymujemy kontakty z Czerwcowym Ludźmi.

Nie ma znaczenia, że to są osoby dużo starsze ode mnie. Dobrze się czuję w ich towarzystwie, bo te spotkania w stowarzyszeniu nie polegają na opowiadaniu w kółko o przeżyciach z Czerwca, ale na uczestnictwie w różnych konferencjach naukowych, pokazach filmów o czasach komuny, po prostu interesuje mnie ten okres w historii. Dzięki temu, że jestem w stowarzyszeniu, dostaję informacje o takich wydarzeniach. Pan Stanisław, nasz prezes, organizuje raz w roku piknik nad zalewem, wycieczki w różne miejsca, a nawet ostatnio byliśmy na pielgrzymce w Częstochowie. Gdy szliśmy w grupie, ludzie nam machali, pozdrawiali, bo mieliśmy na sobie jednakowe koszulki z logo Czerwca '76, nieśliśmy swój sztandar, a na Pokutnej Górze powitał nas arcybiskup Tomasik. To było duże przeżycie. I wie pani co? Nie opuszcza mnie przeświadczenie, że tata jest ze mnie zadowolony.

DZIĘKI NAM KOMUNA COFNEŁA SIĘ PO RAZ PIERWSZY

Lato 2016

Pana Józefa poznałam w stowarzyszeniu. Od razu zgodził się na rozmowę. Akurat tak się dobrze złożyło, że miał przyjechać do przychodni lekarskiej w Radomiu spod miejscowości Gołędzin, więc przy okazji do mnie wpadł. Wreszcie dzwonek do drzwi. Musiał długo czekać w kolejce do specjalisty i stąd spóźnienie. Zapewniam, że nic się nie stało, zapraszam go do pokoju. Przy herbacie bez cukru, bo lekarz mu zabronił z powodu tej podstępnej cukrzycy, opowiada swoje życie.

Młodość

Mój rodzinny dom stał na Zamłyniu. Chodziłem do szkoły numer cztery i pamiętam srogiego kierownika o nazwisku Żelazny, który miał drewnianą nogę i chodził o lasce. Tą laską uspokajał rozbrykanych uczniów, potrafił też kopnąć nogą wystruganą z drewna. Zapamiętałem dobrze dzień, w którym umarł Stalin, miałem wtedy 9 lat. Nauczyciele wprowadzili wszystkie klasy na dziedziniec i kazali nam

stać na baczność na apelu; zapewne były jakieś przemowy, deklamacje wierszy, ale najbardziej utkwiło mi dziwne zachowanie nauczycielki języka rosyjskiego. Zaczęła zawodzić i szlochać głośno: „Kto nas teraz będzie żywił! Kto nas ocali!” i wydawała podobne w treści okrzyki. Pamiętam, że byłem przerażony tak samo jak i inne dzieciaki.

Gdy ukończyłem podstawówkę, rodzice wysłali mnie na Śląsk do szkoły kolejowej, a po jej ukończeniu zostałem toromistrzem w Strzemieszycach blisko Katowic. Sześć lat tam spędziłem. Miałem ekipę ludzi i odcinek 30 km torów do kontrolowania. Należało sprawdzać szyny, podkłady wymieniać, remontować. Zarabiałem marne – 530 zł. Tymczasem cały wagon koksu do ZSRR kosztował 8 zł. Wiem, bo widziałem listy przewozowe, które miał ze sobą kierownik pociągu lub maszynista. Traktowali nas jak kolonię. Przy takiej wiedzy te niskie zarobki zasmucały mnie jeszcze bardziej i postanowiłem wrócić do domu rodzinnego, mimo że lubiłem tę pracę; jazdę na drezynie i wiatr głaszczący włosy, sprawdzanie torów niemal tak, jak dentysta zęby sprawdza, obstukując, dłubiąc. W roku 1969 wróciłem do Radomia i bez problemu znalazłem pracę w Przedsiębiorstwie Energetyki Ciepłej w dziale transportu.

Żonę, to znaczy przyszłą żonę Olę, poznałem na dechach, czyli na zabawie nad zalewem na Borkach, gdzie orkiestra grała skocznie, a tańczyło się, że aż wióry leciały. Po dwóch latach, czyli w roku 1974 r. wzięliśmy ślub, a ponieważ moja żona pochodziła z ładnej miejscowości pod Radomiem, postanowiliśmy, że tam stanie nasz dom.

Ten dzień

Zaczęło się od wieczornych wiadomości w piątek 24 czerwca, gdy Jaroszewicz ogłosił w telewizji podwyżki. Przygnębiająca to była wiadomość, bo bieda miała się pogłębić. Ludzie powiadali, żeby się nie martwić, bo szynka podrożała, ale lokomotywy staniały. To były takie żarty przez łzy.

Następnego dnia pracowałem w pobliżu Zakładów „Waltera” tuż przy ul. Młodzianowskiej, gdzie ładowaliśmy węgiel na samochody, by zaopatrzyć kotłownię w mieście. Z samego rana doszła nas wieść, że coś się dzieje w Zakładach „Waltera”. Nogi same się tam rwały, jednak nie mogłem tak nieodpowiedzialnie rzucić roboty, więc dopiero około 9.00 porzuciłem miejsce pracy, by dołączyć do ludzi, którzy szli do „Błaszanki” – tak nazywała się fabryka kuchenek gazowych. W radosnym pochodzie ruszyliśmy do „Radoskóru”, a potem do Zakładów Mięsnych. Na czele jechał wózek akumulatorowy, na którym stali moi znajomi: Stanisław Wijata i Zdzisław Michalski. Znałem ich, to byli moi koledzy. Gdy stawiałem mój dom, Zdzisiek pomagał mi przy wyrobie pustaków, ale to później.

Gdy tłum dotarł pod Zakłady Mięsne, okazało się, że brama jest zamknięta i ani wejść, ani wyjść. Wijata miał na wózku łańcuch, zaczepił nim o bramę i pociągnął wózką. Po chwili rozradowani ludzie witali nas, rozdając wszystkim po kawałku kiełbasy. Takie czasy. Tłum ruszył dalej. Na ul. Reja zobaczyłem księdza, przyłączył się do nas, a później wszedł na schodki kościoła Świętej Trójcy i nas pobłogosławił. Nowy duch wyższej radości w nas wstąpił.

Dotarliśmy pod komitet. Kilku odważniejszych weszło do środka, między innymi i Michalski Zdzisław. I sekretarz KW PZPR Prokopiak ich przyjął i wydawałoby się, że poważnie potraktował klasę robotniczą. Obiecał, że zadzwoni do Warszawy i przedstawi postulaty robotników z Radomia. Właściwie postulat był jeden – by cofnięto podwyżki. I wszyscy spokojnie czekali na decyzję Warszawy. Jednak po kilku godzinach okazało się, że Prokopiak nas oszukał. Po prostu uciekł jak ostatni tchórz. Ludzie wdarli się do środka. Ktoś krzyknął z okna na pierwszym piętrze, że nigdzie go nie ma i możemy sobie czekać w nieskończoność. Ktoś z tych nerwów podpalił siedzibę Komitetu Wojewódzkiego PZPR. Ktoś inny zerwał czerwoną flagę z budynku. Ktoś podpalił samochody należące do funkcjonariuszy aparatu partyjnego zaparkowane na dziedzińcu.

Zaczęło się. Ludzie nie dopuścili wozów strażackich. Pojawiły się nad nami helikoptery, krążyły i krążyły, a około 15.00 nadeszły posiłki ZOMO i doszło do nierównej walki. Wtedy powiedziałem sobie, że trzeba stąd zwiewać. Ruszyłem w kierunku parku Kościuszki i zauważyłem, jak zatrzymuje się samochód pełen zomowców. Jeden wysiadł i czymś rzucił w sklepową wystawę. Szyba się rozprysła. Oczywiście wielu ludzi weszło do środka i o to chodziło. Wtedy milicjanci po cywilnemu cykali zdjęcia. Widziałem drugi taki przypadek na Traugutta, że człowiek wyjmuje z eleganckiej teczki skórzanej cegłę i wybija nią witrynę sklepu.

Trzymaliśmy się razem we czterech: ja, Andrzej Wilk, Zdzisław Gołąbek, Mirosław Prygiel. Gdy przechodziliśmy ul. Traugutta w pobliżu kamienicy, gdzie mieściła się Miejska Komenda Milicji, wyszło stamtąd kilku milicjantów i nas

aresztowali. Wepchnęli nas do budynku komendy i tu po raz pierwszy przeszliśmy ścieżkę zdrowia. Na piętrze umieszczono nas w pustym pokoju, gdzie na podłodze siedziało około 30 ludzi, a wśród nich kobiety. Wszyscy już pobici, w tym również kobieta w zaawansowanej ciąży. Kazali nam wyciągnąć nogi i tłukli pałkami po piszczelach. Tę kobietę również. W pewnej chwili jeden z milicjantów kopnął tę kobietę w błogosławionym stanie w brzuch. On normalny to na pewno nie był. Jakby szatan w niego wstąpił. Dopadli do niego inni milicjanci, chwycili pod pachy i go wyprowadzili, a kobietę wynieśli, bo zaczęła obficie krwawić. Więcej jej nie widziałem, ale tak się stało, że po latach się spotkalismy. Przeżyła i dziecko również. Ale później o tym opowiem.

Zawieźli nas do Przysuchy i tu znowu czekała nas ścieżka zdrowia, a bili mocniej niż w Radomiu, bo wypoczęci byli i odczuwali dużą radość przy tym biciu. Potem przesłuchiwał nas prokurator. Do niczego nie chciałem się przyznać, bo on chciał koniecznie, bym powiedział, że kradłem. A przecież nic ze sobą nie miałem, gdy mnie złapali. Wmawiał mi, że ukradłem dywan, alkohol i różne jeszcze rzeczy. Kazał mi podpisać protokół, a gdy odmawiałem, przyciskał mi jądra w szufladzie. Przyciskał, nie miażdżył, ale i tak ból straszny. Metody hitlerowskie, opór polski, bo nie podpisałem.

Każdy z pojmanych powtarzał to samo: tak musi wyglądać piekło. Tam spotkałem człowieka potwornie skatowanego i muszę opowiedzieć jego historię. Bo może do tej pory rodzina nie wie, co się z nim działo, i w ogóle wszyscy powinni dowiedzieć się o przypadku tego nieszczęśnika. On pochodził z okolic Szydłowca i miał wyjątkowego pecha, bo tego dnia,

to znaczy 25 czerwca, przyjechał do Radomia po odbiór ciągnika ze Składnicy Maszyn Rolniczych na Firleju. Udał się na pocztę, żeby wyciągnąć pieniądze z książeczki oszczędnościowej, i w momencie, gdy wychodził na ulicę, dopadli go zomowcy albo milicjanci. Zabrali mu dowód osobisty, przydział na ciągnik i pieniądze. Oskarżyli go, że dokonał napadu na pocztę. Tak został pobity, że jego ciało przybrało czarny odcień. Gdy nas zawieźli do więzienia w Radomiu, jego musiano wywlec z samochodu i nie posłano na ścieżkę zdrowia jak nas wszystkich, lecz wniesiono do środka i rzucono nieprzytomnego na korytarzu. Więcej go nie widziałem i nie wiem, co się z nim dalej działo. Wcale bym się nie zdziwił, gdyby nie przeżył.

Więzienie

Następnego dnia przewieźli nas na kolegium. Dostałem trzy miesiące więzienia i 1200 zł grzywny. Trafiłem do więzienia w Białymstoku. Tam już nas nie bili i jakoś przetrwałem te trzy miesiące.

Powrót

Gdyby to się skończyło po powrocie z więzienia! Ale się nie skończyło.

Gdy wróciłem do Radomia, spotkała mnie przykra niespodzianka, bo zostałem zwolniony ze swojego miejsca pracy, tzn. z WPEC-u. Dyrektor powiedział, że nie ma u niego miejsca dla warcholów. Oczywiście w „pośredniaku” usłyszałem to samo. Poratował mnie przyjaciel Janusz Pączek, który zała-

twił mi pracę na budowie u prywatniarza. Moja rodzina miała za co żyć.

To nic, że skończyła się praca w tej firmie budowlanej, bo miałem już czystą kartę, czyli świadectwo pracy i przyjeżdżałem do Zakładów Odlewniczych w Radomiu, a po roku przeszedłem do Składnicy Maszyn na Firleju.

Solidarność

Potem wybuchła Solidarność, nowa nadzieja. Ja oczywiście się zapisałem. Warchołom pozwolono wrócić do pracy. Wrócił też mój przyjaciel Stanisław Wijata. Niestety został zabity przez dzielnicowego. Nie pamiętam, czy wracał z pracy, czy do niej szedł. Normalnie zabity.

Tak postępowano z niewygodnymi ludźmi. Oficjalnie wydano komunikat, że to wypadek, że wpadł pod samochód. Byli jednak świadkowie, którzy widzieli, jak syrenka prowadzona przez dzielnicowego wjechała mu w plecy. Oczywiście śledztwo umorzono. Nikt nie ośmielił się zeznawać, bo to były lata osiemdziesiąte. Dokładnego roku nie pamiętam, tylko te tłumy na pogrzebie. Za trumną szli ludzie z KPN i Solidarności. A innego mojego kolegę Grześka Ochnię zmuszono, by wyjechał do Australii. Już nie wrócił.

1989 i co dalej

Gdybyż to się skończyło po '89, po Okrągłym Stole, ale się nie skończyło. Niestety, taką wiedzę ma się trochę później, nie w danej chwili. Pomyślałem: „Józek, nastąpił koniec

komuny, przestała istnieć PZPR, więc powinny zostać uchylone komunistyczne wyroki. „Byliśmy naiwni jak dzieci. To znaczy ja, Biegańska, Michalski i Gniadek wystąpiliśmy do sądu z odpowiednim pismem. Wyznaczono nam termin rozprawy. Wieść o tym szybko się rozeszła, pojawiło się wielu dziennikarzy, bo to chyba była pierwsza taka sprawa ludzi Czerwca. Niestety, nikogo na salę nie wpuszczono, a sąd sprawę odrzucił. I to nie wszystko.

Proszę sobie wyobrazić, że dostaliśmy od sądu skierowanie na badania do ortopedy, żeby orzekł, czy nasze głowy są w porządku. Pod względem umysłowym. Sąd sobie z nas zakpił, zresztą tak oględnie wyraził się lekarz ortopeda, gdy zgłosiliśmy się na oddział ortopedyczny w szpitalu przy ul. Malczewskiego. Naprawdę! Dostaliśmy skierowanie do ortopedy. Można to sprawdzić; na pewno w archiwum sądowym leżą te zasuszone ziółka.

– Cóż ja mogę. – Lekarz rozłożył ręce. – Sąd kazał mi napisać opinię i ja muszę, bo zostanę ukarany.

Przedłożyliśmy to zaświadczenie lekarskie w prokuraturze, a prokurator zaczął nam ubliżać. Wtedy Michalski złapał go za krawat, nazwał „czerwonym pajakiem” i trochę się poszarpali. Zdzicho go wreszcie puścił i o dziwo, prokurator nie doniósł na niego na policję. Może kołatała się w nim odrobina sumienia.

Gdybyż to się skończyło, gdy prezydentem został nasz człowiek, Lech Wałęsa, ale się nie skończyło. Okazało się wkrótce, że wcale nie jest naszym człowiekiem.

W ogóle naiwność w ludziach duża wówczas panowała. A ja w naiwności przodowałem. Do tej pory miałem poczu-

cie, że moje życie upływa w cuchnącym baraku z przegniłą podłogą i zakratowanymi oknami, i oto mnie wyprowadzają na podwórze, które jeszcze nie jest uporządkowane; jakieś stare opony i złom się walają, ale widzę już bramę prowadzącą do lepszego świata. Ta brama udekorowana jest wieńcem uplecionym z róż i polnych kwiatów i idę zachwycony ku tej branie, bo wiem, że zaraz ją przestąpię. Wyobrażam sobie, że za nią rozciąga się piękna polana, a na niej kępy paproci, leśne kwiatki, a nad tym wszystkim fruwać kolorowe ptaki i motyle. No i przechodzę uszczęśliwiony i drżący przez tę bramę i co widzę: bajoro, wysypisko śmieci, a nad tym krążą chmary gawronów. Takie uczucie miałem po zderzeniu z wymiarem sprawiedliwości w 1994 r. Wtedy pojąłem, że ten Okrągły Stół to była jedna wielka lipa.

Akurat wtedy rozleciała się firma, w której pracowałem, ale miałem szczęście, bo znowu przyjął mnie szef firmy remontowo-budowlanej, ten sam, który mnie przygarmał w najtrudniejszych czasach. Przez rok remontowaliśmy Dom Kultury na Kościuszki należący do Zakładów Metalowych „Waltera”, wybudowany jeszcze przed wojną ze składek pracowników. Niestety, przyszły takie czasy, że fabryka musiała oddać ten budynek za długi. A tak się złożyło, że ja wraz z ekipą przerabialiśmy kulturę na bank. To było moje ostatnie miejsce pracy.

W roku 1995 przyznano mi rentę, bo zdrowie bardzo mi szwankowało. Kto przeszedł ścieżki zdrowia, zdrowie tracił już na zawsze.

U mnie stwierdzono przewlekłe, obturacyjne zapalenie płuc, nerwicę i zwyrodnienie kręgosłupa. Dostałem 600 zł

renty. Gdy skończyłem 65 lat, otrzymałem emeryturę w wysokości 800 zł. To było w 2009 r. Teraz już mi urosła do 1000 zł.

Lekarze

W międzyczasie miałem zawał i dwa wylewy. Dzięki wspaniałym lekarzom żyję; kazali mi schudnąć – schudłem, a ważyłem 130 kg. Kazali mi zmienić dietę, porzucić tłuste mięso i jeść warzywa – tak zrobiłem. Kazali dużo chodzić – chodzę.

Staralem się o dodatek pielęgnacyjny, bo taki mi się należał, jednak daremnie. Nie chodziło o duże pieniądze – ten zasiłek wynosił zaledwie 140 zł. Dla mnie i złotówka miała i ma wartość. A przecież ten zasiłek mi się należał!

Dlaczego mi nie przyznali? Bo nie. Taki kaprys miał jakiś urzędnik. Nie i już. Należy się, ale pan nie dostanie. I co by pani zrobiła na moim miejscu? Akurat w tym czasie marszałkiem sejmu została Ewa Kopacz. Nasz człowiek, pomyślałem, z naszego regionu, a co wydawało mi się najważniejsze – lekarz, więc najlepiej potrafi się wczuć w sytuację schorowanego człowieka. Pomyślałem, że kto jak kto, ale ona na pewno mi pomoże. I napisałem do niej pismo, że dostaję odznaczenia, medale, ale nie mam za co żyć, za co leków wykupić, a jestem ciężko chory. To było w roku 2013. Dostałem odmowną odpowiedź. I ja znowu napisałem. I znowu grzeczna odpowiedź, że pod zły adres piszę. A ja znowu napisałem i tak kilka razy. Chyba z pięć.

– Mam te pisma. – Pan Józef sięga do reklamówki z napisem „Biedronka”, tam przechowuje swój mały IPN, i wyjmuję dużą kopertę.

Oto list z najpóźniejszą datą:

Kancelaria Sejmu Warszawa, 2 kwietnia 2014
Biuro Korespondencji i Informacji
ul. Wiejska 4/6/8

Pan
Józef Włoskowicz
[...]
BKI-141-14484/14

Szanowny Panie,

w związku z kolejnym listem z dnia 20 marca 2014 r. nadesłanym do Marszałka Sejmu, który przez Gabinet Marszałka został przekazany do Biura Korespondencji i Informacji Kancelarii Sejmu, informujemy, że podtrzymujemy treść wyjaśnień udzielonych Panu w dotychczasowych pismach naszego Biura.

Ponownie pragniemy podkreślić, że Marszałek Sejmu może działać wyłącznie w granicach obowiązującego stanu prawnego, który nie przewiduje możliwości podejmowania interwencji w indywidualnych sprawach, zgłaszanych przez korespondentów. Atutem w sprawie nie jest wykształcenie Pani Marszałek, ponieważ nie jest ono związane ze sprawowaną funkcją.

W kontekście dotychczasowej korespondencji wyjaśnienia nasz prosimy traktować jako ostateczne.

Z poważaniem
Główny Specjalista
[...]

Pojąłem, że takie pisma o prywatnych sprawach od zwykłych obywateli nawet nie trafiają do rąk Marszałka Sejmu, ale ponieważ byłem zdesperowany i zrozpaczony, i koniecznie chciałem się przebić z moją sprawą do rąk pani marszałek Ewy Kopacz, napisałem jeszcze jeden list. Pomyślałem – no nie ma mowy, by takiego listu nie pokazano pani marszałek. A wtedy ona na pewno wykona telefon do naszych miejscowych urzędników i nakłoni ich do wykonywania swoich obowiązków. Napisałem, a raczej złożyłem taką obietnicą, że jeśli nie dostanę tego dodatku pielęgnacyjnego, to wezmę pięć litrów benzyny w kanister, pojadę do Warszawy pod sejm i się podpale. I cisza dłuższa zaplanowała. Oho, pomyślałem, wreszcie dotarła moja sprawa do pani marszałek i ona zadzwoni gdzie trzeba.

Czekam i czekam na odpowiedź, aż przyszła nagle, jak grom z czystego nieba, bo nie takiej oczekiwałem. Nocą zajechała pod dom policja, obudzili całą rodzinę, wyciągnęli mnie z łóżka i zawieźli do szpitala psychiatrycznego w Krychnowicach. Tłumaczyli mi, że to dla mojego dobra, że taki dostali rozkaz. Pomyślałem, trudno; przeżyłem ścieżki zdrowia za komuny, przeżyję i psychiatryk za wolnej Polski. Po dwóch tygodniach pozwolono mi zadzwonić do kogoś na wolności. Pierwszy telefon wykonałem do naszego szefa Stowarzyszenia Czerwiec '76 Stasia Kowalskiego i on narobił rwetusu; powiadomił prasę, telewizję. Oczywiście, nigdzie o tym nie napisali ani nie napomknęli. Najważniejsze, że efekt został osiągnięty, bo wypuścili mnie na wolność. Widocznie bali się, że w każdej chwili może to wypłynąć.

Dostałem, a właściwie wywalczyłem ten cholerny dodatek pielęgnacyjny, otrzymuję też specjalny dodatek w wysokości 400 zł dla najbiedniejszych Czerwcowych Ludzi. Otrzymałem też odszkodowanie w wysokości 10 tys. zł. Ja bym nie chciał żebrać o żadne dodatki specjalne, ani być tym najbiedniejszym, wołałbym po prostu otrzymywać przyzwoitą emeryturę, którą przecież wypracowałem. Pewnie, że nie mam wielu lat pracy, ale nie z mojej winy; zostałem za Czerwiec wyrzucony z zakładu z wilczym biletem. Więc ukarano nas, Czerwcowych Ludzi dubeltowo.

Najbardziej przykre, że przeprowadzili tę transformację w tak brutalny sposób. Na zasadzie byle zniszczyć. To boli, że młodzi ludzie uciekają z Radomia, pracy nie ma, a przecież w tym mieście tętnił przemysł.

Najważniejsze, żeby pamiętać o nas, o radomskich warchołach, że dzięki nam po raz pierwszy komuna zadrdzała i ustąpiła pod naszym naciskiem. Przecież odwołali te podwyżki, o które poszło. Zna pani to powiedzenie z tamtych czasów: żeby nie Ursus i Radom, jedlibyście chleb z marmoladą. Bez nas nie byłoby Sierpnia '80 i Solidarności i dalszej historii toczącej się w dobrą stronę.

Warcholskie życie

Tak uważam, że nasza historia, choć pod górkę, to w dobrą stronę zmierza, mimo że nie jest łatwe nasze warcholskie życie. Wie pan kto użył takiego określenia? Biskup Materski. Spotkałem się z nim, jakoś inaczej powinienem powiedzieć, nie „z nim”, może z ekscelencją, pani poprawi.

W radio radomskim nagrywano audycję z okazji 30. rocznicy Czerwca '76 i mnie Zbigniew Dziubasik, wiceprzewodniczący radomskiej Solidarności, wysłał na wywiad. Tam spotkałem bp. Materskiego. I proszę sobie wyobrazić, że rozmawiał ze mną o zwyczajnym, codziennym życiu kogoś takiego jak ja. Zupełnie jak nie biskup. Wtedy dowiedziałem się, że ta skopana przez milicjanta na komisariacie kobieta w ciąży przeżyła i urodziła zdrowego synka.

Nie czuję się jeszcze wygrany. Jeszcze nie. Tylko przez chwilę miałem poczucie zwycięstwa, w czerwcu '76, gdy siedziałem w radomskim więzieniu i przeniknęła do nas przez mury wiadomość, że odwołano podwyżki. Wtedy komuna po raz pierwszy zrobiła krok w tył. Niestety, oni są wciąż silniejsi, potężniejsi.

Oni – ci co nas bili i ci, którzy wydawali rozkazy, by nas bić. Bardzo konkretni ludzie. Dali mi nauczkę, więc nie wymienię ich z nazwiska. Oni są groźni dlatego, że byli zepsuci, po prostu źli do szpiku kości, a zepsuto ich jeszcze bardziej, bo zamiast kary, spotkała ich nagroda. Mają za dużo do stracenia. Myślałem, że można już o nich głośno mówić, okazało się, że nie można.

Bez nazwisk mogę opowiedzieć o pewnym wydarzeniu. Nie pamiętam dokładnej daty, ani nawet roku, ale na pewno w tym czasie na czele Instytutu Pamięci Narodowej stał śp. Janusz Kurtyka.

Wracałem autobusem do domu, gdy otrzymałem telefon. Ten ktoś, nie przedstawiając się, zapytał, o której będę w domu. Odruchowo odpowiedziałem. Każdy by powiedział. A może nie? Wsiadłem z autobusu i jakiś samochód o nie-

znanych numerach potrącił moją żonę, która akurat szła poboczem do sklepu. Została wepchnięta do rowu, zabrało ją pogotowie. Na szczęście nie miała poważniejszych obrażeń, złamań, szybko opuściła szpital. Przyjechała oczywiście policja i sprawdzono ten samochód, bo ktoś nawet zdążył spisać numery. Niestety tablice okazały się fałszywe.

Cel został osiągnięty: boję się. Nie tyle o siebie, ile o moich bliskich. Można to tłumaczyć zwykłym zbiegiem okoliczności, a ja swoje wiem. Oni dali mi znać, że są wciąż groźni i potężni. Dlatego żadnych nazwisk. Ja się tylko dziwię, że zachowują się, jakby byli nieśmiertelni. A przecież to już są starsi ludzie. W takim wieku człowiek zastanawia się nad swoim życiem, co zrobił źle, co dobrze i myśli, co go tam czeka po drugiej stronie. Wiem, bo sam już jestem starszym człowiekiem.

Mam jedyne go syna Marcina, który mieszka z nami do tej pory wraz z żoną i z wnuczkami: dwunastoletnią Weroniką i dziewięcioletnią Agatką. Dom duży, mieścimy się swobodnie. Szkoda, że syn ani synowa pracy stałej nie mają, od czasu do czasu okazyjnie jakiś zarobek im się trafi. Dlatego martwię się o wnuczki.

BRAT

Zima 2016

KRYSTYNA, EWA, MATYLDA

Za oknem mróz, a ja wraz z panią Krystyną, panią Ewą i licealistką Matyldą siedzę w ciepłym mieszkaniu na czwartym piętrze w bloku na osiedlu Gołębiów. W dużym pokoju jest idealnie czysto i wszystko do siebie pasuje, nie ma nadmiaru mebli ani zbędnych przedmiotów do ozdoby, które lubią gromadzić starsze panie. Szukam bałaganu, za który przeproszała pani Krystyna, gdy weszłam do przedpokoju, „bo dopiero wróciłam z Lublina i nie zdążyłam posprzątać”. Tłumaczy, że kilka miesięcy w roku opiekuje się dziećmi młodszej córki, która wykłada na lubelskiej uczelni.

MATYLDA

Jest wnuczką pani Krystyny i uczennicą liceum plastycznego. Trafiłam tu dzięki niej, a właściwie dzięki jej pracy wysłanej na konkurs historyczny ogłoszony przez Delegaturę Instytutu Pamięci Narodowej w Radomiu pod hasłem „Czerwiec 1976 w pamięci moich bliskich”.

Spisała historię swojej rodziny, której głównym bohaterem jest Stanisław Nowakowski – brat jej babci Krystyny. Za ten pomysł i włożony w jego realizację wysiłek powinno ją spotkać w życiu wiele dobrych rzeczy, czego jej życzę z całego serca. Nie odwróciła się od przeszłości, od historii, więc nigdy nie utraci zdolności odróżniania dobra od zła. Matylda z uwagą po raz kolejny wysłuchuje wspomnień babci i matki.

PANI KRYSTYNA

Jest babcią Matyldy, matką Ewy i siostrą Stanisława. W 1976 r. miała 34 lata.

PANI EWA

Jest córką pani Krystyny i matką Matyldy. W 1976 r. miała 10 lat.

STANISŁAW NOWAKOWSKI

Jest młodszym bratem pani Krystyny. W 1976 r. miał 28 lat. On jest bohaterem tej opowieści.

PANI KRYSTYNA

Niestety, nie mam żadnych dokumentów. Wszystko przepadło. A było tego tyle – pokazuje odległość między rozdzielonymi dłońmi, żebym miała wyobrażenie, ile zgromadziła tych dokumentów. Zaniosiłam je do siedziby Solidarności. Pomyślałam, że tam jest ich miejsce, tam zostaną przechowane najstaranniej, i że kiedyś jakiś historyk pochyli się nad nimi, opracuje je i sprawa mojego brata ujrzy światło.

Wybrałam fatalną datę – 11 grudnia 1981 r., dwa dni przed wprowadzeniem stanu wojennego. Przyszli, zabrali, przepadło. Zostały fotografie.

PANI EWA

Wstaje i z szuflady komody wyjmuje album w płóciennnej oprawie. Oglądamy czarno-białą, znieruchomiałą przeszłość. Na zdjęciu grupka kumpli z podwórka przysiadła pod drzewem. Każdy z nich założył ramiona na barki najbliższego kolegi. Wszyscy uśmiechają się do obiektywu, widać ich białe zęby. Są ubrani w koszule w kratę, a ich grzywki zaczesane na prawy bok opadają na czoło. Chłopcy mają po około 20 lat. Drugi od prawej to Stasio. Ładny chłopak.

Na kolejnym zdjęciu widać tłum ludzi, chorągwie, figury świętych wsparte na ramionach mężczyzn, dzieci w równych szeregach, a ten mały chłopiec w komeżce to Stasio. To zapewne procesja Bożego Ciała na ulicach miasta.

A tu pielgrzymka do Częstochowy – moi dziadkowie, Stasio, czyli mój wujek, kiedy był małym chłopcem. Przez wiele lat służył do mszy w kościele św. Jana.

W ogóle dobry człowiek, kochany wujek. Zabierał mnie ze sobą do parku, gdy w muszli odbywały się jakieś występy, albo nad zalew latem. Zapamiętałam wyścig kolarski na ulicach miasta.

Był bardzo opiekuńczy, chętnie zajmował się nami, to znaczy moim starszym bratem Jurkiem i młodszą siostrą Edytą. Nie byłam już taka mała i dobrze go zapamiętałam.

PANI KRYSTYNA

Na starej fotografii wskazuje mężczyznę w górnym rzędzie. Zostali na niej uwiecznieni poważni uczniowie z nauczycielami i księdzem.

– Mój tata. Był polonistą i przed wojną uczył w radomskich szkołach, a podczas okupacji prowadził tajne nauczanie. Założył też grupę teatralną, oczywiście tajną, gdzie i reżyserował, i grał. O tu, na tej fotografii jest cała trupa teatralna w trakcie jakiegoś poczęstunku, zapewne już po spektaklu – tata, aktorzy i jakaś zakonnica. Nie wiem, czy występowała, czy była widzom.

Niestety tata zmarł, bo ciężko zachorował na wiosnę 1946 r. Po wojnie brakowało leków, a wtedy nawet najlepszy lekarz nic nie poradzi. Dla rodziny oznaczało to rozpacz i cios. W lipcu mieliśmy wyjechać do Gdyni. Tata od września miał objąć tam posadę dyrektora szkoły. Czekало na nas służbowe mieszkanie. Miałam wtedy 3 lata, moja starsza siostra siedem, a Stasio dopiero 3 miesiące. Życie nam się zawaliło. Mama nigdy nie pracowała, a tu do wykarmienia troje dzieci. Przez półtora roku żyliśmy z książek. To znaczy mama sprzedawała znajomym taty co cenniejsze pozycje z jego bogatej biblioteki, a później musiała iść do pracy. Teść mojej mamy, Józef, proponował jej, żeby przeprowadziła się ze Słowackiego do jego mieszkania na Koszarowej. Chciał jej pomóc. Gdy szukała pracy, a później pracowała, opiekował się nami, zaprowadzał do żłobka, do przedszkola, gotował. Niestety zmarł po dwóch latach.

Później się okazało, że ta Koszarowa jest złą ulicą. Nie dość, że czasy złe nastały, to jeszcze ulica. Mieszkał tu tzw. element: pijacy, awanturnicy, złodziejaski. Oczywiście

ście nie wszyscy. Tak pół na pół. My tam nie pasowaliśmy. Moja mama była osobą głęboko religijną, codziennie wszyscy odmawialiśmy głośno różaniec i niektórzy sąsiedzi dokuczali nam, że jesteśmy dewotami. Mój ojciec pochodził z ziemiańskiej rodziny, która wywodziła się z Jedlni. Dziadek mojego ojca walczył w powstaniu styczniowym. Stare dzieje. Dla wielu ludzi Czerwiec '76 to również stare dzieje, ale nie dla mnie.

Śmierć mojego brata miała ściśle związek ze śmiercią Jana Brożyny. O Brożynie było głośno, o moim bracie cicho. Wszyscy wiedzieli, jak zginął Brożyna. O tym rozmawiało się z ludźmi w pracy, z sąsiadami, przecież byli świadkowie.

To było tak: Brożyna stał z kolegą na przystanku zwanym „Okęcie”, czyli na końcowym dla podmiejskich autobusów w pobliżu domu towarowego Senior. Działo się to na oczach wielu ludzi, 29 czerwca 1976 r. Późno, ale było widno, bo w czerwcu są najdłuższe dni, Brożyna czekał z kolegą na „Agatkę” – tak nazywano autobus, który kursował do Jedlińska i z powrotem. Pochodził z Jedlińska i zapewne tego dnia chciał odwiedzić rodzinę. A może tylko stał z kolegą z Jedlińska, spotkał go i czekał aż podjedzie „Agatka”? Raczej to drugie, bo później żona nie wiedziała, gdzie się podział, gdzie go szukać. Gdyby miał zamiar jechać do Jedlińska, powiedziałyby jej – to było młode, kochające się małżeństwo. Niestety, zanim podjechał autobus, pojawiła się „suka”. Wyskoczyło z niej dwóch funkcjonariuszy, spalowali Jana Brożynę, a następnie wrzucili do samochodu i zawieźli ponoć na izbę wytrzeźwień. Tak zeznawali milicjanci.

Fakty zaś były takie, że w nocy z 29 na 30 czerwca z radiowozu wyrzucili młodego mężczyznę pod naszą kamie-

nicę na ul. Koszarowej. Widzieli to dwaj świadkowie: Wiesława Skórkiewicz zwana Wierą, która wstała około północy, by nakarmić niemowlę. Gdy usłyszała podjeżdżający pod kamienicę samochód, podeszła do okna i zobaczyła, jak z „suki” wyrzucają bezwładne ciało mężczyzny. Zapaliła papierosa i obserwowała ulicę z góry, z pierwszego piętra. Mężczyzna leżał bez ruchu. Po chwili przyjechała druga „suka”. Wskoczyli z niej milicjanci i zaczęli okładać leżącego i nieprzytomnego pałami, kopać go i szarpać. Później się okazało, że to był Jan Brożyna. A może już wtedy nie żył? Stojąca w oknie kobieta skończyła palić akurat wtedy, gdy przestali go okładać pałami, chwycili za ręce, za nogi i wrzucili do nyski. Odjechali, nie zamykając drzwi, bo nie-szczęśnikowi wystawały nogi. To samo widział pan Jarząbek z parteru. Niestety nie żyje. Ze świadków tamtej tragedii żyje jeszcze Wiera.

Ja wtedy już nie mieszkalam na Koszarowej. Przeprowadziłam się wcześniej z dziećmi i mężem na ul. Czachowskiego. Na Koszarowej nadal mieszkała moja mama wraz ze Staszkiem. A on tej koszmarnej nocy spał u mnie na Czachowskiego, ponieważ my, to znaczy ja z mężem i dziećmi, wyjeżdżaliśmy na początku lipca na wczasy nad morze, a Staszek w tym czasie miał przeprowadzić remont mieszkania. Przyszedł wcześniej, żeby pomóc mężowi poprzesuwać meble.

Wiem, co działo się na Koszarowej, bo tam mieszkała moja mama, a ja codziennie zaprowadzałam do niej dzieci i rozmawiałam z sąsiadkami. Tam się wychowałam, a w tych dniach o niczym innym nie rozprawiano.

Jana Brożyny nie znałam. Nikt go nie znał na Koszarowej. Później się okazało, że mieszkał niedaleko, na Warzywnej.

Gdy Jan Brożyna nie wrócił na noc, zaniepokojona żona od rana rozpoczęła poszukiwania. Obeszła wszystkie komyndy i wszędzie słyszała to samo: nie ma tu takiego, nie wiemy, co się z nim dzieje. W szpitalu lekarz dyżurny oznajmił, że nie przywieziono nikogo w nocy z 29 na 30 czerwca. Dopiero salowa, która słyszała rozmowę z lekarzem, zagadnęła ją, gdy nikt ich nie widział, zaprowadziła do magazynu i pokazała zakrwawione ubranie męża. Obydwie płakały w tym magazynku; salowa płakała, że wciąż przywożą strasznie pobitych młodych ludzi, a pani Brożynowa wiadomo. Następnego dnia pani Janina Brożyna udała się na Komendę Wojewódzką z informacją, że odnalazła męża i co oni na to. Natychmiast przedstawiono jej taką oto wersję: patrol milicyjny znalazł pijanego męża na ul. Koszarowej, zabrali go na izbę wytrzeźwień, a kiedy nie odzyskał przytomności, zawieźli do szpitala, gdzie zmarł. Sprawcy nieznani.

Zrozpaczona młoda wdowa – ile ona mogła mieć wtedy lat: 24, 25 – więc ta nieszczęsna wdowa wybrała się na Koszarową i zaczęła rozpytywać, po prostu prowadziła własne śledztwo. I Wiesława Skórkiewicz opowiedziała jej scenę, którą obserwowała przez okno tamtej nocy. Nawet ją spisała i podpisała, a pani Janina udała się z wynikami swojego śledztwa na komendę.

Nie przypuszczała, że rozpęta piekło. Ta sprawa stała się głośna, o śmierci Brożyny mówiono na mieście, w rozgłosni Radia Wolna Europa, pisał o niej KOR.

W tej sytuacji Służba Bezpieczeństwa zajęła się stworzeniem własnej wersji wydarzeń. Gdyby tylko sobie wymyślili i ogłosili tę historię rodem z kosmosu, jakich wiele wymyślali, każdy machnąłby ręką i na tym by się skończyło. Niestety. Zrobili coś koszmarnego. Nie dość, że zamordowali niewinnego człowieka, to jeszcze zmarnowali, złamali życie kilku innym osobom. I kilku rodzinom. Aresztowali Wiesławę Skórkiewicz nazywaną na Koszarowej Wierę, Romana Piaseckiego oraz mojego brata Stanisława Nowakowskiego. Widocznie tak musieli przemaglować, przestraszyć Wierę, czyli tą, która pałac papierosa w oknie, wszystko widziała, że zmieniała zeznania i powtórzyła nieprawdopodobną historię wymyśloną przez esbeckie mózgi.

Pani Krystyna otwiera papierową teczkę, która leży przed nią na stoliku.

– Tu mam skserowane niektóre dokumenty z IPN-u. Ma pani życzenie przejrzeć?

AIPN Ra, 04/46/3, Plan śledztwa w sprawie śmierci Jana Brożyny, 15 I 1977 r.

k. 164

Wydział Dochodzeniowo-Śledczy zapewnia, że przygotowuje 11 cel w Areszcie KW MO z operacyjnym zabezpieczeniem osobowymi.

Zatrzymani w areszcie mają operacyjne zabezpieczenie osobowymi źródłami informacji.

Stanisław Nowakowski w celi nr 11 – tw. „Cypis”.

Owo „zabezpieczenie” polegało więc na tym, że w każdej celi umieszczono tajnego współpracownika SB.

k. 176

Pismo do ministra sprawiedliwości tow. gen. brygady
Stanisława Kowalczyka

dot. śmierci Jana Brożyna

Grupa antysocjalistyczna (tzw. gracze) rozpowszechniała w kraju i za granicą fałszywą wiadomość, jakoby Jana Brożynę zabili funkcjonariusze MO.

płk. Z. Knyziak

k. 178

Zeznania Wiesławy Skórkiewicz:

Roman Piasecki, Stanisław Nowakowski i Jan Brożyna powrócili do jej mieszkania o godz. 1 w nocy 30 czerwca [19]76 r. Jan Brożyna usiłował odbyć stosunek płciowy z Wiesławą Skórkiewicz, która zdenerwowała się takim zachowaniem. W trakcie szamotaniny Wiesławy z Brożyną Roman Piasecki otworzył okno w kuchni na ulicę. Następnie mrugnął porozumiewawczo do Wiesławy i ta postanowiła wypchnąć Brożynę przez okno. Ona „pod kolana”, a Piasecki „wpół” i go wypchnęli z I piętra. Po zdarzeniu Piasecki i Nowakowski udali się, by obejrzyć zwłoki Brożyny, a Wiesława Skórkiewicz poszła spać. Po ok[óło] pół godzinie usłyszała radiowóz i przez okno widziała, jak funkcjonariusze wciągają leżącego do samochodu Warszawa oznakowanego MO.

Na drugi dzień opowiadała do sąsiadek, że widziała jak funkcjonariusze bili Brożynę. Prawdopodobnie 7 lipca przysłała do Wiesławy pani Janina Brożyna i wręczała jej pieniądze. Bywali też z KOR – raz 2000 zł i dwa razy po 3000 zł wręczył „Zbyszek”.

„Zbyszek” – pokazać zdjęcie Zbigniewa Romaszewskiego.

– Dlaczego Wiesława Skórkiewicz złożyła fałszywe zeznania? – pytam, odkładając kartki.

– Oczywiście rozmawiałam z nią, bo ona mieszka na sąsiednim osiedlu, otrzymała lokal z magistratu, bo kamienicy na Koszarowej już nie ma. No cóż, żałuje, ale się załamała. Bili ją, bardzo ją bili, złamali nos. Dlaczego akurat Nowakowski i Piasecki? Sama nie wie, czy ona ich wymyśliła, czy oni jej podpowiedzieli. Jak mało kto, życie swoje zmarnowała.

PANI EWA

Sekcja zwłok przeprowadzona przez doktora Fundowicza, prawego człowieka, świadczyła o prawdziwej przyczynie zgonu Brożyny: obrażenia wskazywały, że ofiara została pobita „długim, płaskim narzędziem i wielokrotnie kopana twardym butem”, a nie wyrzucona z okna. Nie wycofał się z tej opinii, mimo przesłuchań w sądzie. Jestem przekonana, że go zastraszali. Dla mnie to bohater. A i tak później znaleźli eksperta w Krakowie, który podważył opinię doktora Fundowicza i sporządził fałszywą ekspertyzę.

Albo włosy. Brożyna miał nierówno wystrzyżone, a właściwie wystrzępione włosy. W jakim celu ci uczestnicy libacji

mieliby to zrobić? Nie mieli pojęcia, że tak postępuje milicja z zatrzymanymi ludźmi po wydarzeniach czerwcowych, bo jeszcze nikogo nie wypuszczono z więzienia 22 czerwca 1976 r. Czyżby podczas spadania głowa otarła mu się tak mocno o mur kamienicy, że nastąpiło wystrzępienie włosów? Zresztą jego ciało z każdej strony zostało obite. Takie obrażenia nie powstają podczas upadku.

PANI KRYSTYNA

Bratu nie przyszło do głowy, że jego osobę mogą połączyć ze sprawą Brożyny. Już prawie zapomnieliśmy o tym tragicznym wydarzeniu, życie toczyło się dalej. Pamiętam dobrze dzień moich imienin, 13 marca 1977 r. Od śmierci Jana Brożyny upłynął prawie rok. Pamiętam, że Staszek przyszedł z czerwonymi goździkami, pogodny jak zwykle, i złożył mi życzenia. Żartował, przekomarzał się z dziećmi. Nic nie podejrzewał. Żadnego, nawet najmarniejszego przeczucia. Nic. A za niecałe dwa tygodnie, tzn. 25 marca, aresztowali go i zawieźli do Warszawy na Rakowiecką.

Wersja wymyślona przez esbeków zaważyła tragicznie na realnym życiu wielu osób. Na przykład koleżanka mojego męża z pracy powiedziała, że jej znajomy stał na przystanku, gdy milicjanci schwytali Brożynę na „Okęciu” i wepchnęli do radiowozu. Mąż zapytał, czy zgodziłby się świadczyć w tej sprawie, bo pomógłby wielu niewinnym ludziom. I on się zgodził. Przyszedł do nas do domu, a potem sam zgłosił się na milicję, żeby złożyć zeznanie i był gotów zeznawać w sądzie. Po kilku dniach nie żył. To wydarzyło się latem 1977 r. Utopił się w stawie w Jedlni, gdzie mieszkał i skąd

dojeżdżał do pracy. Nie pamiętam, jak się nazywał. Takich ofiar, o których nikt nie wie oprócz rodziny i przyjaciół, jest na pewno więcej. Byliśmy przerażeni.

Za nami, to znaczy za mną, za moim mężem i mamą ktoś chodził w krok w krok. Aresztowano siostrę Piaseckiego – Hanke, ponieważ nawiązała kontakt z KOR-em. Strach rósł z każdym dniem. Pewnego poranka przyjechali po mnie do pracy i zawieźli radiowozem na komendę. Nogi się pode mną ugięły, gdy zobaczyłam tam moją mamę, pod której opieką zostawiłam dziewczynki. Edytka była wtedy bardzo chora, miała wysoką gorączkę. Zobaczyłam też mojego męża. Oczywiście przesłuchiwali nas w osobnych pokojach. Specjalnie pokazali nas sobie, by wzmóc strach i to im się udało. Robiło mi się słabo, bo zabrali mnie z samego rana, nie zdążyłam zjeść śniadania, a trzymali mnie do późnej nocy. Nie wiedziałam, czy w ogóle wyjdę. Powtarzałam w kółko to samo: że brat nocował tej zgubnej nocy u mnie na Czachowskiego i nie miał nic wspólnego ze śmiercią Brożyny. A oni mnie straszili w coraz wymyślniejszy sposób. To był koniec świata.

– Jeśli pani nie będzie zeznawała, jak my sobie życzymy, to pani pożałuje. Możemy odebrać pani dzieci i wysłać do domu dziecka. Możemy wszystko. Może pani przytrafić się coś złego, wypadki chodzą po ludziach. Może potrafić panią albo dziecko, albo męża samochód. Niech pani nie będzie głupia, niech pani powie prawdę, że brat tam był.

Zaprzeczałam. Tłumaczyłam, że mój brat nigdy nikogo nie skrzywdził, że to dobry chłopak. Przesłuchiwało mnie kilku mężczyzn na zmianę. Wreszcie przyjechał ktoś waż-

ny, chyba z Warszawy, i znowu te same pytanie i te same odpowiedzi. A prawdę mówiąc, byłam tak wyczerpana, że nie pamiętam, o czym mówiłam tej nocy, o co mnie pytali. Koniec świata. Wreszcie mnie zwolnili. Czekał na mnie mąż, żebym sama nie wracała do domu.

Nękanie wciąż trwało. Mąż dostał po kilku dniach anonim. Zapamiętałam takie zdanie: „Nie szum, nie podskakuj, bo skończysz jak Żydzi w piecu”. Tę kartkę od razu podarłam, paliła mnie w dłoń. Podarłam na maczek, wyrzuciłam.

A mój mąż zginął w wypadku samochodowym, to znaczy najechał go samochód w 1988 r. Nie wiem jednak, czy to miało jakiś związek ze sprawą Staszka. Wie pani, co było najgorsze? Mieliśmy szpiega w kręgu najbliższych znajomych, z którymi prawie codziennie się spotykaliśmy. To była Ewa Soból, narzeczona Romka Piaseckiego, która współpracowała ze Służbą Bezpieczeństwa. Romka zamknęli, Stasia zamknęli, więc wciąż się o tym rozmawiało jako o największej bolączce. Do głowy nikomu nie przyszło, że ona biegnie, żeby zanieść każde nasze słowo do swojego oficera prowadzącego.

PANI EWA

Pamiętam ją. To była ładna, atrakcyjna dziewczyna. Blondynka, długie włosy, króciutkie mini, zgrabne nogi, mogła je pokazywać. Zresztą nie dziewczyna, bo miała dwoje małych dzieci, chyba rozwódka. Romek bardzo był w niej zakochany, chciał się żenić. Co on musiał przeżyć, gdy dowiedział się, że jego ukochana jest tajnym współpracownikiem.

PANI KRYSTYNA

Gdy zabierali mnie na komendę, sprawiali wrażenie, że potrafią czytać w moich myślach, znają moje plany. Na przykład miałam zamiar jechać do Warszawy do KOR-u, żeby się poradzić kogoś mądrego, i rozmawiałam o tym na podwórku na Koszarowej i po kilku godzinach już byli u mnie esbecy. Chciałam wynająć adwokata, a jeden esbek wzywa mnie i mówi:

– Nigdzie nie łązić, nie szukać sprawiedliwości, bo na całym pani życiu to się odbije. Dzieci na studia się nie dostaną, możemy sprawić, że męża z pracy zwolnią albo panią. A może ktoś wbić ci pod żebro nóż w ciemnej ulicy.

Długo nie potrafiłam skojarzyć tego esbeckiego jasnowidzenia z donosami Ewki Soból, pseudonim „Karol”. Nasze życie przesycone było nieustannym lękiem. Czuliśmy się jak spłoszone ptaszki. Pewnego razu jeden z przesłuchujących rzucił w moją stronę, niby mimochodem, notując coś w zeszycie:

– Jesteście w pułapce, z której nie wyjdziecie.

Ci ludzie mieli mózgi wypłukane z zasad i wszelkiej wrażliwości.

Aresztowali siostrę Romka, Hankę Ostrowską, i zawieźli na Rakowiecką, bo utrzymywała kontakty z KOR-em. Straszne rzeczy tam przeszła. Staszek prosił mnie, żebym unikała kontaktów z KOR-em, żebym nie narażała siebie i najbliższych. Wzięłam adwokata z Radomia, pana Suwałę, ale minimalnie angażował się w obronę brata. Tłumaczył, że ma żonę, dzieci, żeby go zrozumieć. Nawet pojechał do Warszawy na widzenie ze Staszkiem. Niestety rozmawiał z nim tylko chwilę.

PANI EWA

Pewnego razu, wczesną wiosną lub późną jesienią (pamiętam, w co byłam ubrana – kurtka, czapka), wybrałyśmy się z babcią do więzienia, ponieważ mamie nie chcieli dać zezwolenia na widzenie.

Miałam 11 lat i wszystko sobie przypominam. Pojechaliśmy pociągiem, a potem tramwajem. W więzieniu kazano nam się rozebrać w takim pomieszczeniu z szafkami, gdzie schowałyśmy nasze wierzchnie ubranie, a później nas zrewidowano. W sali widzeń usiadłyśmy za stołem, a po chwili przyprowadzono Staszka. Obok stał strażnik i przysłuchiwał się naszej rozmowie. Staszek prosił o przekazanie Krysi, czyli mojej mamie, żeby nie zmieniała adwokata i nigdzie nie chodziła w jego sprawie, i nie szukała pomocy, bo może sobie zaszkodzić. I żeby do nikogo nie jeździła. Rozumieliśmy, że ma na myśli KOR. A co się jemu stało, to się stało. I niech przy nim całe to zło pozostanie, nie chce, żeby przeszło na ludzi, których kocha. Zapewniał, że nie dopuścił się tej zbrodni, żeby mu mama, czyli moja babcia, uwierzyła i była spokojna.

PANI KRYSZYNA

– Może zechciałaby pani spojrzeć na listy z więzienia? Niektóre się zachowały. – Pani Krystyna otwiera jedną szufladę w komodzie, potem drugą i wyjmuję kilka kartek zapisanych ładnym, okrągłym pismem z przybitą pieczętką „ocenzurowane”.

Oto fragmenty dwóch listów: jeden z 19 lutego 1977 r., adresowany do matki, a drugi z 27 marca 1977 r. do siostry, czyli pani Krystyny.

Kochana Mamo[!]

Bardzo Was przepraszam za swoje milczenie. Nie pisałem, ponieważ myślałem, że będę się widzieć z Wami w sądzie już 14 lutego, ale nic z tego nie wyszło. Może nawet nie wiecie, że ja byłem w Radomiu, tylko nie w sądzie, ale na komendzie i do sądu mnie nie dowieźli. Przykro mi się zrobiło, że się nie zobaczyłem z Wami, ale to nie moja wina. [...] Co do talonów, to nie wziąłem, bo nie chcę Was obciążać dodatkowymi wydatkami. I tak mi bardzo dużo pieniędzy daliście. Był u mnie adwokat, pogadaliśmy trochę i jestem trochę spokojniejszy. Okazało się, że nawet nie wiedział, że ja byłem w Radomiu. Ale to nic, przeżyję i to. Może gdy ten list czytać będziecie, będzie już po wszystkim. Ciekaw jestem, jak wypadnie Izy ślub. Nie zdążę przesłać jej życzeń z okazji Jej ślubu. Życzę Im wszelkiej pomyślności [...]. Wierzę, że przy Ich pracowitości i oszczędności wiele w życiu osiągną. Martwię się tylko o wasze zdrowie, a zwłaszcza o Twoje Mamusi. [...] Staraj się jak najmniej martwić o mnie. Jakoś to wszystko się ułoży. Nie chcę teraz nic obiecywać, czy zapewniać, ale mam pewne plany [...], pewne zobowiązania wobec Was, które chcę zrealizować, a tym samym obiecuję, że po wyjściu nie będziecie się za mnie wstydzić ani też nie będę przysparzał Wam swoim postępowaniem żadnych kłopotów ani zmartwień. Na tym kończę, przesyłam pozdrowienia dla wszystkich.

Twój syn Staszek

Kochana Siostr[o!]

Dziękuję bardzo za przyjazd do mnie na widzenie. Nie przypuszczałem, że przed świętami spotka mnie taka przyjemność. Od razu mi się zrobiło lżej na duszy i poczułem się zdrowszy, bo od tego wyjazdu do Radomia do tej pory nie czuję się dobrze. Nic właściwie mnie nie boli, a gorączka jest. Widzenie miałem dobre, bo przy stoliku, ale w obecności anioła stróża. Ewa Twoja jest wspaniałą dziewczynką. Zwróć uwagę mamie, że widzenie każde jest ściśle ograniczone i tu nie można [...] rozmawiać z obcymi. Przepraszam Was bardzo, że nie przesłałem żadnych życzeń świątecznych, ale dlatego, że tu nie mają żadnych kart świątecznych. Na sprawę mnie nie wzięli chyba ze względu na stan zdrowia, bo to lekarz decyduje w takich sprawach. Krysiu, mam do Ciebie prośbę, powiedz Izie, [...] niech nie przysyła mi pieniędzy [...] Wystarczy mi to, co mi mamusia przyśle.

Twój brat Staszek

Odkładałam listy z wyblakłym pismem, ze zanikającymi literami, a nawet całymi wyrazami.

PANI KRYSTYNA

I zaczął się proces w radomskim sądzie w sprawie śmierci Jana Brożyny. Pamiętam, że pierwsza sprawa odbyła się ostatniego lutego 1978 r., a potem następne. Upłynęło sporo czasu od aresztowania. Wiesława Skórkiewicz „Wiera” przedstawiła przebieg wydarzeń wymyślony przez śled-

czych. Jestem tego pewna. Mówiła automatycznie, jakby wyuczyła się tekstu na pamięć:

– W moim mieszkaniu odbyła się nocna libacja z udziałem Piaseckiego i Nowakowskiego, w której uczestniczył nieznany mi Brożyna. W wyniku kłótni i bójki wyrzuciłam wraz z Piaseckim Jana Brożynę przez okno.

Musiała być do tego stopnia zastraszona, że sama się oskarżyła, a przy okazji Piaseckiego, który wciąż utrzymywał, że go nie było tej nocy u niej i w ogóle u niej nie był, ani jego dobry kolega Staszek Nowakowski, ponieważ obrać się w innym towarzystwie, a po drugie niepijącym.

Mój brat, który załamał się w areszcie i potwierdził wersję wymyśloną przez esbeków, na sali sądowej odwołał te zeznania. Wielkie i nieprzyjemne było zaskoczenie prokuratury, sądu, a nawet adwokata, kiedy postanowił powiedzieć prawdę:

– Nie było mnie tam. Ani Romka Piaseckiego. Nie było też żadnej libacji, nie mam pojęcia, dlaczego Wiesława Skórkiewicz kłamie. Do fałszywych zeznań zmusili mnie przez bicie w areszcie na Rakowieckiej. Zeznania te zmyśliłem, chciałem mieć spokój, to zmyśliłem.

W tym procesie ostatecznie skazano Skórkiewicz i Piaseckiego za udział w bójce ze skutkiem śmiertelnym, a Staszek został wyłączony do odrębnego postępowania za nieudzielenie pomocy oraz kradzież jakiegoś zegarka sprzed kilku lat. Na tej sprawie obserwatorem był Zbigniew Romaszewski, a obrońcą Romka Piaseckiego mecenas Władysław Siła-Nowicki, który logicznie wykazał cały absurd oskarżenia. Po jego wystąpieniu widziałam, że Wiera jest bliska zała-

mania i sąd ogłosił przerwę, bo chciał zapobiec temu, by i ona zaczęła mówić prawdę. Kiedy wróciła po przerwie, cały czas miała spuszczoną głowę i nie odpowiedziała na żadne pytanie. Nie wyjaśniła powodu swojego samooskarżenia.

Prokuratorowi i sądowi chodziło o jedno – by wykazać niewinność funkcjonariuszy Milicji Obywatelskiej. Żadne fakty się nie liczyły, najważniejsze, by na milicjantach nie pozostał cień podejrzenia, że zakatowali niewinnego człowieka, ojca dwóch małych córeczek. Zapadły wyroki: Wiesław Skórkiewicz „Wierę” skazano na 5 lat więzienia, Romka Piaseckiego na osiem, a Staszek miał czekać w więzieniu na swój proces.

Upłynęło zaledwie pięć dni od rozprawy, na której odwołał swoje zeznania ze śledztwa – odwieźli go 12 maja na Rakowiecką, a 17 maja zmarł.

Są dwie wersje na temat przyczyny jego śmierci: oficjalna i nieoficjalna.

Oficjalna jest taka, że nagle ciężko zachorował, przewieźli go do szpitala w stanie agonalnym i zmarł. Taka wersja poszła w świat. I tak zostało. Nigdzie pani nie znajdzie w żadnym opracowaniu, w żadnym wspomnieniu, że mój brat jest jedną z ofiar Czerwca. Co im się nie udało ze sprawą śmierci ks. Kotlarza i Brożyny, udało się ze śmiercią Staszka. Poszedł przekaz, że biedaczyna zachorował i umarł. Ukryli to zabójstwo w cieniu śmierci Jana Brożyny.

PANI EWA

A sanktuarium w Kałkowie? Zaraz poszukam. Przewraca karty albumu, szeleszczą cieniutkie bibułki oddzielające

fotografie. Jest. Kładzie na ławie zdjęcie z nazwiskami wyrytymi w białym kamieniu. Zapewne w piaskowcu. U góry widnieje napis:

W hołdzie ludziom, którzy tworzyli Ethos Solidarności

ks. Roman Kotlarz

Jacek Jerz

Jan Brożyna

Jan Łabęcki

Zbigniew Gawęda

Stanisław Nowakowski

Tadeusz Ząbecki.

PANI KRYSZYNA

Zawieźli mnie tam Ewa z zięciem. Jak tam pięknie! Kościół Matki Boskiej Bolesnej wzniesiono na stokach Łysicy, a w pobliżu Golgotę Wschodu – pomnik Polaków zamęczonych w XX w. To taka dziwna budowla – zlepek komnat, komór, nisz, grot, a każda ma upamiętniać jakieś ważne wydarzenie z najnowszych dziejów Polski. Jedna z nisz jest poświęcona wszystkim strajkom z czasów PRL, w tym naszemu radomskiemu Czerwcowi. Czuję wielką wdzięczność dla pomysłodawcy i nisko mu się kłaniam, bo przecież musiał się natrudzić, żeby odkryć to, co miało być zapomniane i ujawnić ofiary zamordowane przez aparat bezpieczeństwa.

A skąd moja pewność, że brat został zamordowany? Ponieważ prawda ma taką moc, że przeniknie i mury więzienia.

Latem 1978 r. u mojej mamy w mieszkaniu na Koszarowej pojawił się jakiś chłopak. Przedstawił się i powiedział, że siedział w jednej celi ze Staszkiem. Pragnął opowiedzieć w jakich okolicznościach doszło do śmierci Staszka. Otóż gdy przywieziono go na Rakowicką po rozprawie w Radomiu, do

celi przyszedł jakiś mężczyzna po cywilnemu i poczęstował ich imiennymi cukierkami, bo 8 maja było Stanisława. Powiedział, że on również ma na imię Stanisław, więc stąd ten miły gest. I zabrał Staszka na przesłuchanie, po którym mój brat już nie wrócił na własnych nogach. Wniosło go dwóch klawiszy i położyło na łóżku. Leżał bez ruchu trzy dni, a potem zabrali go do więziennego szpitala, choć bardzo prosił, żeby go zabrali do szpitala na wolności, bo pragnął umrzeć na wolności. Tak powtarzał.

Ten chłopak, współwięzień Staszka, nie pochodził z Radomia. Pożyczył od mamy jakąś drobną kwotę na autobus. Mama go prosiła, żeby raz jeszcze przyjechał, bo chciała, aby porozmawiał z córką, to znaczy ze mną, ponieważ wtedy byłam w pracy. Niestety już się nie pojawił.

Gdy powiadomiono mamę o śmierci Staszka, pojechałam z nią do Warszawy. Najpierw udałyśmy się do więzienia, żeby zapytać, co się stało. Rozmawiała z nami jakaś kobieta, nie widziała potrzeby, żeby się nam przedstawić, ale mówiła jak lekarz i pewnie pracowała na etacie więziennego lekarza. Dziwna to była rozmowa.

– Na co syn zachorował? – zapytała mama.

– Właściwie nie wiadomo. – Wzruszyła ramionami. – Jakiegoś krwotoku dostał, a może sobie sam coś zrobił?

Pojechałyśmy do Kliniki Bakteriologicznej na Oczki, bo tam zmarł. Rozmawiał z nami lekarz. Zapytał najpierw, co nam powiedziano w więzieniu, a kiedy powtórzyłam rozmowę z lekarką, uśmiechnął się, przekrzywiając głowę:

– Tak? Naprawdę tak paniom powiedziała? I panie uwierzyły? Jak tak powiedziała, widocznie tak było – mówił jak-

by kpiąco czy drwiąco, ale przeciwko komu ta drwina była wymierzona? W nas? W oprawców? – Przywieziono go w stanie agonalnym, już nic się nie dało zrobić. – Rozłożył ramiona.

Chorzy, którzy leżeli obok niego na korytarzu, powiedzieli nam, że przed śmiercią wyspowiadał się i przyjął komunię świętą. Odnalazłyśmy księdza w kaplicy szpitalnej, żeby go poprosić o zaświadczenie, że Staszek odprawił spowiedź świętą. Mocno przejęty ksiądz chciał opowiedzieć nam o swoim spotkaniu z bratem.

– Leżał na korytarzu otoczony kilkoma milicjantami. Zapytałem ich, co takiego zrobił ten człowiek, że jest tak pilnowany i usłyszałem, że to morderca, który zamordował cztery osoby. Poprosiłem tych panów, żeby odsunęli się, bo chory zwrócił się do mnie z prośbą o spowiedź. Wyspowiadałem go, a na drugi dzień rano udzieliłem mu komunii. Kiedy po mszy wracałem z kaplicy, zatrzymałem się przy jego łóżku, a jeden z tych panów co go pilnowali, oznajmił, że im uciekł, to znaczy umarł.

Zapytał, czy może nam zadać jedno pytanie, dla niego bardzo ważne. Oczywiście zgodziłyśmy się.

– Czy pani syn, a pani brat popełnił morderstwo?

Zapewniłyśmy go, że to nieprawda, że nic złego nie zrobił, że trafił tu jako ofiara aparatu represji po Czerwcu '76 w Radomiu. Wtedy ten ksiądz odwrócił się w stronę ołtarza, ukląkł i zawołał: Dziękuję ci Panie Boże za to, że ta spowiedź była szczerą – i zaczął się modlić.

Chciałyśmy zobaczyć Staszka i zaprowadzono nas do kostnicy w podziemiach szpitala. Nie mogłam go rozpoznać, tak był strasznie zmieniony. Do Radomia przywieziono ciało po sekcji zwłok. Jego przyjaciele również nie

mogli uwierzyć, że to on, zaczęli rozwijać bandaże, ale to nie miało sensu. Trumna została zamknięta. W pogrzebie uczestniczyło mnóstwo ludzi.

W akcie zgonu napisano, że nastąpiły samoistne zmiany chorobowe i ogólne zakażenie organizmu. Wyobraża sobie pani coś takiego? Podczas przesłuchania nastąpiła samoistna choroba, która błyskawicznie spowodowała zakażenie całego organizmu w wyniku czego nastąpił zgon. Chciałam jeszcze coś ważnego powiedzieć, a może nie, może to tylko zbieg okoliczności. Nie chcę nikogo niewinnego posądzić. Kilka lat temu udałam się do Instytutu Pamięci Narodowej w Radomiu, żeby wystąpić o status pokrzywdzonej, i umożliwiono mi przejrzenie akt mojego brata. Przeczytałam, że ze strony aparatu bezpieczeństwa postępowanie Staszka prowadził mjr Stanisław Trafalski, który pracował w Biurze Śledczym MSW. Tak nieraz się zastanawiam, czy to nie ten człowiek, który wpadł w furję po odwołaniu zeznań przez Staszka i zrobił coś niegodziwego ze zwykłej zemsty, a może chciał wymusić na nim, by raz jeszcze zmienił zeznania na sprawie apelacyjnej? A on nie chciał się zgodzić? Co tam się działo, tylko wie Pan Bóg i Pan Bóg będzie sądził tego oprawcę. Ale czy to mjr Trafalski przyszedł do celi z cukierkami i zabrał go na przesłuchanie? Nie wiem. Miał na imię Stanisław, ale to było popularne imię w latach siedemdziesiątych.

PANI EWA

Zastanawiałam się, dlaczego do sprawy Brożyny dołączono Staszka, jego kolegę Romana i sąsiadkę, z którą nie utrzymywali bliższych kontaktów.

Doszłam do wniosku, że pasowali im do tej sprawy. Musieli kogoś wybrać z mieszkańców kamienicy, pod którą milicja wyrzuciła ciało Brożyny. Padło na Skórkiewicz, która widziała całe zajście przez okno i opisała je, bo chciała pomóc pani Brożynowej. Ta zaś pragnęła sprawiedliwości, co dla milicji było niedopuszczalne i już nie wypuszczono jej ze swoich łap. Zresztą ona pochodziła z nieciekawej rodziny; tam był alkohol, bijatyki. Musieli Wierę tak przestraszyć, że zeznawała, co jej podyktowali. Romek Piasecki pasował im, bo był karany, więc wiadomo, przestępca. Siedział za bójkę i za niespłacenie wszystkich rat za regał.

PANI KRYSTYNA

Staszek też siedział, ale nie powinien. Proszę sobie wyobrazić, że skazali go na 3 lata więzienia za wybicie szyby u sąsiada na parterze, a on tego nie zrobił. Miał pecha, bo przeciwko niemu zeznawała pewna dziewczyna ze wsi, która mieszkała na stancji na parterze i on z nią trochę chodził. Później już nie chciał, unikał jej, a ona mu się narzucała, biegała za nim. I pewnej nocy miał miejsce ten incydent. Jakiś chuligan wybił tę nieszczęsną szybę, a ona zeznała, że to Staszek, nie widziała go, ale podobno poznała po głosie. Widocznie nie potrafiła się pogodzić, że została odrzucona i miała okazję się zemścić. I na tej podstawie skazano go pochopnie na 3 lata. A młody był, miał dopiero 19 lat. Bardzo to przeżył, czuł się pokrzywdzony przez władzę, przez jej aparat, najbardziej przez sąd. Z więzienia wrócił już inny, nie taki radosny.

I jeszcze jedno. Esbecy wiedzieli, że nie ma kto się za nimi ująć. Ani Staszek nie miał ojca, ani Romek. A kto by

się liczył z zapracowanymi, płaczącymi matkami. A gdy siostry usiłowały ratować braci, mieli swoje sposoby, żeby je uciszyć.

Przez całe życie szła za nami taka nieuprawniona opinia: to kryminalista, takie nic, zgnił w więzieniu. To bardzo boli. Właściwie tylko rodzina wie, jak było naprawdę, i kilku historyków, którzy badają okres Czerwca.

Proszę napisać, że Stanisław Nowakowski był dobrym, miłym, zdolnym człowiekiem, wszyscy go lubili, niestety skończył tylko zawodówkę, ale zawsze zachłannie czytał. U nas w domu było dużo książek, a gdy je przeczytał, korzystał z biblioteki na pl. 3 Maja. Lubił Grechutę, Demarczyk, Nalepę z Breakoutów. Miał ich płyty. Po rodzaju muzyki, do jakiej człowiek się garnie, można więcej o nim powiedzieć.

Przez te wszystkie lata zastanawiam się, czy dobrze zrobiłam, że go posłuchałam i nie poprosiłam o pomoc KOR-u. Przez nagłośnienie sprawy może zdołaliby go uratować. Nie wiem. Hanka, siostra Romka Piaseckiego, mocno się zaangażowała, współpracowała z KOR-em, aż ją aresztowali, przeszła piekło, a Romek i tak odsiedział całe 8 lat. Nie skrócili mu kary nawet o jeden dzień.

W tym systemie nie było lekko, ale dało się żyć – powiadają ludzie, którzy nie zderzyli się czołowo z komuną. Owszem bieda panowała powszechna, wszystko się „zdobywało” i wystawało w kolejkach, ale wczasy pracownicze należały się prawie za darmo, a dzieci miały zapewnione kolonie letnie. Związki zawodowe przygotowywały dla załóg kartofle jesienią, a zimą na zabawach choinkowych Święty Mikołaj wręczał paczki ze słodyczami i pomarańczami.

No i uczyć się można było do woli. Komuna była jak rozpadający się autobus – silnik rządził, ale jechał. Dokąd? Kierowca twierdził, że ku lepszej przyszłości. Jedni zajmowali lepsze miejsca – to ci co należeli do partii, ci drudzy zaś oczywiście gorsze. Panował jednak spokój do czasu, aż ci bardziej odważni poważali się, żeby okazać sprzeciw. Wtedy komuna pokazywała prawdziwą twarz, miażdżąc niewinnych ludzi. Tak było w Poznaniu, w Gdańsku i w 1976 w Radomiu, Płocku i Ursusie. Niby zdusili bunt, szalejąc na ścieżkach zdrowia, niby im się udało, ale ziemia pod wolność została porządnie przygotowana, ziarno zasiane.

Odkąd ustawiono kamień na rogu Żeromskiego i 1 Maja, a obecnie 25 Czerwca, ani razu nie opuściłam uroczystości związanych z kolejnymi rocznicami. Kiedyś jakiś milicjant do mnie podszedł i mówi:

– Gdzie ty wariatko z małymi dziećmi pchasz się w ten tłum? Chcesz, żeby oberwały przez przypadek? – wrzeszczał na mnie. To jeszcze działa się za czasów komuny.

Co roku tam jestem wraz z całą rodziną. Przez pamięć dla mojego brata.

KALENDARIUM CZERWCA '76

24 czerwca

Premier Piotr Jaroszewicz w transmitowanym przez radio i telewizję przemówieniu przedstawił projekt podwyżek cen żywności, np. ceny mięsa i wędlin miały wzrosnąć o 65 proc., a cukru o 100 proc. Sejm podjął uchwałę akceptującą ten projekt.

25 czerwca, Radom

7.00 – Pracownicy wydziału P-6 Zakładów Metalowych opuszczają stanowiska pracy. Po godzinie dołączają do nich pracownicy innych wydziałów. Dyrektor usiłuje ich przekonać, by przerwali strajk, ale bezskutecznie. Pracownicy największego zakładu w mieście wychodzą na ul. 1905 Roku. Tu dzielą się na dwie kilkusetosobowe grupy. Jedna rusza pod Zakład Sprzętu Grzejnego, druga dociera pod Radoskór – drugi co do wielkości zakład w Radomiu.

9.20 – Pracownicy Radoskóru opuszczają stanowiska pracy i wraz z innymi delegacjami ruszają w kierunku ul. 1 Maja, gdzie siedzibę ma KW PZPR.

9.40 – Przed gmachem komitetu zgromadziło się już około 6 tys. ludzi. Domagają się spotkania z I sekretarzem Januszem Prokopiakiem, by wyrazić swoje stanowisko wobec drastycznych podwyżek. Zgromadzeni, obawiając się podstępu, odrzucają propozycję, by wyłonić delegację do negocjacji.

10.15 – Przed komitet docierają załogi innych zakładów przemysłowych w Radomiu. Coraz częściej z tłumu pod adresem I sekretarza padają okrzyki „tchórz”, a wobec całego aparatu partyjnego „złodzieje”, „czerwone świnię”.

11.00 – Ktoś z tłumu krzyknął, że Prokopiak uciekł karetką pogotowia przebrany w biały kitel. Do komitetu wdziera się odważniejsza grupa demonstrantów i okazuje się, że I sekretarz nie opuścił swojego gabinetu.

12.30 – Janusz Prokopiak decyduje się na rozmowę z przedstawicielami demonstrantów. Obiecuje, że skontaktuje się z Komitetem Centralnym, przedstawi postulaty pokojowo demonstrujących robotników i najpóźniej o godzinie 14.00 udzieli odpowiedzi.

14.00 – Od strony lotniska do centrum zbliża się ZOMO – Zmechanizowane Odwoły MO. Zgromadzeni zostają zaatakowani przez gaz łzawiący i armatki wodne, a w bezpośrednim starciu zomowcy używają pałek.

14.10 – I sekretarz wciąż nie daje odpowiedzi i zawiedzeni ludzie wpadają do gmachu komitetu, żeby zobaczyć, w jakich luksusach żyją towarzysze. Przez okna wylatują telewizory, krzesła, szynki, konserwy.

14.30 – Ktoś podpala gmach komitetu. Januszowi Prokopiakowi udaje się uciec.

14.35 – Dochodzi do walk ulicznych między zomowcami a robotnikami, którzy bronią się płytami wyrywanych z chodników.

15.00 – W śródmieściu pojawiają się osobnicy, którzy wybijają witryny sklepowe najczęściej sklepów z alkoholem i namawiają przechodniów do rabunku przy biernej postawie milicjantów.

16.00 – Płonie Komitet Wojewódzki, samochody, kioski, autobusy i wóz strażacki. Trwają walki między demonstrantami a oddziałami milicji, które wciąż przybywają z innych miast.

17.00 – Walki wciąż trwają i przesuwają się nieco od centrum. Na ulicach miasta zaczyna się polowanie. ZOMO zatrzymuje robotników wracających do domu, przypadkowych przechodniów, emerytów, młodzież szkolną. Są oni zawożeni do komendy MO i tam kierowani na ścieżkę zdrowia.

18.00 – Nad miastem krążą helikoptery. Zwarte kolumny zomowców i kordony milicji patrolują ulice. Trwają zatrzymania, bicie, aresztowania.

20.00 – By całkowicie spacyfikować i zastraszyć miasto, na pomoc wciąż dojeżdżają nowe oddziały milicji z Lublina, Tarnobrzega, Rzeszowa, ze szkoły MO i SB w Pile oraz ZOMO z Gołędzina.

22.00 – Ulice miasta pustoszeją. Tłumy ludzi wypełniają komendę MO.

25 czerwca, Ursus

7.00 – 90 proc. załogi Zakładów Mechanicznych Ursus nie przystępuje do pracy, domagają się cofnięcia podwyżek żywności.

9.00 – Dyrekcja zakładu odrzuca żądanie załogi, by władze centralne przybyły na rozmowy.

9.30 – Demonstranci blokują ruch na linii Warszawa–Kutno, by w ten sposób zawiadomić kraj o strajku.

21.00 – Demonstranci opuszczają zakład, by udać się do domu, i są brutalnie zaatakowani przez oddziały milicji. Zatrzymano około 300 osób.

25 czerwca, Płock

7.00–15.00 – Na terenie dwóch największych zakładów w mieście – Petrochemii i Fabryki Maszyn Żywnych – pracownicy organizują strajk i wiece przeciwko drastycznym podwyżkom.

16.20 – Część robotników w pochodzie udaje się pod siedzibę Komitetu Wojewódzkiego PZPR. Nikt z nimi nie chce rozmawiać. Budynek zostaje obrzucony kamieniami.

21.00 – Pacyfikacja miasta. Zostaje zatrzymanych kilkadziesiąt osób.

25 czerwca

Od rana – Strajkują największe zakłady przemysłowe w Warszawie, Łodzi, niektóre zakłady we Wrocławiu, Poznaniu, Szczecinie, Gdańsku, Elblągu, Grudziądzu, Radomsku, Starachowicach.

20.00 – Wystąpienie premiera Piotra Jaroszewicz, który odwołuje podwyżki. Ani we wcześniejszym *Dzienniku Telewizyjnym*, ani w samym przemówieniu nie wspomniano o strajkach i protestach w wielu miastach w kraju.

26–27 czerwca

Pierwsze rozprawy w trybie przyspieszonym przed sądami w Radomiu i Ursusie. Wyroki są ferowane z naruszeniem nawet wówczas obowiązującego prawa. Nadal trwają aresztowania.

28 czerwca

Na Stadionie Dziesięciolecia w Warszawie odbył się „wiec poparcia” dla polityki partii. Napisy na transparentach głoszą: „Jesteśmy z rządem i tow. Jaroszewiczem”, „Chcemy spokojnie żyć i pracować”. Takie spędy poparcia dla partii organizowane są w wielu miastach w kraju.

30 czerwca

W radomskim szpitalu umiera Jan Brożyna.

Na stadionie „Radomiaka” zorganizowany zostaje wiec z udziałem „mieszkańców Radomia” i aparatczyków przywiezionych autokarami z innych miast. Prezydent miasta w przemówieniu wymienia straty materialne, jakie poniosło miasto w wyniku zajść 25 czerwca, oraz zapowiada, że wszyscy winni „poniosą surową, zasłużoną karę; nie ma dla nich miejsca w radomskiej społeczności i radomskich zakładach pracy”.

BIBLIOGRAFIA

Źródła archiwalne

Archiwum Delegatury Instytutu Pamięci Narodowej w Radomiu
Archiwa prywatne
Zbigniew Adamus
Krystyna Szymańska
Józef Włoskowicz
Danuta i Hubert Wołowiec

Relacje

Zbigniew Adamus
Wiesław Dróżdż
Stanisław Górka
Stanisław Kowalski
Danuta Nowak
Zofia Sadowska
Marek Siedlecki
Krystyna i Ewa Szymańskie
Czesław Wiecheć
Józef Włoskowicz
Krzysztof Wojewódka
Hubert Wołowiec

Opracowania

Chojecki M., *Czerwiec 1976 w Radomiu*, Warszawa 1984.
Dubiński K., *Rewolta radomska. Czerwiec 1976*, Warszawa 1991.
Dudek A., Marszałkowski T., *Walki uliczne w PRL 1956–1989*, Kraków 1999.
Eisler J., „*Polskie miesiące*” czyli kryzys(y) w PRL, Warszawa 2008.
Friszke A., *Polska Gierka*, seria „Dzieje PRL”, t. 18, Warszawa 1995.

- Friszke A., Paczkowski A., *Niepokorni. Rozmowy o Komitecie Obrony Robotników*, Kraków 2008.
- Jankowska A., Kutkowski A., Sasanka P., *Zaczęło się w „Walterze”, katalog wystawy*, Radom 2011.
- Kersten K., *Masowe protesty w PRL – proces ciągły czy odosobnione wydarzenia [w:] Polska 1944–1989. Studia i materiały*, t. 4, Warszawa 1999.
- Kowalik S., Kutkowski A., Kutkowski J., *...byłem z tymi ludźmi. Życie i działalność księdza Jerzego Kotlarza*, Radom 2007.
- Kryptonim „Gracze”, *Służba Bezpieczeństwa wobec Komitetu Obrony Robotników i Samoobrony Społecznej „KOR” 1976–1981*, wybór, wstęp i oprac. Ł. Kamiński i G. Waligóra, Warszawa 2010.
- Kutkowski A., *...jak my ich nienawidzimy. Represje sądowe po radomskim Czerwcu 1976 r.*, Lublin 2016.
- Morgan D., *Konflikt pamięci. Narracje radomskiego Czerwca 1976*, Warszawa 2005.
- Pawlicka K., *Polityka władz wobec Kościoła katolickiego (grudzień 1970 – październik 1978)*, Warszawa 2004.
- Prokopiak J., *Radomski Czerwiec '76. Wspomnienia partyjnego sekretarza*, Warszawa–Radom 2001.
- Radomski Czerwiec 1976*, cz. 1: *Doniesienia o przestępstwie*, red. W. Mizerski, Lublin 1991.
- Radomski Czerwiec. Dwadzieścia lat później*, red. A. Kutkowski, A. Rajchert, Warszawa 1996.
- Radomski U. [ps.], *Protest i propaganda*, Warszawa 1984.
- Sasanka P., *Czerwiec 1976. Geneza – przebieg – konsekwencje*, Warszawa 2006.
- Skórzyński J., *Siła bezsilnych. Historia Komitetu Obrony Robotników*, Warszawa 2012.
- Tusiński P., *Wydarzenia radomskiego Czerwca 1976 r. (próba analizy historycznej)*, „Biuletyn Radomskiego Towarzystwa Naukowego” 1990, nr 1–2.
- Twarze radomskiej bezpieki. Katalog wystawy*, Lublin 2008.
- Walczak R., *Sprawowanie kierowniczej roli partii w sądach i prokuraturze w Polsce Ludowej (studium politologiczne)*, Warszawa 1987.
- Wańkowicz M., *Westerplatte*, Warszawa 1989.

Publikacje prasowe

- Bukalska P., *Dzień z życia Teodory Biegańskiej. Co się stało w Radomiu w Czerwcu 1976*, „Tygodnik Powszechny” 2006, nr 27.

- Bukalska P., *Jak żyją dziś ludzie...*, „Tygodnik Powszechny” 2007, nr 22.
- Friszke A., *Amnestia, której nie było*, „Więź” 1995, nr 6.
- Kaczmarek I., *Skrzywdzonym przez PRL*, „Bezpłatny Tygodnik 7 Dni dla Radomia i Regionu”, 11–17 I 2008.
- Koś B., *Młodziź zrobiła film o tamtych dniach*, „Echo Dnia” 2011, nr 138.
- Kutkowski A., *Gracze*, „Gazeta Lokalna”, 6 IV 1992.
- Kutkowski P., *Nie było „ścieżek zdrowia”*, „Echo Dnia”, 16 XI 2001.
- Kutkowski P., *Pamięć wojewody*, „Echo Dnia”, 28–29 X 2000.
- Kutkowski P., *Represje z Czerwca już przedawnione*, „Echo Dnia”, grudzień 2012, nr 298.
- Kutkowski P., *Rewizja nadzwyczajna: rzecznik praw obywatelskich wystąpił o kasację wyroku wydanego po wydarzeniach czerwcowych 1976 r. w Radomiu*, „Echo Dnia”, 23 I 1998.
- Kutkowski P., *Tropią agentów*, „Echo Dnia”, 12 VI 2012.
- Mieć I., *Tępe narzędzie*, „Polityka” 2001, nr 24.
- Mizerski S., *Radom, miasto upadłe*, „Polityka” 1999, nr 26.
- Sukiennik J., *Radom, Czerwiec 1976–1981, Przypadek nietypowy*, „Za i Przeciw”, 5 VII 1981.
- Szewczyk K., *Na początku był Czerwiec, Relacje uczestników protestów*, „Gazeta Polska” 2014, nr 26.
- Żmudzin K., *Zwolniony, „Czerwiec ’76, Wydanie Jednodniowe*”, 25 VI 1990.

INDEKS OSÓB

- Adamczyk Jerzy 28
Adamus Zbigniew 63–86
Adamus, brat Zbigniewa 66
Adamus, siostra Zbigniewa 63, 74
Alfreda, ze stowarzyszenia
 Czerwcowych Ludzi 164
Anders Władysław 64
Andrzej, brat Urszuli, przyjaciółki
 Teresy Opoki 12, 13
„Aster” TW zob. Gierek Leopold
- Bednarczyk 174
Biegańska 237
Bogdan, z IPN 146
Brożyna Jan 137, 249–256, 261–
 –264, 267, 268, 275
Brożyna Janina 251, 254, 268
Budlus Kazimierz 31
Bunsch Karol 83
- Cebula Marian 39
Chochowski Tadeusz 20
Chochowski Waldemar 46
Chojecki Mirosław 196
Clay Cassius 32
„Cypis” TW 252
Czubiński Lucjan 73
- D. Kazimierz, płk 58
- Danusia, przyjaciółka Małgorzaty
 Górki 124
Danuta, ze stowarzyszenia Czerw-
 cowych Ludzi 164
Demarczyk Ewa 269
Dobrowolska 133, 136
„Drażał” zob. Młyński Aleksander
Drózdź Jadwiga 159
Drózdź Wiesław 152–163
Drózdźowie, dzieci Wiesława
 i Jadwigi 160
Duda Andrzej 110, 184
Duda Piotr 110
„Dyrektor” zob. Zakrzewski Adam
Dziubasik Zbigniew 243
- Edyta, siostra Ewy Szymańskiej
 247, 256
Ewa, przyjaciółka Małgorzaty
 Górki 124
- Fundowicz 254
- Gawęda Zbigniew 264
Gawroński 130, 135
Gierek Edward 16, 25, 27
Gierek Leopold (TW „Aster”)
 204, 206
Głowacki Marian 36

- Gniadek 237
 Gołąbek Zdzisław 233
 Gomulka Władysław 27
 Górka Beata 118, 124, 128
 Górka Małgorzata 118, 124–128
 Górka Mirosław 124, 127
 Górka Stanisław 113–128, 181
 Grabiński 75
 Grechuta Marek 269
 Grześ, kolega Stanisława Kowalskiego 33, 34
 Grześkiewicz Sylwester 186, 187
 Gutkowski Bogusław 31, 33
 Gwarek Marian 29

 Hebda Edward 190, 191, 197

 Irenka, przyjaciółka Małgorzaty Górki 124

 Jadzia, przyjaciółka Małgorzaty Górki 124
 Jaroszewicz Piotr 16, 25, 232, 271, 274
 Jaruzelski Wojciech 81
 Jasienica Paweł 83
 Jasiński Zenon 221
 Jaśkiewicz Piotr 111
 Jerz Jacek 264
 Joanna (?), z KOR 204
 Joanna, z KOR 97, 98
 Jurek, brat Ewy Szymańskiej 247

 Kaczmarek Jacek 84
 Kamiński Mariusz 107
 Kania Stanisław 19
 Kański Michał 14
 Kapciak 45
 „Karol” TW zob. Soból Ewa
 Kasprzyk Jan Józef 111
 Kasprzyk Marian 32
 Kazia, krawcowa 217
 Kędzierski 45, 59, 60
 Kiszczak Czesław 82
 Knyziak Z. 253
 Kobyłko 46
 Koch Erich 117
 Komorowski Bronisław 107, 225
 Kopacz Ewa 239, 241
 Kossak-Szczucka Zofia 83
 Kotlarz Roman 137, 144, 263, 264
 Kowalczyk Jan 24
 Kowalczyk Stanisław 253
 Kowalska Bożenka 54, 55, 56, 61
 Kowalska Małgorzata 61
 Kowalska Martyna 61
 Kowalska Maryla 24, 25, 30, 31, 35–37, 45, 50
 Kowalska, matka Stanisława 50, 51
 Kowalski Louis-Paul 30, 31, 35
 Kowalski Łukasz 61
 Kowalski Stanisław 23–62, 161, 181, 229, 241
 Kowalski Stanisław, senior 49–52
 Kowalski Zygmunt 50, 51
 Kozioł Henryk 32, 35
 Kraszewski Józef Ignacy 83
 Kuroń Jacek 60, 68
 Kurtyka Janusz 243

 Lichwierowicz 199
 Lipski Jan Józef 75
 Lityński Jan 77

 Łabęcki Jan 264
 Łoś Alfred 77

 Macierewicz Antoni 60, 110, 111, 170

- Marek, mąż Danuty ze stowarzyszenia Czerwcowych Ludzi 164
 Marianna, ciotka Zbigniewa Adamusa 64, 65
 Maryja, partnerka Marka Siedleckiego 212, 214, 215
 Materski Edward 242, 243
 Mędrzycki 130, 135
 Michalski Zdzisław 232, 233, 237
 Mikołajczyk 207
 Mikołajska Halina 75
 Mitak Tadeusz 75
 Mitak Wojciech 75
 Młyński Aleksander („Draгал”) 64, 65
 Morgan David 20, 21
 Mozgawa Mieczysław 19

 Nalepa Tadeusz 269
 Nogalski Roman 121
 Nowak Danuta 164–171
 Nowakowski Stanisław 21, 246–270

 Ochnia Grzegorz 236
 Olszewski 75
 Opoka Joanna 11
 Opolski 154, 155
 Ostrowska Hanna 256, 258, 269
 „Ośka” zob. Sońta Jan

 Pasek Mirosław 186
 Pawłowska Agnieszka 227
 Paździor Kazimierz 32
 Pączek Janusz 236
 Piasecki Roman 252–254, 256–258, 262, 263, 267–269
 Pietrzykowski Zbigniew 32
 Prokopiak Janusz 28–30, 233, 271, 272

 Prygiel Mirosław 233
 Rapacki Piotr 80
 Robert, taksówkarz, kolega Stanisława Kowalskiego 55, 56
 Rodowicz Maryla 217
 Rojewski Kazimierz 19
 Romanowscy 107
 Romaszewska Zofia 75, 80
 Romaszewski Zbigniew 75, 254, 262
 Rynko Urszula 44
 Rysiek, kolega Stanisława Kowalskiego 33

 S. Julek, kolega Wiesława Dróždza 161
 Sadowska Anna 150
 Sadowska Danuta 147
 Sadowska Dorota 149, 150
 Sadowska Wioletta 147, 150
 Sadowska Zofia 129–151
 Sadowski Hubert Artur 150
 Sadowski Jakub 150
 Sadowski Jan 21, 131, 133, 134, 138, 139, 141, 149
 Sadowski Jan (2) 138
 Sadowski Rafał 150
 Samoliński Wojciech 181
 Sasanka Paweł 18, 123
 Sidło Janusz 148
 Siedlecka Anna 195
 Siedlecka Dominika 213
 Siedlecka Lena 208–210, 212–214
 Siedlecki Hubert 214
 Siedlecki Marek 185–215
 Siedlecki ojciec Marka 195, 201
 Sienkiewicz Henryk 83
 Sieradzki Marek 14
 Siła-Nowicki Władysław 75, 134, 135, 140, 196, 207, 262

- Skórkiewicz Wiesława („Wiera”) 250–254, 261–263, 267, 268
 Sobieraj Andrzej 226
 Sobociński 17
 Soból Ewa (TW „Karol”) 257, 258
 Sońta Jan („Ośka”) 177
 Sowa Józef 19
 Suwała 50, 258
 Szczepkowska Joanna 103
 Szczuka 75
 Szczygiel Tadeusz 19
 Szydło Beata 110
 Szymańska Ewa 245–270
 Szymańska Krystyna 245–270
 Szymańska Matylda 245, 246
- Ś. Andrzej, przyjaciel Zbigniewa Adamusa 69, 73–75, 79
- Tarka Elżbieta 227
 Tchórzelski 17
 Teodora, ze stowarzyszenia Czerwcowych Ludzi 164
 Tomasik Henryk 229
 Tomasz, drugi mąż Leny Siedleckiej 214
 Trafalski Stanisław 267
- Urszula, przyjaciółka Teresy Opolki 12, 13
- Walentyłowicz Anna 100
 Wąs Lech 80–82, 100, 237
 Wańkowicz Melchior 17
 Węgliński 40
 Wiecheciowie 89, 112
 Wiecheć Czesław 87–112
 Wiecheć Maria 89, 96, 97, 99, 105–107
- „Wiera” zob. Skórkiewicz Wiesława
 Wijata Stanisław 232, 236
 Wilk Andrzej 233
 Willis Bruce 213
 Włoskiewicz Agata 244
 Włoskiewicz Aleksandra 230, 244
 Włoskiewicz Józef 230–244
 Włoskiewicz Marcin 244
 Włoskiewicz Weronika 244
 Wojewódka Andrzej 178
 Wojewódka Ewelina 182
 Wojewódka Kinga 182
 Wojewódka Krzysztof 172–184
 Wojewódka Maria 178
 Wojewódka Marta 182, 184
 Wojewódka Stefan 177, 178
 Wojewódka Zofia 182, 183
 Wojtyła Karol 78
 Wołowicz Danuta 216–229
 Wołowicz Grzegorz 222, 223
 Wołowicz Hubert 216, 218, 219, 223, 224, 228
 Wołowicz Marcin 244
 Wołowicz Marek 216–229
 Wołowicz Robert 222, 223
 Wróbel Marzena 119, 123
 Wyszyński Stefan 79
- Zabrowska, żona Zygmunta 60
 Zabrowski Zygmunt 41–43, 54, 60, 61
 Zakrzewski Adam („Dyrektor”) 48
 Zakrzewski Józef 48
 Zalewski Paweł 82
 Zatopek Emil 148
 Ząbecki Tadeusz 264
 Zięba Jan 75
 Zięba 133